Łódź
Odgłosy
tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 29 (1425) ROK XXVIII 20 LIPCA 1985 ROKU CENA 15 ZŁ

- „Wielki las" Zbigniewa Nienackiego
- Gdy wyszliśmy na brzeg...
- Sokolnik króla Jagiełły
- Niewierny kochanek muz
- W kręgu Napoleona

Miasto i woda

Moda na zdrowie

ROMAN KUBIAK

Szklanka domowej herbaty ma tutaj smak poświęcenia. Herbatę należy wypić do końca, do ostatniej kropli, żeby docenić trud ofiarodawcy.

Wodę do picia przechowuje się w dużych garnkach z pokrywką, litrowych butelkach po coli albo w szklanych słojach. Potem delikatnie przelewa się ją do czajnika, najlepiej przez lejek, żeby nie uronić ni drobiny. Mętną ciecz po odcedzeniu ziemniaków zlewa się do rezerwowego naczynia, bo jutro przyda się znowu. Na ulicach, w autobusach, w kolejkach, wszędzie mówi się o tej przeklętej wodzie: o tym, że najlepsza jest z leśnego źródełka, ze studni na Ogrodowej, z kranu pod bramą fabryki mebli. I żeby broń Boże nie dawać kranówy dzieciom, bo przez nią maleństwa wymiotują i bolą je brzuszki.

KRANÓWA PRZYPOMINA MOCZ

Jest żółta, mętna, poraża ostrym zapachem. Na ściankach naczyń pozostawia brunatny osad, w czajniku warstwę rudego kamienia. Z wanny napełnionej gorącą cieczą paruje chlor, szczy-

4

Tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty

JAN SZCZAWIEJ

Krzyk w krwi tonął, w przepaści głęboko
Noc złowieszcza iść nie była skora,
Aż tu naraz zagrzmiało nad Oką,
Aż tu naraz maszerować pora...

Świt za wzgórzem słowikami klaszcze,
Drży na zbożu krwi żołnierskiej rosa...
— Matko, młodych lat nie zaprzepaszczę...
Oto się tętent przybliża do wiosek...

Wyszli z chlebem, solą i kwiatami,
Wyszli z sercem wiernym na spotkanie...
Chłopskie dzieci... Czapki z orzełkami...
I łzy w oczach, i wśród kobiet łkanie...

Teraz trzeba nam twardo stanąć:
Budzić zgodę, a wypleniać waśnie...
Gospodarze! Kres epoce panów!
Wasze dłonie to jest Polska właśnie!

Goryczka na dnie szuflady

JOLANTA WROŃSKA

Paradoksalne, przekraczam kolejne szczeble, raczej progi, dzięki którym mogę lepiej realizować swój pomysł na życie, zyskuję możność pełniejszego docierania do ludzi. A jednocześnie, coraz częściej dopada mnie poczucie zwątpienia w sens tej szamotaniny. Ogarnia mnie zmęczenie, gdy uświadamiam sobie, że od blisko dwudziestu pięciu lat wojuję z tymi samymi mechanizmami, że wciąż potykam się ja i wielu innych, o te same kłody. Być może przyszedł właśnie na mnie czas „bilansowania" oglądania się za siebie, sprawdzania wyników pracy, sensu życia? Trochę goryczki, chowanej na samym dnie szuflady...

JW: Niewesoło zaczynasz, wyjaśnij... albo nie, najpierw się przedstaw.

— Nazywam się Ewa Łazowska. Rdzenna łodzianka. Żyję już sporo ponad czterdzieści lat... Jak widzisz oszczędzam sobie fałszywej kokieterii... Kiedyś zapytano Zze Zzę Gabor, jak patrzy na życie stara kobieta, tak niegdyś sławna i aktywna aktorka. Na co aktorka odpowiedziała: Skąd mam wiedzieć, co myśli stara kobieta? Ja mam dopiero siedemdziesiąt lat... No, w każdym razie jeszcze mi się chce wyruszyć w góry na wióczęgę.

JW: Skromnie coś. A zawód, zainteresowania, prywatne szczegóły?

EŁ: Prywatnie jestem kobietą samorządną, i niezależną, w dwóch pokojach z kuchnią mnóstwem książek, płyt i zieleniny. Ponadto uprawiam hodowlę kombinowaną wody z ogniem. Znaczy psa i kocicy. Bez przerwy się kłócą i żyć bez siebie nie mogą. Starczy tego. Zawodowo i społecznie zajmuję się budownictwem piramidy od czubka.

JW: ?? To jest kokieteria, literacka przenośnia, czy defetyzm „nie licujący"?

EŁ: O rany boskie! No, powiedzmy, że jest to literacki defetyzm, a w ogóle, to nie cierpię autoreklamy. Wiesz, co się dzieje z takimi, co wystają z polskiego kotła?

JW: A wystajesz? A poza tym, jesteś człowiekiem publicznym, poniekąd z zawodu i z mandatu.

EŁ: Z pierwszego wyuczonego zawodu jestem instruktorem kulturalno-oświatowym, ze specjalnością — teatr świetlicowy. W 1959 roku skończyłam Liceum Kulturalno-Oświatowe w Łodzi, pod wspaniałym kierunkiem pani prof. Karwackiej. Wtedy też wykonałam swój pierwszy popis publiczny, współprzygotowując wieczór poezji Wandurskiego („Raban" „Śmierć na gruszy" i inne) w klubie TPPR. Pisał o tym „Dziennik Łódzki". Właśnie od tamtego roku zaczęła się moja budowa piramidy od czubka, czyli to, co tak brzydko nazywa się „upowszechnianiem kultury". Przez te ćwierć wieku, mimochodem zdobyłam jeszcze parę innych uprawnień zawodowych, nie mówiąc o praktyce. Mam na przykład pojęcie o pracy z tzw. „trudną młodzieżą" w dziedzinie kultury i pedagogiki, jestem wykwalifikowanym

5

Kamikadze

(5)

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Po wyjściu z gabinetu dyrektora Stanisława Cisaka i przeczytaniu protokołu z „narady" w Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Modelu pod Płockiem, Mieczysław Rykała był bardzo zdenerwowany i wzburzony. A zatem to, o czym poprzedniego dnia mówiła mu w sklepie matka jednego z uczniów, było jednak prawdą. Więc rzeczywiście dyrektor ze „swoimi ludźmi" pojechał po kryjomu do prezesa Władysława Adamczyka, aby u niego zebrać na Rykałę „argumenty". Nie ujawniał ich dotąd — myślał dalej Rykała — gdyż czekał na odpowiedni moment. Bo przecież jasne, że ten protokół miał go skompromitować w oczach kolegów-nauczycieli i wojewódzkich władz oświatowych. Miał mu zamknąć usta, gdyby znów próbował mówić zbyt głośno o kulisach praktyk w NRD. Co za obrzydliwość!

A już najbardziej zabolało go to, że jakaś tam sekretarka wydawała o nim opinie. Nie dość, że pojechała do NRD po znajomości, na przyczepkę, nie dość, że były z nią ciągłe kłopoty, to jeszcze znieważa go w oczach przełożonych i uzurpuje sobie prawo do decydowania, czy powinien być on nauczycielem, czy nie. I taka o nim opinia — tendencyjna, kłamliwa, oparta na zwykłych pomówieniach — pozostaje w dokumentach szkoły. Ba, przechowywana jest w szafie pancernej, jak Bóg wie jaki skarb. Tylko co z tego, skoro i tak już cały Piątek o tym mówi. W takim miasteczku przecież wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. I jak teraz on wygląda w oczach ludzi? Jak będą na niego patrzeć?

W tym momencie jako żywo przypomniała się Mieczysławowi Rykale historia sprzed jedenastu lat, kiedy to ówczesny dyrektor Zakładu Doświadczalnego Instytutu Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa w Błoniu pod Łęczyca, który wyrzucił go z pracy, gdyż i tam mówił głośno prawdę, dla uwiarygodnienia słuszności swej decyzji — też po kryjomu — pojechał z głównym księgowym do Państwowego Technikum Rolniczego w Sędziejowicach, gdzie Rykała był poprzednio zatrudniony, i za pół litra wódki oraz 3 tys. zł wyłudził o nim taką opinię od dyrekcji szkoły, że lepiej nie mówić. Zarzucono mu w niej między innymi, że *„jego postawa ideologiczno-polityczna stwarza zastrzeżenia pracy z młodzieżą"*, bo przecież tak najłatwiej wykończyć człowieka. Wystarczy napisać, że ktoś jest politycznie niepewny i już... Każdy patrzy podejrzliwie, boi się nawet szczerze porozmawiać. Ludzie myślą, że coś tam jednak musiało być, skoro tak napisano. A jak potem udowodnić, że nie współpracowało się z wywiadem Luksemburga, czy z „Wolną Europą"? Jak bronić się przed takimi pomówieniami?

Na szczęście Mieczysław Rykała potrafił jakoś się z tego wybronić. Wziął dobrego adwokata z Łodzi, wniósł do łaskiego sądu sprawę i skierował się prosto do pokoju nauczycielskiego.

16 listopada 1983 roku około godziny 14 do gabinetu dyrektora Zespołu Szkół Mechanizacji Rolnictwa w Piątku, Stanisława Cisaka przyszedł nauczyciel Mieczysław Rykała i podniesionym głosem zapytał, czy jest jakiś protokół z Modelu. Dyrektor spokojnie odpowiedział mu, że owszem — w księdze protokołów, i że może się z nim nawet zapoznać, ale — tylko na miejscu. Potem wziął tę księgę od kierownika administracyjnego szkoły, Leszka Oterskiego (a nie od sekretarki, Barbary Flisiak, co ta potwierdziła w napisanym specjalnie na tę okoliczność oświadczeniu) i podał ją nauczycielowi Rykale. Powiedział przy tym, że jeżeli potrzebne będą jakieś dodatkowe wyjaśnienia, to proszę bardzo... On nie ma nic do ukrycia!

Niestety, Mieczysław Rykała nie chciał słuchać żadnych wyjaśnień. Uparł się, że księgę protokołów szkoły zabierze ze sobą i mimo protestów swego przełożonego, opuścił gabinet. No cóż, dyrektor Cisak nie chciał się z nim „szarpać". Nie był nawet zbytnio zdenerwowany. Po kilku minutach poszedł do pokoju nauczycielskiego sprawdzić, kto z nauczycieli ma dyżur przy pracach wykończeniowych w internacie. Ku swemu zdziwieniu zastał tam też nauczyciela Rykałę, który pokazywał właśnie księgę protokołów siedzącej przy stoliku polonistce, Jolancie Piotrowskiej. Obecna była też przy tym dr Halina Kubiak.

Dalej wydarzenia potoczyły się już w błyskawicznym tempie. Kiedy dyrektor Cisak sprawdził na planie, kto ma dyżur i zamierzał już wyjść, Mieczysław Rykała podskoczył do niego i po prostu zaczął mu ubliżać. Mówił, że ma do tego protokółu obiekcje. Że to on nie nadaje się na dyrektora szkoły, że owce powinien pasać i to stare. Dalej — że on go zwolni ze stanowiska tak, jak zwolnił już paru dyrektorów i sekretarzy. I na dowód zaczął jeszcze machać jakimiś papierami z sądu.

W tym czasie z pokoju wyszła dr Kubiak, wszedł zaś Kazimierz Dzięgielewski. Rykała widząc, że dyrektor jest bardzo spokojny, chwycił go oburącz za ramiona i, silnym pchnięciem osadził na ościeżu futryny. Następnie puścił lewą rękę, prawą jeszcze trzymał, złapał za klamkę u drzwi, które były uchylone i tymi drzwiami przycisnął... Na szczęście dyrektor zablokował drzwi nogą i odchylił głowę, więc tylko klamka wgniotła mu się w plecy — *„Pan użył siły!"* — powiedział. — *„I niech pan będzie tego świadomy"*. W chwilę później był już w korytarzu.

6

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28. 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2094 P-2

Co łączy, co dzieli?

1.

Wielu znajomych pytało mnie, czym czytał artykuł Zygmunta Kałużyńskiego *„Sprowadzanie z drogi"* pomieszczony w 6 numerze „Kultury" Czytałem. I artykuł Jerzego Turowicza *„Kościół i polityka"*, który ukazał sie w 12 numerze „Tygodnika Powszechnego" też czytałem. Myśle, że Zygmunt Kałużyński podjał sie trudnego zadania wykazania Kościołowi, że w swojej praktycznej działalności w Polsce rozmija sie z tym, co nakazywałaby mu czynić Ewangelia. W polemice ideologicznej Zygmunt Kałużyński pominał wszakże dość istotny passus z artykułu Jerzego Turowicza. Oto stosowny cytat:

„Drogą chrześcijanina do zbawienia jest pełnienie tego, co Chrystus nazwał największym przykazaniem: miłości Boga i miłości bliźniego.

Wprowadzanie w życie miłości bliźniego obejmuje codzienne stosunki międzyludzkie, obejmuje wszelką pomoc duchową czy materialną, jakiej chrześcijanin winien udzielać ludziom znajdującym sie w potrzebie, ale obejmuje także całokształt życia zbiorowego społeczności ludzkiej. Zadaniem chrześcijanina, zadaniem Kościoła jest także dążenie do przekształcenia społeczności ludzkiej w społeczność braterską, w której panuje sprawiedliwość i poszanowanie dla każdej osoby ludzkiej i jej praw. Kościół bowiem troszczy sie nie tylko o indywidualne zbawienie każdego człowieka ale i o to, żeby przybliżała sie realizacja boskiego planu zbawienia ludzkości. Z przykazania miłości bliźniego płynie wprost obowiązek dążenia, by instytucje i struktury życia zbiorowego, struktury społeczne, ekonomiczne i polityczne, tworzone przez człowieka, służyły temu człowiekowi, obowiązek dążenia do zmiany tych struktur, jeśli człowiekowi nie służą lub źle służą".

Zygmunt Kałużyński jakoś nie dostrzegł, że Jerzy Turowicz z nakazu miłowania bliźniego jak siebie samego, z nakazu *„poszanowania dla każdej osoby ludzkiej i jej praw"* czyni prawo do zwalczania tego, co zdaniem zwalczających źle służy człowiekowi. Nie dostrzegł również i tego, że Jerzy Turowicz polemizując z krytyką watykańskiej krytyki *„teologii wyzwolenia"* wyraźnie wskazał, co źle służy człowiekowi. Napisał on bowiem wyraźnie, wskazując jakie to dewiacje *„prowadzą w sposób nieuzasadniony do zdrady spraw ubogich"*:

„Owe dewiacje — pisze Jerzy Turowicz — *to przyznanie prymatu wyzwoleniu ze zniewoleń doczesnych przed wyzwoleniem człowieka z grzechu, a nawet utożsamianie Królestwa Bożego z wyzwoleniem społeczno-politycznym człowieka; to stosowanie w analizie sytuacji społecznej metodologii marksistowskiej, co w sposób nieunikniony prowadzi do akceptacji inspiracji ideologicznej marksizmu; to uważanie walki klas za motor historii oraz usprawiedliwienie stosowania przemocy dla zmiany sytuacji społeczno-politycznej, wbrew płynącemu z Ewangelii stanowisku Kościoła odrzucającego przemoc...".*

Widać jednak z tego, że metodologia marksistowska jest nieodzowna przy analizie sytuacji społecznej biedoty krajów nie tylko Ameryki Łacińskiej, I, że zostało już w praktyce dowiedzione, iż apelami i dobrą wolą rzeczywistości sie nie zmienia. Dowodzi tego historia, której motorem wbrew temu, co uważają przeciwnicy marksizmu, jest walka klas.

Ma więc racje Zygmunt Kałużyński, kiedy pisze, że żąda sie dla Kościoła roli partii, ale bez jakiejkolwiek kontroli i sprzeciwu. *„Czyli* — jak pisze — *Kościół ma sytuacje wyjątkową, i żąda specjalnej ochrony, znacznie większej niż jakaś partia: ponieważ każdą partię można podważać, i robi się to bezustannie, ale Kościół jest to instytucja Boga w imieniu Narodu, więc nawet jeżeli będzie wykonywał robotę partii, to jednak nie wolno go krytykować jak partię".*

2.

W tym samym czasie odbyło sie w Łodzi spotkanie członka Biura Politycznego KC PZPR, I sekretarza KŁ — Tadeusza Czechowicza z przedstawicielami stowarzyszeń chrześcijańskich oraz duchownymi różnych wyznań. Jak to obliczył działacz PRON, inż. Jerzy Wieczorek, było to już piate spotkanie. Wiele spraw zgłoszonych na poprzednich zostało pomyślnie rozwiązanych. Ale przecież spotkania te nie służą tylko zgłaszaniu różnych postulatów, wniosków i pretensji, służą też wymianie poglądów. Tadeusz Czechowicz przedstawił zebranym aktualne problemy, nad rozwiązaniem których trudza sie władze w kraju i w województwie łódzkim miejskim oraz próbował szukać tych płaszczyzn, na których mogliby ze sobą współpracować dla dobra Polski ludzie różnych światopoglądów Przede wszystkim — powiedział — nie możemy dopuścić do tego, aby Polska stała sie terenem miedzynarodowej konfrontacji, trzeba wiec wspólnie dążyć do eliminacji działań destrukcyjnych, trzeba wspólnie szukać odpowiedzi na pytanie: jaka będzie przyszła Polska, w jaki sposób rozwijać samorządy, aby coraz więcej ludzi brało udział w rządzeniu i chciało za to rządzenie ponosić odpowiedzialność?

Tak wiec dyskusja potoczyła sie wokół tego, co łączy ludzi różnych wyznań i światopoglądów. Ksiądz Feliks Litewka, który niedawno obchodził 50 lat kapłaństwa i działa w „Caritasie" zwrócił uwagę na to, że sporo jest takich argumentów, które łączą ludzi. Naczelnym jest obywatelstwo PRL; z poczucia wiezi obywatelskich wynika nie tylko świadomość spraw, które wymagają rozwiązania, ale i obowiązek uczestniczenia przy ich rozwiązywaniu. Ksiądz Feliks Litewka nie krył, że nie wszyscy kapłani podzielają taki pogląd, że niektórzy usiłują poczucie obowiązku obywatelskiego nazywać *„politykowaniem"*, a faktyczne politykowanie *„mówieniem wiernym prawdy"*.

Również Andrzej Gałecki z łódzkiego oddziału Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego opowiedział sie za sprowadzeniem różnic światopoglądowych do właściwych wymiarów i do wyniesienia na plan pierwszy nadrzednych spraw państwa i narodu.

3.

Wspomniany już inż. Jerzy Wieczorek (PAX) zastanawiał sie na słusznością używanego często sformułowania: *„władza i naród"*, czy *„władza i społeczeństwo"*, sugerując jednocześnie, że powinno sie raczej mówić: *„naród i władza"*, *„społeczeństwo i władza"*. Sądze, że jest to spór dość formalny. Jednoznacznie rozstrzyga go *„Konstytucja PRL"*, która głosi, że *„w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej władza należy do ludu pracującego miast i wsi"*. Artykuł 2 *„Konstytucji PRL"* głosi, iż: *„Lud pracujący sprawuje władze państwowa przez swych przedstawicieli, wybieranych do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i do rad narodowych w wyborach powszechnych, bezpośrednich, w głosowaniu tajnym"*. Na zasadzie tej została oparta *„Ordynacja wyborcza do Sejmu PRL"*, która stanowi daleko posunięta demokratyzacje prawa wyborczego w stosunku do obowiązujących w poprzednich okresach, a także w stosunku do prawa wyborczego innych krajów.

Skąd zatem watpliwość zgłoszona przez Jerzego Wieczorka? Sądze, że z obawy, aby znów nie popełniono znanych z przeszłości błędów, czy też zupełnie nowych. Skoro władza należy do ludu pracującego i lud ten ją wybiera, to i lud musi ją kontrolować. Modne jest u nas przeciwstawianie władzy społeczeństwu i na odwrót. Nie zniknęła nieufność do poczynań władzy. Stąd też sugestia Jerzego Wieczorka, aby na pierwszym miejscu stawiać naród lub społeczeństwo bierze sie z chęci przypomnienia, że ono jest źródłem wszelkiej władzy. Ale przecież rzecz nie w sformułowaniach, a w praktyce.

Społeczna i polityczna praktyka stawia przed nami możliwość wyboru takich przedstawicieli, do których będziemy mieli zaufanie i dać możność kontrolowania ich działalności. Trzeba tylko z tych możliwości w pełni skorzystać, poczuć sie odpowiedzialnym i za kandydatów, i za ich wybór, i za realizacje programu PRON. Czas po temu jest jak najbardziej sposobny.

4.

Jak zwykle na takich spotkaniach sprawy wielkie mieszają sie ze sprawami drobnymi. Ale przecież życie nasze składa sie na ogół ze spraw drobnych i one nam — jeśli nie dzieje sie dobrze — sprawiają najwięcej kłopotu, złoszczą i przeszkadzają. Ale stosunek do tych spraw może wynikać z obojętności na wszystko, co sie wokół nas dzieje i może brać sie z poczucia obywatelskiej odpowiedzialności. Jeśli Jan Stanik z łódzkiego oddziału PAX pyta, dlaczego Łódź jest brudna i wskazuje, że okolice Dworca Fabrycznego to zła wizytówka miasta, bo pełno tam pijaków w godzinach przedpołudniowych, rozkopanych chodników i jezdni, z ciągnącym sie latami remontem ŁDK, to czyni to z obywatelskiej troski o miasto. Wprawdzie wiceprezydent Lech Krowiranda próbował tłumaczyć, że miasta fabryczne na ogół bywają brudne, to jednak musiał przyznać, że co innego opady z fabrycznych kominów, a co innego niedbalstwo robotników. Tylko, że jeden wiceprezydent i jeden sekretarz komitetu partyjnego wszystkiego nie dostrzega i nie dopilnuja. A gdzie są służby komunalne? A gdzie władze dzielnicy śródmiejskiej? I wreszcie, czy z tymi „drobiazgami" trzeba czekać na spotkanie z władzami miasta?

Miał niewątpliwie racje Józef Urbański — przewodniczący łódzkiego oddziału PAX — gdy mówił, że najgorszym złem jest obojętność, że po człowieku, którym nie rządza żadne idee, wszystkiego można spodziewać sie, wszystkiego najgorszego. Ale i żywa reakcja na wszystko złe, sprzeciw, powinien objawiać sie dobijaniem sie nieustannym dla swoich racji, dla swego obywatelskiego poczucia odpowiedzialności. Inaczej nie zwalczymy obojętnych.

5.

Spotkanie to wykazało — już po raz piąty — że choć wiele nas dzieli, to też wiele nas łączy, zwalczajmy to, co nas łączy, zwalczajmy to, co nas dzieli. Mamy jedno życie i jedna Polske.

LUCJAN BOGUSZ

Serdeczne wyrazy współczucia

red. TOMASZOWI SASOWI

z powodu śmierci teścia

TADEUSZA GRZELAKA

składa

Zespół „ODGŁOSÓW"

Po

działaniach wojennych z początku 1944 roku ukształtowała sie dość niekorzystna linia frontu. Najdalej na zachód sięgała ona na Wołyniu, bo do Włodzimierza Wołyńskiego i rejonu Kowla. Przy rzece Prypeć gwałtownie skręcała na wschód, aby na wschód od Płyczu skręcić lekko na północ w kierunku Żłobina i Rogaczewa. Dalej biegła na północ pozostawiając po niemieckiej stronie frontu Bychów, Mohylew Orszę i Witebsk. Na północ od Witebska skręcała na zachód, aby znów gwałtownie skręcić na północ w stronę Idrycy. Powstało w ten sposób wybrzuszenie, które Niemcom dawało możliwość ataku w strone Kijowa z kierunku Żłobina, Bychowa i Mohylewa, co grozić mogło odcieciem wojsk 1 Frontu Białoruskiego znajdującego sie pod Kowlem i Włodzimierzem Wołyńskim. W tym wybrzuszeniu siegającym na Białoruś daleko na wschód operowała Grupa Armii „Mitte", a daleko na północy Grupa Armii „Nord" oraz część sił 4 Armii Pancernej.

23 czerwca 1944 roku rozpoczeła sie Białoruska Operacja nosząca kryptonim „Bagration". Już pierwsze uderzenie przyniosło sukces wojskom radzieckim, ale walki trwały do 31 sierpnia 1944 roku i były bardzo ciężkie i wyczerpujące.

W LASACH POD KIWERCAMI

na Wołyniu rozlokowały sie pułki 1 Armii Wojska Polskiego. Do pierwszych dni maja 1944 roku stacjonowały one w rejonie Żytomierza i Berdyczowa. W tym czasie 1 Armia Wojska Polskiego została podporządkowana dowódcy 1 Frontu Białoruskiego gen. armii Konstantemu Rokossowskiemu. Dla żołnierzy polskich stało się jasne, że zbliża sie moment wkroczenia na ziemie polskie i wtedy Wojsko Polskie weźmie udział w walkach z Niemcami i w wyzwalaniu Polski spod hitlerowskiej okupacji.

„Pobyt Armii Polskiej na Wołyniu — wspomina były żołnierz 1 Dywizji im. Tadeusza Kościuszki płk. dypl. rez. Czesław Bielejewski — *i napływ uzupełnienia spośród Polaków powołanych do służby wojskowej z wyzwolonych obszarów Zachodniej Ukrainy, wymagał zintensyfikowania działalności wychowawczej. Między innymi trzeba było jeszcze raz wyjaśnić sprawę nowych granic Polski"*.

W „Manifeście Demokratycznych Organizacji Społeczno-Politycznych i Wojskowych w Polsce" z grudnia 1943 roku zostało wyraźnie powiedziane, że:

„Krajowa Rada Narodowa dążyć będzie:

do włączenia w granice państwa polskiego wszystkich ziem polskich i zgermanizowanych przez przemoc niemiecką obecnie i w ciągu wieków,

do ustalenia wschodnich granic państwa polskiego, zgodnie z wolą ludności, zamieszkującej ziemie wschodnie na zasadzie przyjaznego porozumienia z ZSRR".

W lasach pod Kiwercami, jak i w innych miejscach stacjonowania wojsk polskich, z żołnierzami spotkała sie delegacja KRN, która od 16 maja 1944 roku przebywała w Moskwie W składzie tej delegacji był Marian Spychalski. W książce „Początek walki" tak wspomina spotkanie z polskimi żołnierzami:

„W odpowiedzi na liczne pytania żołnierzy podkreślaliśmy doniosłe znaczenie przemian zachodzących w Polsce. Dzięki sojuszowi i poparciu Związku Radzieckiego nasze państwo odzyska historyczne ziemie piastowskie zagrabione przez imperializm niemiecki. Nowa Polska będzie krajem o ustroju demokratycznym, w którym władze obejmie lud".

W skład delegacji KRN, która od 16 maja 1944 roku przebywała w Moskwie wchodzili też: Edward Osóbka „Wróblewski", Kazimierz Sidor „Hardy" i Jan Haneman. Delegacja spotkała sie z przedstawicielami Związku Patriotów Polskich i Centralnego Biura Komunistów Polskich, które powstało w Moskwie na początku 1944 roku. Delegacja spotkała sie też na Kremlu z Józefem Stalinem. W trakcie tej rozmowy poruszono sprawe granic przyszłej Polski.

„Następnie — wspomina Marian Spychalski — *poruszyliśmy kwestię najwłaściwszego i sprawiedliwego uregulowania granic Polski powojennej. Nasz kraj, który już od pamiętnego września zaczął ponosić szczególnie wielkie cierpienia i stratę pod okupacją hitlerowską, powinien uzyskać warunki do szybkiej odbudowy zniszczeń dokonanych przez okupanta. Kierujemy sie zasadą samostanowienia narodów i uznajemy konieczność uwzględnienia dążeń Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. Jednocześnie dostrzegamy potrzebę przywrócenia Polsce historycznie do niej należących terytoriów na zachodzie. W tej pierwszej rozmowie nie wdawaliśmy się w szczegóły dotyczące przebiegu granic zachodnich, wspomnieliśmy jedynie, że Polska w perspektywie dziejowej rozciągała się po Odrę i Nysę".*

W czasie pobytu w Moskwie Marian Spychalski używał pseudonimu „Turski". Po rozmowie z Józefem Stalinem na Kremlu powstała konieczność opublikowania komunikatu o pobycie delegacji KRN w ZSRR i rozmowach przeprowadzonych przez nią. *„Stalin był zdania* — wspomina Marian Spychalski — *że komunikat powinien zawierać jakiekolwiek nazwisko, które będzie potem figurowało przy prawdziwym, kiedy już w odpowiednim czasie będziemy je podawać do publicznej wiadomości"* Postanowiono, że komunikat zostanie podpisany nazwiskiem „Morawski" i kryć się będzie pod nim Edward Osóbka, który faktycznie stał na czele delegacji. Kłopot tkwił w tym, że takiego pseudonimu używał Jan Haneman, wchodzący w skład delegacji. *„Kiedy o tym zakomunikowałem Osóbce* — wspomina dalej Marian Spychalski — *był z tego zadowolony i odtąd nosi dwuczłonowe nazwisko Osóbka-Morawski. Natomiast Haneman był mniej zadowolony z tej zamiany".*

SPRAWA GRANICY NA ODRZE I NYSIE ŁUŻYCKIEJ

została przedstawiona Józefowi Stalinowi dopiero w czasie wizyty w Moskwie gen. Michała Roli-Żymierskiego. Zdaniem Józefa Stalina działacze KRN powinni byli przenieść sie na radziecką stronę frontu i razem z Wojskiem Polskim wkroczyć do Polski. Delegacja KRN nie była o tym do końca przekonana i poproszono tylko o przerzucenie do ZSRR gen. Michała Rolę-Żymierskiego i dwóch działaczy Stronnictwa Ludowego: Stanisława Kotka-Agroszewskiego i Jana Czechowskiego.

Pierwsza próba przerzucenia „Douglasem" członków KRN i rannych partyzantów nie udała sie. Wybrano złe miejsce pod lądowanie. Przeciążony samolot ledwie oderwał się od ziemi, spadł na pobliski las. Na szczeście skończyło sie potłuczeniami Jeden z pilotów miał wybite zęby, Stanisław Kotek-Agroszewski złamany obojczyk, a Jan Czechowski skręconą nogę. Dopiero drugi samolot w nocy z 5 na 6 lipca 1944 roku zabrał delegacje KRN i ciężej rannych partyzantów, którym potrzebne było leczenie w szpitalu. Rannych i potłuczonych zabrano do szpitala, a gen Michał Rola-Żymierski udał sie na odpoczynek do hotelu wojskowego. Z Józefem Stalinem spotkał się tegoż samego dnia po godzinie 22

W czasie tego spotkania gen. Michał Rola-Żymierski — który miał szerokie pełnomocnictwa Prezydium KRN i KC PPR — przedstawił sytuacje wojskowa i polityczna w kraju oraz wiele innych spraw, którymi zajmowała się KRN i PPR. Na zakończenie rozmowy powiedział:

— *„Towarzyszu Stalin, kierownictwo Polskiej Partii Robotniczej upoważniło mnie do przedstawienia wam jeszcze jednego problemu.*

— *Słucham — rzekł Stalin. (...)*

— *Kierownictwo Polskiej Partii Robotniczej prosi was bardzo gorąco, abyście na przyszłej konferencji pokojowej bronili naszych praw do zachodnich granic na Odrze i Nysie Łużyckiej...*

Wysunięta propozycja wyraźnie zaskoczyła Stalina. Żachnął się i głosem zdradzającym zdenerwowanie powiedział, że rząd Sikorskiego nie wysuwał tak daleko idących postulatów. Podkreślił także z naciskiem, że musi się liczyć z układem sojuszniczym, z osiągniętymi już porozumieniami. Po chwili milczenia Stalin kilkakrotnie powtórzył, że trzeba mieć argumenty, motywy uzasadniające ten postulat w rozmowach z zachodnimi sojusznikami.

— *Mamy argumenty — powiedział gen. Żymierski..".*

Przebieg tej rozmowy na podstawie ustnej relacji marszałka Michała Roli-Żymierskiego został przedstawiony w książce pt. „Marszałek Polski Michał Żymierski". Jak dalej wynika z tej relacji, gen. Żymierski przedstawił niekorzystny układ granicy z Niemcami w 1939 roku, a także historyczne dzieje tej granicy oraz znaczenie Śląska dla gospodarki polskiej.

„Rozmowa przeciągała się i w końcu Stalin zapytał mnie: — Czy macie jeszcze jakieś sprawy! Odpowiedziałem: — Tak, mamy jeszcze jedną prośbę, prosimy o włączenie Szczecina do Polski.

— Ale Szczecin leży na lewym brzegu Odry — to będzie skomplikowana sprawa — powiedział Stalin".

Tu gen. Michał Żymierski powołał się na przykład Gdańska, który do września 1939 roku był Wolnym Miastem i faktycznie znajdował się pod kontrolą Niemiec. Cóż z tego, że Polska miała całą Wisłę, jeśli nie miała Gdańska. *„To samo mogłoby się powtórzyć ze Szczecinem. Jeżeli mamy gospodarczo stanąć na nogi, to cały Szczecin powinien bezwzględnie należeć do Polski. Tu nie chodzi o jakiś większy obszar, tylko o to, ażeby samo miasto, z wyjściem nad morze, należało do nas".* Józef Stalin wysłuchał tej argumentacji, zadał kilka pytań i zażądał szczegółowych map Wisły i Odry. *„Po ich przeanalizowaniu przytaknął skinieniem głowy i stwierdził, że przytoczone argumenty mogą stanowić podstawę do dyskusji".*

W lasach pod Kiwercami toczyły się więc gorące dyskusje, padały pytania i rodziły się wątpliwości. *„O ile* — wspomina płk. Czesław Bielejewski — *powrót do macierzy prastarych ziem piastowskich nie budził żadnych wątpliwości, o tyle problem granicy wschodniej nadal wywoływał różne rozterki, zwłaszcza wśród żołnierzy pochodzących z Wołynia. W związku z bliskim już dniem wkroczenia na tereny kraju, istotne było wyjaśnienie żołnierzom z jakim programem wchodzimy, jaka ma być odrodzona ojczyzna".*

Sukcesy odnoszone przez wojska radzieckie w Białoruskiej Operacji pozwoliły wojskom 1 Frontu Ukraińskiego rozpocząć 13 lipca 1944 roku operację lwowsko-sandomierską, a znów powodzenia odniesione w tej operacji na rozpoczęcie operacji brzesko-warszawskiej.

Z REJONU KOWLA

wojska 1 Frontu Białoruskiego ruszyły do natarcia 18 lipca 1944 roku. Sforsowały Bug i 22 lipca zajęły Chełm Lubelski, a 23 lipca — Lublin i 25 lipca w rejonie Dęblina i Puław wyszły nad Wisłę. W przełamaniu obrony niemieckiej nad Turią i Bugiem brała udział artyleria polska. W wyzwalaniu pierwszego skrawka ziemi polskiej brało udział Wojsko Polskie.

18 lipca 1944 roku — gdy ruszyło natarcie spod Kowla — w Moskwie odbyło się wspólne posiedzenie KRN i ZPP. Wanda Wasilewska wysunęła propozycję, aby zarówno ZPP jak i Armia Polska w ZSRR podporządkowane zostały KRN. Postanowiono powołać „Delegaturę Krajowej Rady Narodowej" dla terenów wyzwolonych, która miałaby charakter tymczasowego rządu. Zdaniem Edwarda Osóbki-Morawskiego i Andrzeja Witosa rząd tymczasowy powinna powoływać cała KRN, a nie tylko jej część, 20 lipca jeszcze raz przedyskutowano ten problem na posiedzeniu „Delegatury KRN" i postanowiono powołać do życia Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. 22 lipca 1944 roku w wyzwolonym Chełmie ogłoszono „Manifest PKWN".

PKWN stał się więc tymczasowym organem władzy wykonawczej, a KRN przejęła zwierzchnictwo nad Armią Polską w ZSRR, scalając ją z Armią Ludową w Wojsko Polskie. 23 lipca 1944 roku w Chełmie Lubelskim ukazał się 1 numer „Rzeczypospolitej" z tekstem „Manifestu PKWN". 2 numer ukazał się 4 sierpnia w Lublinie. Gazeta wychodziła tutaj do początków lutego 1945 r., kiedy redakcja została przeniesiona do Łodzi. „Rzeczpospolita" ukazywała się początkowo w dwóch formatach: normalnym i małym, który przeznaczony był do zrzucania na tereny okupowane. W Lublinie zaczęły się też ukazywać „Głos Ludu" i „Robotnik".

26 lipca 1944 roku PKWN podpisał w Moskwie porozumienie z rządem ZSRR w sprawie stosunków między dowództwem wojsk radzieckich a administracją polską. Radzieckie władze wojskowe zostały zobowiązane do natychmiastowego przekazywania władzy administracji polskiej. Przystąpiono do budowy aparatu nowej władzy. Do aparatu tego starano się przyciągnąć wszystkich ludzi doświadczonych, ale i pewnych, do których można było w nowych warunkach mieć zaufanie, i na których można było liczyć.

1 sierpnia 1944 roku Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych ZSRR ogłosił uznanie PKWN przez rząd radziecki. Tego samego dnia wybuchło w Warszawie powstanie. 6 sierpnia 1944 roku spotkały się w Moskwie delegacje KRN i PKWN oraz emigracyjnego rządu londyńskiego.

ROZMOWY W MOSKWIE

odbyły się z inicjatywy Józefa Stalina i Winstona Churchilla. Józef Stalin 23 lipca poinformował Winstona Churchilla o wkroczeniu Armii Czerwonej na tereny polski i o powstaniu PKWN. Dodał on, że nie traktuje PKWN jako rządu polskiego, że rząd taki może powstać dopiero po włączeniu do PKWN demokratycznie nastawionych ugrupowań z londyńskiej emigracji. Sugerował też, że PKWN życzliwie traktuje Stanisława Mikołajczyka i byłoby dobrze, gdyby ten nawiązał kontakt z PKWN. Nie widział też przeszkód, aby do spotkania doszło w Moskwie.

Stanisław Mikołajczyk — premier rządu polskiego w Londynie oraz Tadeusz Romer, minister spraw zagranicznych tego rządu i Stanisław Grabski, przewodniczący Rady Narodowej w Londynie wyruszyli w podróż do Moskwy w nocy z 26 na 27 lipca 1944 roku. W Kairze doszła ich wiadomość o podpisaniu przez PKWN i rząd radziecki porozumienia w sprawie polskiej administracji ziem wyzwalanych. Z Londynu doszła ich depesza radząca powrót. Mimo to Stanisław Mikołajczyk i towarzyszące mu osoby dotarły do Moskwy 29 lipca.

3 sierpnia Stanisław Mikołajczyk spotkał się z Józefem Stalinem. W rozmowie ze Stalinem zaprezentował pogląd, że rząd emigracyjny w Londynie i jego delegatura w kraju reprezentują państwo polskie i zgadza się na włączenie do przyszłych władz przedstawicieli PPR. Podniósł też problem wschodnich granic. Józef Stalin oświadczył na to, że *„Polacy, Ukraińcy czy Białorusini jako Słowianie powinni żyć w przyjaźni"*, potwierdził swoje poparcie dla postulatu polskiej lewicy, aby przyszła granica zachodnia Polski biegła wzdłuż Odry i Nysy oraz oświadczył, że jest za porozumieniem narodowym Polaków i utworzeniem demokratycznego rządu. Doradzał też spotkanie z przedstawicielami PKWN, których zaprosił do Moskwy.

W skład delegacji polskiej wchodzili: przewodniczący PKWN — Edward Osóbka-Morawski, wiceprzewodniczący PKWN — Wanda Wasilewska, kierownik resortu rolnictwa PKWN — Andrzej Witos, przewodniczący KRN — Bolesław Bierut, dowódcy Wojska Polskiego — gen. Michał Rola-Żymierski. Rozmowy rozpoczęły się 6 sierpnia i trwały 7 sierpnia 1944 roku. Niedawno kwartalnik „Z POLA WALKI" opublikował protokół tych rozmów. Posiedzenie otworzył E. Osóbka-Morawski. Powiedział:

— *„Otrzymaliśmy zawiadomienie od ministra spraw zagranicznych Związku Radzieckiego o propozycji panów spotkania się z nami. Przyjęliśmy to z dużym zadowoleniem. Uważamy, że jest to krok na drodze do porozumienia się".*

S. Mikołajczyk: — *„Jeżeli chodzi o nas, to sam fakt naszego przyjazdu świadczy o tym, że gotowi jesteśmy zrobić wszystko,*

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Gdy wyszliśmy na brzeg...

co jest możliwe, ażeby dla naszego kraju móc zdobyć najkorzystniejsze warunki. Jeżeli chodzi o przedstawienie sprawy, to myślę, że możemy mówić szczerze i bez osłonek..."

Porozumienie się nie było łatwe. Wynikło szereg nieporozumień, ujawniły się radykalne różnice zdań i poglądów. Stanisław Mikołajczyk zaprezentował na przykład takie stanowisko:

— *„...Naród polski mógłby nam powiedzieć, wy panowie z Londynu i, wy panowie z Moskwy, przyjechaliście i chcecie rządzić Polską. Trzeba myśleć o kraju i o tych, którzy przez 5 lat znosili ciężar walk i oporu przeciw Niemcom, organizowali walkę w kraju...".*

Na to odpowiedziała Wanda Wasilewska:

— *„Ja chciałabym wyjaśnić, nie przechodząc do rzeczy zasadniczych, drobne nieporozumienie. Pan określił panów jako ludzi, którzy przyjechali z Londynu, a nas jako ludzi z Moskwy. Ja chciałabym zaznaczyć, że większość Komitetu Wyzwolenia Narodowego składa się z ludzi, którzy 5 lat znajdowali się pod okupacją i walczyli z nią. Polaków ze Związku Radzieckiego weszło mało. Przewodniczący Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i dowódca naczelny to siły z kraju".*

Nie było to jedyne nieporozumienie. Przez pewien czas trwał spór o to

CZY W WARSZAWIE WYBUCHŁO POWSTANIE

S. Mikołajczyk: — *„Warszawa krwawi od 1 sierpnia. Musieliśmy się wycofać z Żoliborza i również z Dworca Głównego. W tej chwili Niemcy wszystko palą, płoną budynki w Alejach Jerozolimskich. Teraz jest rzeczą drugorzędną, kto i jak pokieruje walką trzeba przyjść Warszawie z pomocą".*

W. Wasilewska: — *„...panowie są źle poinformowani, i to celowo, o tym, co dzieje się w kraju. Pan mówi o walce, która zaczęła się 1 sierpnia w Warszawie. Tu są ludzie, którzy wyszli 4 sierpnia z Warszawy i mówią, że tam był zupełny spokój. Może walki zaczęły się wczoraj lub dziś, ale poza jednym zamachem na samochód na rogu Koszykowej nic w Warszawie nie zaszło".*

S. Mikołajczyk: — *„Według otrzymanych przez nas wiadomości walki Armii Krajowej rozpoczęły się 1 sierpnia. Zgłoszono się do nas o dalsze instrukcje".*

E. Osóbka-Morawski: — *„To nieprawda. W wielu wypadkach panów oszukują, żadnych walk w Warszawie nie było...".*

Otóż, jak to było możliwe, że delegacja PKWN i KRN nie wiedziała o wybuchu powstania w Warszawie? Sprawę tę próbowała w 1964 roku wyjaśnić sama Wanda Wasilewska, gdy w Zakładzie Historii Partii przy KC PZPR nagrała na taśmę magnetofonową swoje wspomnienia. Opublikowane one później zostały w VII tomie „Archiwum Ruchu Robotniczego" w 1982 roku. Wiadomość o powstaniu w Warszawie wszystkich zaskoczyła, choć to było już 6 sierpnia i walki trwały od 6 dni. Stanisław Mikołajczyk otrzymał te informacje z ambasady brytyjskiej w Moskwie.

„Zadzwoniłam do Mołotowa — mówiła Wanda Wasilewska — *od razu po tym telefonie poszłam do Stalina i opowiedziałam mu, że Mikołajczyk opowiedział nam tę rzecz... Na to Stalin: my nie mamy żadnych takich wiadomości, a musielibyśmy przecież mieć. To jest z jego strony jakiś głupi manewr".*

Konstanty Rokossowski w książce „Żołnierski obowiązek" pisze, że *„2 sierpnia nasze organy rozpoznania otrzymały wiadomość, że w Warszawie wybuchło powstanie przeciwko niemieckiemu okupantowi".* Polecono więc wywiadowi zebrać bliższe dane, dla *„zorientowania się w skali powstania i jego charakterze".* Szło to opornie. Wprawdzie *„z punktu obserwacyjnego, który urządzono w wysokim kominie fabrycznym"* sam Konstanty Rokossowski oglądał płonącą Warszawę. *„Gęsto* — pisze — *wybuchały bomby i pociski. Wszystko to świadczyło, że w mieście toczą się walki".* Ale nadal nie było łączności z powstańcami i organy rozpoznania nie mogły dać pełnego obrazu tego, co działo się w powstańczej Warszawie. Dopiero *„w wyjaśnieniu sytuacji w Warszawie bardzo pomogli nam polscy towarzysze z Lublina".* W tej sytuacji, kiedy nie bardzo wiadomo było, co się w Warszawie dzieje, do Moskwy mogły nie napływać meldunki.

„Dla mnie — wspominała Wanda Wasilewska — *pewne rzeczy są niejasne, od samego początku: dlaczego Stalin nie wiedział? Czy rzeczywiście nie wiedział"?*

Z protokółu posiedzenia w dniu 7 sierpnia 1944 roku wynika, że gen. Michał Rola-Żymierski na samym początku złożył następujące oświadczenie:

— *„W związku ze zwracaniem się do mnie pana prezesa Mikołajczyka w sprawie* (powstania) *muszę stwierdzić, że stał się fakt dla nas bardzo ciężki. Mianowicie dowództwo Armii Krajowej zdecydowało się na zryw w Warszawie bez porozumienia i uzgodnienia z Armią Czerwoną, co może mieć następstwa bardzo przykre. Gdy przyjechałem tu 5 lipca, zwróciłem się do marszałka Stalina w dwóch sprawach: po pierwsze o broń i po drugie z prośbą o oszczędzanie stolicy Warszawy, ażeby Warszawa nie była brana frontalnym atakiem ale oskrzydlającym manewrem, co daje gwarancję, że miasto nie zostanie zniszczone. Marszałek Stalin przy mnie wydał odpowiednie rozporządzenie marszałkowi Rokossowskiemu, ażeby Warszawa nie była brana od strony Pragi (...). Gdyby dowództwo AK uzgodniło sprawę z dowództwem Armii Czerwonej, to nie doszłoby do przedwczesnego zrywu...".*

Dyskutowano jeszcze przez chwilę o możliwościach i technikach zrzucania broni dla walczącego miasta i na tym sprawa została zamknięta. Nie zmienia to w niczym poglądu, że powstanie miało być zaskoczeniem dla Armii Czerwonej i PKWN, gdyż wkraczające wojska radzieckie i polskie powitałaby armia powstańcza, która zdobyła władzę w mieście. Wszystko wskazuje również na to, że Stanisław Mikołajczyk chciał użyć powstania jako argumentu w politycznych rozgrywkach.

DO POROZUMIENIA NIE DOSZŁO

I dojść nie mogło, bowiem obie strony stały na przeciwległych klasowo pozycjach. Wprawdzie Stanisław Mikołajczyk deklarował że *„pod względem społeczno-gospodarczym, jeżeli chodzi o Manifest, podkreślaliśmy, że nie widzimy żadnych różnic"* ale w praktyce różnice te widział. Nie był na przykład przekonany czy jest możliwe dokonanie na wyzwolonych terenach reformy rolnej szybko i sprawnie. *„Ja jestem* — mówił — *zwolennikiem natychmiastowego wykonania reformy rolnej, ale tego nie wykonuje się tak szybko".* Były to jednak różnice mniej istotne.

Stanisław Mikołajczyk proponował rozważenie poglądów na trzy sprawy: 1. wschodnia granica Polski, 2. przyszły rząd w Warszawie, 3. władza nad wojskiem.

Jeśli chodzi o sprawę granic wschodnich, to proponował podjęcie wspólnych rozmów ze Związkiem Radzieckim na ten temat, choć Józef Stalin już we wstępnej z nim rozmowie nie dawał żadnych nadziei na zmianę swego stanowiska. Delegacja PKWN i KRN stała na stanowisku, że sprawa została przesądzona. Wprawdzie na osobiste starania Edwarda Osóbki-Morawskiego dokonano korekty w rejonie Puszczy Białowieskiej na rzecz Polski, ale to był drobny szczegół. Przedstawiciele PKWN nie kryli, że przesunięcie granicy wschodniej Polski będzie dla wielu Polaków sprawą bolesną, ale Polska zyskuje nowe tereny stracone w przeszłości, które stanowią nasze historyczne dziedzictwo. Delegacja emigracyjnego rządu nie interesowała się zbytnio sprawą granicy zachodniej. Chciano dyskutować jedynie o granicach wschodnich. I nie można było w żadnym wypadku, przy zasadniczej rozbieżności, dojść do jakiegokolwiek porozumienia.

W sprawie przyszłego rządu delegacja PKWN i KRN uważała, że decyzje trzeba podjąć już teraz, nie czekając na wyzwolenie Warszawy, gdyż sprawy przyszłości Polski nie mogą czekać. Uważała też, że nowy rząd powinien powstać w drodze uzupełnienia składu PKWN o postępowych, demokratycznie nastawionych ludzi z Londynu, ze Stanisławem Mikołajczykiem na czele. Zdecydowanie od wszelkiej władzy muszą być odsunięci ludzie związani z przedwojennym obozem sanacyjnym i wrogo nastawieni do komunistów i ZSRR.

Stanisław Mikołajczyk proponował natomiast oparcie nowego rządu o 4 stronnictwa: Stronnictwa Ludowego, Stronnictwa Narodowego, Stronnictwa Pracy i Polskiej Partii Socjalistycznej. Proponował, aby do tego rządu dokooptować PPR. Wszyscy mieliby po równej liczbie mandatów. Rząd ten miał powstać w chwili wyzwolenia Warszawy. Delegaci Lublina nie godzili się z taką koncepcją. Uważali, że stronnictwa są porozbijane, podzielone i trzeba personalnie rozważać, kto ma wejść do rządu. Tak więc i ta sprawa pozostała nierozstrzygnięta.

Podobnie miała się sprawa ze zwierzchnictwem nad Wojskiem Polskim. Zgodnie z postanowieniami KRN ona przejęła zwierzchnictwu nad Wojskiem Polskim, które powstało z połączenia 1 Armii Polskiej w ZSRR i Armii Ludowej. Ale były jeszcze Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie oraz Armia Krajowa. Bataliony Chłopskie i Narodowe Siły Zbrojne. Delegaci KRN i PKWN stali na stanowisku, że jest jedno Wojsko Polskie i jedno nad nim zwierzchnictwo. Inni albo się mają temu podporządkować, albo rozwiązać. Innego wyjścia nie widziano. Wiązało się to również ze sprawą formacji wojskowych na zapleczu frontu radzieckiego. Dowództwo wojsk radzieckich chciało mieć jasną sytuację. Chciało wiedzieć, czy ma sojuszników czy przeciwników. Armia Krajowa nie uznawała zwierzchnictwa PKWN czy KRN, a tylko rządu w Londynie. Rząd ten natomiast nie posiadał stosunków dyplomatycznych z jednym z członków antyhitlerowskiej koalicji — ZSRR. Rząd radziecki nie miał też wątpliwości, że rząd emigracyjny w Londynie nie jest przyjaźnie nastawiony do ZSRR. Mimo że Winston Churchill ostro domagał się od Stanisława Mikołajczyka nawiązania stosunków z ZSRR, rząd londyński stale się temu sprzeciwiał. Układ wzajemnych stosunków lub ich brak niebywale komplikował sytuację w kraju w momencie wkraczania wojsk radzieckich. Jedyną siłą, która mogła sytuację tę uporządkować i rozwiązać była KRN i jej władza wykonawcza — PKWN.

Tak więc próba porozumienia zakończyła się fiaskiem. Stanisław Mikołajczyk spotkał się jeszcze 9 sierpnia 1944 z Józefem Stalinem. Bronił swego punktu widzenia ale też nie osiągnął żadnego porozumienia. Doszedł słusznie do wniosku, że ZSRR chce dobrych stosunków z Polską, że popiera idee jedności narodowej, że dla ZSRR rozbita Polska, skłócona wewnętrznie nie jest pożądanym partnerem i sojusznikiem. Ale z tych przesłanek wyciągnął zupełnie mylny wniosek, że stanowią one szanse dla rządu emigracyjnego, bowiem ZSRR traktuje PKWN instrumentalnie jako formę nacisku na rząd w Londynie, a tylko ten rząd i jedynie ten może być uznany za legalny ośrodek władzy w Polsce. Pomylił się w tych rachubach.

31 grudnia 1944 roku KRN powołała Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej Polskiej, na czele którego stanął Edward Osóbka-Morawski, a w skład jego weszło po 5 przedstawicieli PPR, PPS i SL oraz dwóch z SD. 4 stycznia 1945 roku ZSRR uznał Rząd Tymczasowy RP. Dopiero w dniach 17—22 czerwca 1945 roku w Moskwie odbyła się kolejna konferencja przedstawicieli KRN, Rządu Tymczasowego RP i kół demokratycznych i liberalno-burżuazyjnych w sprawie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, który został powołany przez prezydenta KRN 28 czerwca 1945 roku. Premierem został Edward Osóbka-Morawski, wicepremierami: Władysław Gomułka i Stanisław Mikołajczyk.

Zakończył się w ten sposób jeden z etapów budowy nowego państwa polskiego opartego na zasadach ludowładztwa.

ze str. 1

pie w oczy, dusi. Kranówa nadaje się do prania, od biedy do mycia. Komunikaty oznajmiają, że brunatna ciecz w niczym nie przypomina moczu, a nawet go przewyższa. To nic, że zawiera sporo żelaza i manganu. Przecież nie zanotowano żadnych zatruć wodą. To tylko zbiorowy kaprys, moda na zdrowie.

Kranówę trzeba łapać póki jest. Jutro znowu może jej zabraknąć, w rurach skrzypnie coś zabulgoce, ale nie wycieknie z nich nawet kropla cuchnącej zawiesiny. Wtedy na ulice wjedzie odrapany beczkowóz, stanie na rogu i zwabi tłumek z kolorowymi wiaderkami. Beczkowozu wypatruje się zza firanek, bo wstyd jakoś czekać na woziwodę w otwartym oknie. Wszak nie jest to prowincja, tylko wojewódzkie miasto. Więc kiedy zbiornik z wodą wtacza się na ulicę, trzeba szybciutko chwycić wiadro, zotec po schodach, a potem już wolnym, dostojnym krokiem podejść do beczkowozu i stanąć w kolejce po przydział: wiadro wody na dorosły łeb, a dzieciakom ile pomieści się w plastykowe kubki.

TAK ŻYJE STUTYSIĘCZNE MIASTO ZIELONA GÓRA.

Naczynia do łapania wody to teraz prawdziwy rarytas. Jeszcze na wiosnę było ich pod dostatkiem, ale kiedy przyszła majowa posucha każdy gnał do sklepu i brał co większe wiadra, kociołki i garnki. Nawet małe foliowe konewki zniknęły w dwa dni, a porządny kanister stał się obiektem spekulacji.

Rankiem w autobusach wiozących robotników na pierwszą zmianę pobrzękuje szkło. W torbach i siatkach podróżują puste butelki. Zabiera się je z domu, żeby przy fabrycznej głębinowej studni wlać litr normalnej czystej wody. Musi jej starczyć na herbatę, na zupę, a może nawet na jakieś małe szaleństwo — choćby kompot z truskawek.

WODOPOJÓW W MIEŚCIE JEST KILKA:

jedenaście publicznych studni i sześć/ zakładowych kranów wspaniałomyślnie wystających z murów wprost na ulice. Darmowe saturatory — mawiają złośliwi. Przy wodopojach kwitnie towarzyskie życie, lecą gromy na biedne głowy władz. Do wodopojów jedzie się miejskimi autobusami, taksówkami, rowerami, a nawet zaprzęgami ze starych dziecięcych wózków przerobionych na cysterny. Z kranów cieknie czysta, kryształowa woda: wspaniała, czysta i pachnąca. Z sześciu kranów. Po drugiej stronie murów przede wszystkim tych grubych i wysokich, jest czystej wody, ile zapragnie dusza. Mają tę czystą wodę bardzo ważne instytucje: gorzelnia, browar i wytwórnia podłych win.

Z beżowego muru wytwórni win sterczy zardzewiała rurka. Pod nią podstawia się litrowe butelki od coli, mniejsze od oranżady, okopcone czajniki. Woda sączy się, wolno napełnia butle. W powietrzu unosi się zapaszek siarkowego bełta. Przez ażurową bramę widać jak robotnik rozładowuje przyczepę z parchatymi jabłkami. Silnym strumieniem wody z węża spłukuje do kanału bełciany surowiec. Pomarszczone owoce taplają się w wodzie, brną w kierunku młynków. Będzie z nich pierwszorzędny „jabol". A pod zardzewiałą rurką stoi ogonek z litrowymi butelkami. Na herbatę, na zupę — może nawet na kompot.

Tak żyje stutysięczne miasto

DO LASU CHODZI SIĘ Z WIADREM.

Najlepiej wcześnie rano bo przy źródełku stoi krótki jeszcze ogonek. Źródlana woda jest niepoprawnie czysta i tak smaczna, że warto dla niej przedzierać się przez chaszcze tonąć w błocie, by po kilometrowym marszu usłyszeć znajomy plusk. Ale tej wody nie można wziąć zbyt dużo, na zapas. Do domu droga daleka, a teren trudny, pagórkowaty.

Do lasu wchodzi się od strony amfiteatru. To jest ten sam amfiteatr, w którym najlepsi odtwórcy radzieckich piosenek dostają wspaniałe samowary. Woda na herbatę z samowara jest kilometr dalej. Tryska ze skalnej szczeliny i jeśli nie odstawić naczynia umyka wąskim skalnym rowkiem.

Źródełko jest niczyje. Trzeba tylko je odszukać, zejść po stromym zboczu, podstawić wiadro. Niedawno leśnicy zamocowali tu kawałek drenu, żeby mieszczuchom było wygodniej czerpać z wodopoju. Ktoś zmajsterkował prowizoryczną kładkę, ktoś przytargał stołek.

— Do czasu — mówią w Sanepidzie — bo jak dalej tak pójdzie, to ludzie zwyczajnie zadepczą źródełko i będzie po sprawie. Albo, odpukać, z jakiegoś samochodu wycieknie olej — o chemikaliach, którymi opryskuje się lasy strach nawet myśleć...

ŹRÓDEŁKO JEST NICZYJE.

Można by je na przykład obudować, wyznaczyć strefy ochronne, zrobić badania geologiczne. Można by, lecz kto za to zapłaci. Nie ma właściciela, nie ma też problemu. Jeśli stanie się nieszczęście, nie będzie potrzeby szukania ofiarnego kozła.

Sanepid cichcem pobiera próbki źródlanej wody. Taka woda może spokojnie jechać do Sevres pod Paryżem jako wzorzec wody pitnej.

W wolną sobotę przy źródełku tłoczniej niż na deptaku. Do lasu chodzi się całymi rodzinami, bo na niedzielnym stole powinien być rosół i kompot. Kolejka po wodę jest długa.

Tak egzystuje stutysięczne miasto.

KAWA W „TOPAZIE" MA SMAK PŁYNU SPUSZCZONEGO Z SAMOCHODOWEJ CHŁODNICY.

Pij ją nieufny przybyszu, bo tylko tak doświadczysz jak smakuje żelazo wymieszane z manganem. Pij ją małymi łykami, żeby poczuć jak na żołądku osiada gruda czegoś ciężkiego. Pij ją póki gorąca, bo kiedy wystygnie możesz nie zdzierżyć i grzmotniesz tym chłodniczym płynem w prześliczną ścianę reprezentacyjnego lokalu. A ty miejscowy konsumencie spijaj cienkie piwo, potem gnaj do źródełka po czystą wodę, albo ufaj komunikatom, że kranówa wprawdzie nie najlepsza, za to mieści się w normach. Wszak normy ustalają ludzie, a człek nie świnia, do wszystkiego zdolny przywyknąć.

Stutysięczne miasto ssie wodę z dwóch ujęć. Stare ujęcie budowano w czasach, kiedy Zielona Góra była małym miasteczkiem. Dobra to była woda, więc do szczęścia starczało parę kiepskich filtrów i pompa. Pretensji do gospodarskiej wyobraźni nikt wtedy nie wnosił, bowiem pech Ziem Odzyskanych pierwszych powojennych lat na tym się zasadzał, że obywatel osadnik dziejową burzą tu przygnany korzeni nie zapuszczał, jeno pilnie wyczekiwał sposobności powrotu na ojcowiznę. Gospodarzyć niewielu wówczas chciało, choć bogactwo natury kusiło, szeptało do ucha zostań, to wszystko może być twoje, wyciągnij tylko rękę. Ale rozum podpowiadał, że Niemiec spokoju nie da, o ziemię się upomni, a dobry Pan Bóg modlitwy wysłucha i drogę do zagrody ojcowej wskaże. Lata mijały, z wojennej tułaczki wracali ci, którzy na lubuskim chlebie wyrośli i dalej bardzo tego chleba pragnęli.

TYMCZASEM MĘDRCY URADZILI,

że ludzie chcą fabryk, przeto zjechały ekspedycje silnorękich, co to budować potrafią tanio i szybko. Dla nich to stanęły nowe domy, sercu bardzo bliskie, bo takie same jak w Warszawie, Suwałkach czy Bytomiu. Ludzie produkcyjnego czynu zakasali rękawy, chwycili za siekiery i kielnie, żeby poskromić ten las i tę wodę od wieków odłogiem leżące. Tak oto rosły w niebo strzeliste kominy, a inżynierowie dusz orzekli, że kierunek jest jedynie słuszny. Potem pionierzy wydali na świat dzieci, i zanim uschły ostatnie winnice, ze zdumieniem niejakim stwierdzono, iż woda z kranów cieknie jakby coraz słabiej. Wtenczas na najbliższej jako tako czystej rzeczce Obrzycy zamontowano rurę, żeby dać miastu wodę, bo rozrosło się niespodziewanie i apetytu dostało smoczego. Atoli Obrzyca płytka okropnie, ledwie trzymetrowa w nurcie, do tego glonami paskudnymi zarośnięta. Cóż zatem począć skoro interes pilny, a kasa ważniejsze ma wydatki. Galicyjskim sposobem rury należało złączyć: tę nową i tę starą z pradoliny Odry, zaś wszelkie paskudztwo potraktować chlorem.

Lecz miasto zwane niegdyś winnym grodem żądało coraz więcej wody. Ludzie wanny do mieszkań wstawili, jakby porządna miednica do życia nie starczała. Rury ssały wodę do oporu, aż w starym ujęciu zaświeciło dno i popłynęła ciecz wzbogacona żelazem i manganem.

Teraz powstał kłopot niewąski, bo skąd tu podebrać pitną wodę, jeśli całymi latami wydzieliny miast i fabryk bez oporu spływały sobie w przyrodę, a ta jakoś nie chce podjąć trudu zamiany szarego na zielone, marnieje w oczach, czkawką jej się odbija minione czterdziestolecie. Stanęło w końcu na tym, że na Obrzycy trzeba podczepić jeszcze jedną rurę i ciągnąć ile się da.

DOBRE SAMOPOCZUCIE URZĘDNIKÓW

umacnia oglądanie mapy, na której niebiesko na zielonym widać, iż województwo nie ma prawa uskarżać się na brak wody. Dwadzieścia trzy rzeki, sporo jezior i mniejszych zbiorników wodnych; ponad tysiąc kilometrów rzecznego koryta. Tego już na mapie nie widać i nie czuć w gabinetach z palmą. Że ponad połowa tych wód to regularne ścieki, za sprawą których z dwudziestu sześciu miast zielonogórskiego, jedenaście uznano za epidemicznie zagrożone — w tym stolicę województwa i miasteczko Żary. Ponad połowa wodociągów dostarcza wodę niezdatną do spożycia. Brunatna ciecz zawiera ogromnie dużo metali. Mieszkańcy Okopca i gminy Nowa Sól piją herbatę z azotanem. W Starym Kramsku i Warwcu prymitywne uzdatnianie wcale nie przeszkadza inwazji bakterii. W Nowym Miasteczku, Sławie i Cybince w ogóle nie ma publicznych wodociągów, zaś w rejonach stale zagrożonych powodziami dwadzieścia trzy wsie nie powinny korzystać ze studni podwórzowych, bowiem grozi to epidemią.

W czterdzieści lat po odzyskaniu tych ziem trzecia część inwestycji wodnych pamięta czasy przedwojenne. Sypią się poniemieckie wodociągi, stacje pomp i filtry, a świństwa płynącego rzekami nie da się już zabić nawet toną chloru.

W Tamizie podobno znowu pojawiły się pstrągi, za to na brzegach lubuskich rzek i jezior coraz trudniej spotkać osobników moczących kije. Wody cuchną, w czym skutecznie pomagają uprzemysłowieni sąsiedzi forsujący wielką chemię, tania, bo odchody dostaje w prezencie matka natura.

Z ręką w nocniku budzą się miejscowe władze, po czym udają się na kolejną naradę w sprawie ochrony środowiska. „Gazeta Lubuska" tak relacjonuje przebieg jednej z nich:

„Osobnym problemem jest budowa oczyszczalni dla Zielonej Góry. Brak specjalistycznego wykonawcy, odpowiednich fachowców, powoduje, iż prace prowadzone są przez jednostki nieprzygotowane i niewyposażone we właściwy sprzęt. (...) Postulowano udział rzemiosła w budowie oczyszczalni, upowszechnianie w społeczeństwie świadomości zagrożenia."

A w Tamizie podobno znowu pojawiły się pstrągi.

Społeczeństwo, któremu należy uświadomić zagrożenie naturalnego środowiska, myje się w żółtej, cuchnącej cieczy biega po lesie w poszukiwaniu wody do picia. Ale to tylko zbiorowy kaprys, moda na zdrowie...

Na murze obok publicznego wodopoju czyjaś ręka napisała kredą: **„PICIE ALBO ZDROWIE — WYBÓR NALEŻY DO CIEBIE"**

ROMAN KUBIAK

Miasto i woda

Moda na zdrowie

Gdzie najgorzej – tam najlepiej

Wiele dóbr trwałego użytku, które — zdawałoby się — należą do podstawowego wyposażenia każdego mieszkania zalicza się od paru lat do grupy tzw. towarów luksusowych. Na samym szczycie tych „luksusów" stoi jednak samo mieszkanie. Rzecz droga i — choć najbardziej potrzebna — tak trudna do zdobycia, że jedynie najbardziej energiczni i operatywni już w 10 lat po ślubie mogą otworzyć własne drzwi własnym kluczem.

Że tak być nie powinno, że samodzielne mieszkanie jest podstawą bytu każdej rodziny, wiedzą oczywiście wszyscy, od kandydatów na kandydatów do spółdzielni, poprzez robotników i szefów przedsiębiorstw budowlanych, kierowników resortów w sposób pośredni i bezpośredni związanych z budownictwem aż po wszystkich przedstawicieli rządu i władz ustawodawczych.

Wszyscy także — w zakresie swoich możliwości — starają się, (a przynajmniej deklarują chęć podjęcia takich starań) aby wzrosło tempo budownictwa, aby nowych mieszkań było coraz więcej.

I co z tego wynika? Przede wszystkim dokumenty, zgromadzone w grubych teczkach i zwane „programami rozwoju budownictwa mieszkaniowego". Z niektórych programów wieje optymizmem, inne wymieniają przede wszystkim rozmaite trudności i bariery, które trzeba przełamać, aby budownictwo ruszyło, a ich cechą wspólną jest to, że nie udało się jeszcze żadnego z nich w pełni zrealizować, a tym samym — osiągnąć zamierzonych efektów. Gdy już widać, że program „nie wyjdzie" wprowadza się poprawki, dopasowując teorię i pobożne życzenia do możliwości, a gdy i to nie pomaga — powołuje się grupę ludzi (sztab, zespół, komisję itp.) do opracowania nowego programu.

W ostatnich czasach na okres sprawowania funkcji przez każdego z kolejnych ministrów budownictwa przypadał co najmniej jeden taki dokument, z rozmaitymi wariantami, wynikającymi z poprawek i uzupełnień.

I tylko mieszkań wciąż za mało, a oczekujący na przydział całkiem już prawie stracili nadzieję, że sytuacja poprawi się na tyle, aby zamiast po 15 latach dostali mieszkanie już po 5 i nie wierzą nawet publikowanym od czasu do czasu doniesieniom, że „w budownictwie wreszcie coś drgnęło".

Brak mieszkań, żółwie tempo budownictwa — *wydawałoby się — nie cieszą nikogo, tymczasem w praktyce wcale tak nie jest.* Dobrze jak nigdy dotąd powodzi się bowiem przedsiębiorstwom budowlanym. W tych właśnie instytucjach reforma działa w pełni, pozwalając na dużą samodzielność i przynosząc wymierne, spore zyski. Tyle, że dla pozostałej części społeczeństwa nie ma z tego tytułu żadnych korzyści w postaci większej liczby mieszkań.

Jeśli za punkt odniesienia przyjmiemy np. rok 1970 to okaże się, że efekty rzeczowe budownictwa, mierzone liczbą oddanych obiektów — są takie same, ale przedsiębiorstwom budowlanym powodzi się znacznie lepiej. Dla przykładu — dysponują one obecnie czterokrotnie większym majątkiem trwałym.

W porównaniu do roku 1979, kiedy to oddano lokatorom najwięcej mieszkań i obiektów towarzyszących akumulacja finansowa przedsiębiorstw wzrosła o blisko 59 proc.

Zjawisko braku właściwych relacji między efektami pracy przedsiębiorstw budowlanych a ich znakomitą kondycją finansową jeszcze lepiej ilustruje następny wskaźnik; w roku ubiegłym wartość sprzedaży przedsiębiorstw budowlanych w porównaniu do roku 1983 wzrosła o 24,1 proc., podczas gdy ich wynik finansowy poprawił się o 54,8 proc. Oznacza to, że wraz z każdym procentem wzrostu sprzedaży zysk wzrastał o 2,5 proc. Jest to efekt nie spotykany w żadnej innej dziedzinie gospodarki. Dla porównania: w tym samym czasie w przemyśle nastąpił wzrost sprzedaży produkcji o 20 proc., a wzrost zysku o 24 proc.

Tak znakomite wyniki finansowe osiągają budowlani głównie poprzez podnoszenie cen. W roku ub. były one średnio o 18,2 proc. wyższe niż dwa lata temu, przy czym wzrost ten nie jest uzasadniony podwyżkami cen na podstawowe czynniki produkcji.

Co gorsze — zysk przedsiębiorstw budowlanych nie jest powiązany w żaden sposób z oszczędnością materiałów i sprzętu, obniżaniem kosztów własnych. Wprost przeciwnie — im droższe będą surowce, im więcej się ich zużyje (lub zmarnuje) — tym lepsze wyniki finansowe osiągnie przedsiębiorstwo. Wykonawcy robót budowlanych rozliczają się bowiem z inwestorami według tzw. formuły kosztowej, w której, mówiąc w uproszczeniu, zysk oblicza się dodając określony procent do poniesionych kosztów. A więc im większe te ostatnie — tym większy zysk.

Na dodatek przy takim sposobie kształtowania ceny przedsiębiorstwa budujące taniej tracą na tym — bowiem ich zysk liczy się od mniejszej podstawy, a więc jest niższy. Z punktu widzenia społecznego jest to sytuacja paradoksalna.

Mimo tak sprzyjających warunków do osiągania świetnych wyników jedynie metodą realizacji hasła „robić mało — byle drogo", kontrole cen, przeprowadzane w budownictwie w wielu przypadkach wykazują nierzetelne kalkulacje, czyli po prostu fałszowanie cen. W niektórych przypadkach stwierdzano nawet, że tą drogą osiągnięto aż 25 proc. rocznego zysku!

Kolejnym elementem, bardzo sprzyjającym wykonawcom robót budowlanych jest sposób ich rozliczania z inwestorem. Z punktu widzenia przeciętnie rozsądnego człowieka — choć nie specjalisty — wydawałoby się, że płaci się wtedy, gdy cała praca lub przynajmniej jakiś znaczący jej etap, zostaną zakończone. Tymczasem w praktyce obowiązują przede wszystkim faktury przejściowe, miesięczne — płaci się więc za to, co już zostało wykonane, za to, co jest w trakcie realizacji, a nawet i za to, czego budowlani jeszcze nie rozpoczęli. W tej sytuacji inwestor na ogół nie panuje nad sytuacją i w końcu nie wie, za co płaci — lecz płacić musi, wynika to bowiem z warunków odpowiednio sformułowanej umowy.

Pewną próbę opanowania już nie tyle samodzielności, co samowoli przedsiębiorstw budowlanych podjęły banki, poprzez realizację polityki trudnego kredytowania. Jednak dla budowlanych trudny pieniądz okazał się jedynie strachem na wróble. Przy obowiązującym systemie rozliczeń opłaciło się bowiem jedynie pogorszyć koncentrację robót, rozpocząć — i pozostawić na długi czas — nowe zadania, aby zyski wzrosły, a kredyty okazały się znacznie mniej potrzebne.

Przedsiębiorstwa, które w porę nie dostrzegły takiej możliwości i — zgodnie z życzeniami inwestorów bądź z innych przyczyn — poprawiły koncentrację robót, uzyskały współczynnik rentowności wynoszący 15 proc., najgorsze pod tym względem te, które ponad trzykrotnie ją pogorszyły — osiągnęły rentowność 46 proc.

Wydawałoby się, że przeciwko tym wszystkim czynnikom, które sprawiają, że przedsiębiorstwa budowlane pracują źle osiągając wysokie zyski protestować powinni przede wszystkim inwestorzy — którzy przecież ponoszą zwiększone koszty marnotrawstwa, bałaganu, rozproszenia robót. Tak się jednak nie dzieje. Zwykle bowiem przedsiębiorstwa budowlane są monopolistami na danym terenie i mogą dyktować warunki. Po drugie zaś — inwestorzy nie są zainteresowani obniżeniem kosztów, zwiększeniem rzeczowych efektów, bowiem nie mają z *tego tytułu żadnych zysków (dotyczy to przede* wszystkim budownictwa mieszkaniowego i towarzyszącego, bowiem przy realizacji inwestycji przemysłowych cały system rozliczeń jest nieco inny). To wszystko, co mógłby zarobić inwestor, dążąc do obniżenia ceny jednostkowej czy ogólnych kosztów realizacji inwestycji musi zostać odprowadzone do budżetu. Trudno więc wymagać, aby, spełniając jedynie rolę pośrednika, wdawał się z wykonawcą w zawiłe i trudne negocjacje.

Co zrobić, aby przywrócić nie istniejący od paru lat związek między rzeczowymi efektami pracy przedsiębiorstw budowlanych a ich finansowymi osiągnięciami, a tym samym skłonić do lepszej, wydajniejszej pracy?

Odpowiedź na to pytanie nie jest prosta, tym niemniej trzeba ją sformułować jak najszybciej, w przeciwnym bowiem wypadku okres oczekiwania na mieszkanie wydłuży się wkrótce z 15 do 25 lat. Jednym ze środków zaradczych wydaje się umocnienie pozycji inwestora, poprzez wprowadzenie mechanizmów ekonomicznych, które pozwalałyby na osiągnięcie własnych korzyści dzięki obniżeniu kosztów realizacji inwestycji, a następnie wyposażenie go (a nie, jak dotąd, wykonawcy) w materiały budowlane.

Inwestor, dysponując asygnatami na środki produkcji ogłaszałby przetarg na roboty budowlano-montażowe, wybierając najkorzystniejszą propozycję, a następnie, dążąc do zwiększenia własnych korzyści, konsekwentnie pilnował, aby wszystkie warunki umowy zostały w pełni dotrzymane.

Przedsiębiorstwa sprzedające swoje usługi najdrożej lub też systematycznie obniżające ich jakość musiałyby w takich warunkach zmienić styl pracy, aby wygrać jakiś przetarg, bądź też zawiesić wszelką działalność z powodu braku materiałów.

Działanie takie mogłoby stać się jednym z czynników — choć oczywiście nie jedynym — prowadzących do sytuacji, w której realizacja potrzeb społecznych, czyli wzrost tempa budownictwa, opłacałaby się konkretnym przedsiębiorstwom i ich załogom. Istniejące obecnie mechanizmy działają bowiem w ten sposób, iż jedyną właściwie nadzieją na poprawę w tej dziedzinie daje przekonywanie, że w dalekiej przyszłości opłaci się to całemu społeczeństwu, czyli wszystkim. Przekonywanie i apelowanie do wzmożenia wysiłku w imię wspólnego dobra jest jednak — jak już wielokrotnie wykazała to praktyka — metodą mało skuteczną.

TERESA JERZYKOWSKA

ze str. 1

Goryczka na dnie szuflady

przewodnikiem górskim, popracowałam chwilę w działce opieki społecznej nad ludźmi chorymi, starymi, zrobiłam kurs przewodnika po Łodzi. Najwięcej lat przepracowałam w dziedzinie organizacji i upowszechniania sportu i rekreacji, byłam nawet kierownikiem zgrupowania kadry narodowej w lekkiej atletyce i kadry hokeja na lodzie juniorów. Zresztą hokej pozostał moją pasją do dziś. Mam za sobą też pracę jako instruktor organizacyjny sekcji piłki siatkowej, no i parą jeszcze innych.

JW: Przepraszam, ale jak się to ma do „upowszechniania kultury".

EŁ: A ma się! Po pierwsze — od kiedyż to kultura oznacza wyłącznie plastykę, muzykę i literaturę? Już starożytni Grecy... ja wiem, że to się zaczyna jak dowcip o najstarszych góralach, ale Grecy przecież propagowali model wychowania, kształtowania młodych generacji w pełnym, człowieczym wymiarze. Człowiek to dusza i ciało. I jedno i drugie wymaga zabiegów. Grecki ideał człowieka, wiązał ze sobą harmonijnie piękne, wysportowane, sprawne ciało i wszechstronnie uformowany umysł otwarty na wiedzę, piękno i dobro. Kulturalny człowiek nam współczesny, to nie tylko częsty gość w teatrze, kinie czy filharmonii, czytelnik książek i prasy. Ale też człowiek który dba o swe zęby, o najszerzej rozumianą higienę osobistą, w tym zdrowie i sprawność. To człowiek uprzejmy na co dzień i patrzący dalej niż czubek własnego nosa. Zresztą — kiedy po latach pracy zdecydowałam się przeskoczyć własną niepewność i niewiarę i złożyłam egzaminy wstępne na, nowy wówczas, kierunek Kulturoznawstwa na Uniwersytecie Łódzkim, zakończyłam jakby klamrą dotychczasowe przemyślenia o upowszechnianiu kultury. Moja praca magisterska nosi tytuł: „Filmy Janusza Zielonackiego i Bogdana Dziworskiego, jako głosy w dyskusji o etyce sportu" (Instytut Literatury, Teatru i Filmu — promotor dr. Ewelina Nurczyńska-Adelska), co rozumiem nie tylko jako zjawisko tyczące się wąsko rozumianego sportu wyczynowego — lecz jako fragment problemu roli kultury, także tej sportowej, w kształtowaniu i wychowaniu człowieka.

JW: Zdefiniuj więc swoje rozumienie „upowszechnianie kultury".

EŁ: Przede wszystkim — sam termin! Zalatuje z daleka solennym urzędoleniem. Tak, jakby się mówiło: „zabezpieczanie środków produkcji", z góry, z rozdzielnika... ale najprostsze pojęcie — „wychowanie w kulturze" — jakoś nie znalazło miejsca w języku formalnym. Jeśli jednak już „upowszechnianie kultury", to należy jasno i precyzyjnie posługiwać się językiem, a więc — co rozumiemy przez termin „upowszechnianie" — z wszystkimi tego odniesieniami i konsekwencjami realizacyjnymi oraz jaką to mianowicie kulturę zamierzamy upowszechniać, co jest treścią działania, jakie to wartości chcemy wpoić. No i rzecz następna — odbiorca, adresat, do którego kierujemy swe wysiłki. Po tylu latach krążenia wokół tego samego sensu, mam coraz częściej niejasne przeczucie, że grzęznę w pozorach, a żadnego sensu nie ma, bo te trzy podstawowe pytania wyznaczające działanie pozostają wciąż bez klarownej odpowiedzi.

Kiedyś, dawno temu, gdy byłam zupełnie smarkata, z ciepłą jeszcze maturą w ręku, po porażce w starcie na socjologię, wydawało mi się, że wystarczy chcieć spróbować, stworzyć coś razem z ludźmi i to właśnie będzie ten cud poznawania piękna. Zaczęłam ostro, bo celem stała się

SZTAMA Z FERAJNĄ,

z Wenecji, z ul. Felsztyńskiego, z tzw. „elementem wychowawczo trudnym". Miałam już za sobą rok pracy w TPD, bawiłam się w studenckim ruchu teatralnym, m.in. w teatrze „FORUM" przy Politechnice Łódzkiej, studiowałam w Seminarium Nauczycielskim, specjalność — muzyka ze śpiewem, ale stan moich płuc zmusił mnie do przerwania nauki. Z jakim takim przygotowaniem fachowym i z mnóstwem zapału, wylądowałam w 1962 roku w Domu Kultury „ENERGETYK". Tam właśnie pierwszy raz zrozumiałam jak wielką moc „odradzania ludzi" może mieć obudzenie aktywności, potrzeby pięknа. Współpracowałam z ówczesnym zastępcą komendanta Dzielnicowej MO na Górnej, płk Białkowskim... nie ma już takich milicjantów. On był Makarenko, umiał trafić — i zyskać mir u bandytów po wyrokach, nożowników i wszelkiej szemranej ferajny. To On pomógł mi w tym, że ci bandyci dobrowolnie przyszli do Domu Kultury. Nie na rozbój! Oni byli głodni dobrego słowa, zachłannie chcieli się uczyć savoir vivre'u, zaczęli czytać książki i oglądać filmy, nawet działała scenka teatralna. Nie od razu tak dobrze szło. Najpierw proponowano mi regularną dintojrę, zwalczające się bandy zgodne były tylko w chęci dania mi wycisku. A za jakiś czas... dostałam wytworne zaproszenie... na sylwestra do chłopaków z Wenecji i była sztama, uczciwy układ. Powoli szło, a doszło nawet do tego, że z pomocą płk. Białkowskiego, z chłopaków z Felsztyńskiego... zorganizowaliśmy pluton ORMO... a ja zostałam plutonowym. Najprawdziwszym. To były morowe chłopaki — i honorowe.

Pracowałam tam zaledwie jeden rok, do września 1963 roku, ale to była straszna robota, nie do przerobienia, to wypalało do dna. Potworne napięcia, odpowiedzialność, najwyższe obroty. Byłam wykończona, musiałam odbić się, zacząć robić coś innego, inaczej wpadłabym w rutynę, nijakość. Zresztą w trakcie tej pracy, dla oddechu, współpracowałam też ze Studium Języka Polskiego dla Obcokrajowców, robiliśmy tam Teatr Studentów Afrykańskich „GLOBUS" — ze sporymi sukcesami.

Może to było łapanie trzech srok za ogon? Ten, kto wie, jaka była ulica Felsztyńskiego, Wenecja, Wróblewskiego, ten mógł się pukać w czoło, śmiejąc się z naiwnej, co chciała naprawiać margines społeczny. Ale ...po wielu latach, spotkałam przypadkiem człowieka z tamtego „Bronxu" Powiedział, że na Felsztyńskiego mnie pamiętają. Dobrą pamięcią. Że honorna byłam... wiesz, to chyba była największa, jak dotąd, nagroda za pracę, jaka mi się przydarzyła. Lepsza niż Nobel. I przywracała sens tej nieskończonej harówce.

I znowu szukałam swojego podwórka, niosło mnie gdzieś w dzikie pola, czegoś chciałam. Wylądowałam w Krynicy jako instruktor kulturalny. Zwariowałam dożywotnio na tle gór. Harowałam jak wół, żeby zrobić uprawnienia przewodnika, podpatrywałam fantastyczne postacie szwendające się po halach, uczyłam się od nich tego zdumiewającego szmergla, który każe być na „ty" z całym światem. Z całym, tylko nie z wysoką komisją z Warszawy która zjechała dla zweryfikowania kwalifikacji przewodników. Okazało się szybciutko, że „zweryfikowany przewodnik" niekoniecznie musi znać góry jak własne palce, nie musi się upierać przy historii i kulturze regionu, nawet niekoniecznie powinien wiedzieć jak się udziela pierwszej pomocy. Ale jedno wiedzieć musi absolutnie. Po pierwsze — jak należy się zwracać do prześwietnej komisji oraz ma mieć w małym palcu pryncypia ustrojowe. Jak mu się — nie daj boże — pomylił Marks z Engelsem, poległ. Po górach może oprowadzać najwyżej swoją teściową.

Wyzłośliwiam się tu? Prawda, tylko... nie ostatni raz przekonałam się, jak często sprawdzało się zdanie Mieczysława Rakowskiego: „dobry fachowiec — ale bezpartyjny". Ja nie wiem, sama jestem członkinią partii i traktuję tę przynależność jak wielki obowiązek wobec ludzi, ale... czy naprawdę racjonalne jest przekonanie że uda się stworzyć świat „idealny" bez ludzi inaczej myślących? .

A w tych górach, to ja się dodatkowo zakochałam, całkiem indywidualnie. Najpierw w Harasymowiczu — pewnie stąd ta Krynica oraz we Franku Kozłeckim z Kozłeczyzny nad potokiem Kozłeckim.. to się nazywa narzeczony, nie? Wywodził się z Łemków i był przewodnikiem górskim. Ech, młody był człowiek, leciał gdzieś na pierwsze drgnienie serca, blisko mu było do ludzi, na całym świecie...

JW: To jak? To też było upowszechnianie kultury?

EŁ: Też!! Życie to było! Moje w dodatku. I bez wyśmiewania. Przecież wciąż zbierałam, gromadziłam doświadczenie, połykałam książki, uczyłam się na błędach cudzych i własnych. Jak chcesz trafić do ludzi, przekonać ich, że to wielka frajda zdjąć ciepłe kapcie i pomaszerować na koncert, albo zacząć rzeźbić, albo uczyć się historii kina amerykańskiego — musisz bluesa nie tylko czuć, ale też go zagrać. Jeśli ty sama jesteś skapcaniała, jakim będziesz przykładem dla innych? Ja to wiem, tyle lat szukałam swego miejsca na ziemi, tyle razy zaczynałam od nowa, w nowym miejscu. I wciąż budowałam tę samą piramidę — tylko że od czubka. Pewnie, wolałabym, mieć niezbite przekonanie, że właśnie tak się należy, że piramidę zbudować się da od tego końca. Ale nie mam...

To już jest samo dno mojej szuflady, takie trochę ekshibicjonistyczne, no, niech tam. Nasz model upowszechniania kultury przypomina

LAKIERKI ZE SŁOMĄ W CHOLEWKACH

To jest tak: założenia układa się wysoko, zgodnie z jeszcze wyższymi wytycznymi. I w tych założeniach mówi się o ideowości, pryncypiach ustrojowych, pełnym kształtowaniu istoty ludzkiej. A na dole, tu, gdzie szeregowiec Łazowska zdziera manicure — jest szarpanina pojedynczych społeczników z nieruchawą machiną biurokratyczną, której pierwszym przykazaniem jest nie wychylać się, nie podpadać, pilnować porządku w „podkładkach" na papierze i wykazać się. O, to jest to! Wykazać się! Herezję tu głoszę, ale... nie ja pierwsza i, daj boże, nie ostatnia. Według mnie, kombinacja szczytnych założeń z biurokratycznym mechanizmem realizacyjnym musi dać skutek w postaci lakierków ze słomą w cholewach.

Być może to przekonanie powodowało mną w ciągłym poszukiwaniu, bo ja wiem, nawet nie azylu do spokojnego dłubania, raczej świadomości, że ta dłubanina mieści się jakoś rozsądnie w szerszym kontekście. Zwiedziłam trochę rozmaitych struktur formalnych, siedziałam kilkanaście lat w instytucjach powołanych do promowania, organizowania, dbałości itd. Łączyło je wspólne założenie generalne — chodzi o to, żeby obywatel socjalistycznego państwa miał szerokie możliwości samorealizacji. O to chodziło, ale czy tak się działo? Nie chcę przez to powiedzieć, że wyłącznie trafiałam na marazm i demoralizację. Skrzywdziłabym wielu wspaniałych ludzi, wśród których mogłam pracować. Rzecz w tym, iż mogłam oglądać dziesiątki popielejących, spalających się entuzjastów, którzy zarabiali wrzody, zwątpienie, uczyli się rezygnacji i goryczy. I przyszło mi też obserwować pokrętne drogi nomenklaturowe, gdy z szefa zakładów mięsnych można było wyawansować na instruktora oświatowego w Komitecie Dzielnicowym PZPR, by potem gładko wylądować w dyrektorskim fotelu w „PEWEXIE". Od wydziału propagandy do POLMOZBYTU. To ja już nie wiem... całkiem jak w tej piosence Młynarskiego: „czy ci ludzie się zrobili tacy mądrzy — czy to sedno się zrobiło takie duże?". Gdzie tu merytoryczny dobór kadr, gdzie wzgląd na kwalifikacje psychologiczne — nie mówiąc nawet o formalnych? Jeśli szefem Domu Kultury zostawał nierzadko podpadnięty działacz z aparatu?...

Przez lata pracy w sporcie nauczyłam się szacunku dla rzetelnej roboty, dla profesjonalizmu, dla merytorycznych kwalifikacji. Przekonałam się ile zła potrafi wyrządzić prostackie rozumowanie, że skoro, panie tego z kręgosłupem politycznym (ocenianym oczywiście według aktualnych okoliczności, a odwoływanym zaraz po kolejnym zakręcie i zmianie ekipy) coś tam nie za bardzo w porządku — dziękujemy kolego, nie potrzebujemy już was. I przychodził czasem obywatel, którego jedyne kwalifikacje dawały się zamknąć w trójcy: „mierny, bierny i wierny". Dla mnie „socjalistyczny", znaczy „absolutnie profesjonalny" Bo socjalizm oznacza założenie konstrukcyjne, budowę stanu pożądanego, zgodnego z przyjętym systemem wartości. A czy jakąś wartość można zbudować nie umiejąc posłużyć się kielnią?

JW: Czarno widzisz, spróbuj ułożyć przyczyny i skutki w jakimś porządku, no i — jeśli to możliwe — jak leczyć?

EŁ: To jest właśnie ten „literacki defetyzm nie licujący". To jestem także ja sama. Może ktoś inny widziałby inaczej, a ja zawsze lazłam pod prąd, właziłam na odciski, konfliktowa, impulsywna, bal kontrowersyjna!... weź to pod uwagę, nawet taaakie wyrazy słyszałam! Zresztą popatrz w życiorys — sto razy zmieniała pracę, nie zagrzewała miejsca, miotała się — w sam raz materiał na antybohatera do lekcji poglądowych... no, dobrze, będzie bez kokieterii.

Dam taki przykład. Od 1966 roku do 1977 pracowałam w sporcie. Najpierw w Hali Sportowej w dziale organizacji imprez. Nie od razu, rzecz jasna, uczyłam się wszystkiego od podstaw. Ale bo też miałam od kogo. Był taki Andrzej Piotrowski szef kadry narodowej lekkiej atletyki, był szef Hali — Milanowski — jak on potrafił ludzi wziąć do galopu! A jakie były świetne rezultaty! Był Marian Hoffman — trener lekkoatletów. Kupa cudownych, znających się na rzeczy ludzi, fajne lata intensywnej roboty, której sens i skutki oglądało się gołym okiem.

W 1974 roku utworzono czapę — Wojewódzką Federację Sportu. Lata były takie, moda na gigantyczne konsorcja, wielkie kombinaty, centralne gmachy, na centralnych placach. Jeszcze trzy lata przypatrywałam się, jak powoli obumiera żywa tkanka związków sportowych, samodzielnych sekcji, jak zaczyna brakować miejsca dla tych, którzy żyli swoją pracą, całe serce w to wkładali, nie patrzyli własnego zdrowia, czasu wolnego, pieniędzy. Przybywało działaczy w garniturach wyjeżdżających z zawodnikami za granicę, facetów, co nigdy w życiu nie spocili się na treningu, ale za to byli świetnie notowani w Centrali, no i mieli właściwy światopogląd. Jezu! ilu z nich zeszmaciło się, ilu wypięło się na ustrój i ojczyznę...

Ja wciąż mówię o upowszechnianiu kultury!! Ten sam model pracuje. Przypomina pompę tłoczącą z góry, zatkaną niemal zupełnie od dołu. Płyną pieniądze, morze pieniędzy. Tak jest! Forsy jest sporo, tyle, że rozpływa się gdzieś po chałturach dla „artystów zweryfikowanych przez Ministerstwo Kultury", na jakieś potworne składanki, na beztalencia i miernotę. Przy takim marnotrawstwie środków, musi ich brakować tam, gdzie rodzą się autentyczne, niezależne inicjatywy. Więc nie w pieniądzach sprawa, ani nawet nie w tzw. „nasyceniu technicznym" w placówki kulturalne. Na przykład moje Bałuty mają dziesięć różnych placówek upowszechniania kultury i co? I jest tak cudownie, że tylko wyć z radości? Figa z makiem. Tam, gdzie wykluwa się samorodna potrzeba tworzenia, animowania aktywnej postawy kulturotwórczej — tam, dziwna rzecz, ludzie potrafią z baraku zrobić pałac. Bo nie chodzi o ile i za ile. Chodzi o „co", „jak", „przez kogo", „dla kogo". A tego nie da się zadekretować z trybuny Sejmu. Myślę, że póki nie odwrócimy myślenia — że z góry idzie wytyczna, system ocen i doboru kadry i ten przeklęty wymóg sprawozdawczości; zamiast w drugą stronę — nasiąkania kulturą od dołu — wciąż będziemy budować piramidę od czubka.

Bo to jest tak: nawyk obcowania z najszerzej rozumianą kulturą (a więc harmonią rozwoju fizycznego i intelektualnego, emocjonalnego) wyrabia się od dzieciństwa. Z przykładu rodziców, otoczenia, szkoły itd. Musi więc ten proces stanowić jedność nierozerwalną strukturalnie. A tak nie jest. Nawet nowa Ustawa „O upowszechnianiu kultury" nadal niestety idzie drogą sztucznego podziału: oświata — nauka — kultura — sport — rekreacja. Od każdej działki jest osobny, potężny aparat administracyjny, zazdrosny o swe kompetencje, niechętny do współpracy, za to do kostnienia w samozadowoleniu — jak najbardziej. I jeszcze jedno: faktem jest, że kryzys i wprowadzenie zasad reformy gospodarczej przede wszystkim uderzyło w kulturę, zwłaszcza tę, której patronowały zakłady pracy. Padają Zakładowe Domy Kultury, kluby, zespoły utrzymywane przez fabryki. Przegrywa kultura z porządną kiełbasą, z jasnymi preferencjami skierowanymi na sprawy socjalno-bytowe. I nie ma co się szarpać na szukanie źródeł — bo są oczywiste. Raczej warto by pomyśleć dlaczego klasa robotnicza — bo jej przecież były te ośrodki kulturalne — tak łatwo zrezygnowała z łożenia na ich utrzymanie? Jakże więc w tej sytuacji należy rozumieć nałożony przez wspomnianą Ustawę obligatoryjny obowiązek prowadzenia działalności kulturalnej w zakładach pracy i troskę dla dóbr kultury? Czyż nie jest to nakazowa próba odwrócenia procesu, który zaczął się na dole? A w ogóle jak można zmusić do prowadzenia działalności kulturalnej? I czy to da oczekiwane efekty — czyli owo „upowszechnienie kultury"? Cała Ustawa znowu wskazuje cechy leczenia objawowego, znowu nie ma pytania „co", „jak", „do kogo".

Wielka kultura rodzi się z małej, codziennej potrzeby obcowania z książką, patrzenia na dzieła plastyki i architektury, słuchania muzyki — tego nie można wszczepić „drogą urzędową". To się rodzi gdzieś na samym dole, rośnie, pociąga za sobą potrzebę aktywnego uczestnictwa, współtworzenia. I dopiero tutaj może się zacząć wspierająca, wzbogacająca rola systemu instytucji i zespołów fachowców. A jeśli tych nawyków nie ma, to czy pomoże zbudowanie czterdziestego Domu Kultury, czy raczej bujna, niezależna, niesformalizowana, nieostrzyżona sprawozdawczością samorodna próba określenia osobistych upodobań?

Przepaść między propozycjami oferowanymi jak dotąd w placówkach upowszechniania kultury, a oczekiwaniami społecznymi, nie sprowadza się wyłącznie do braku środków. Sedno leży w zupełnym nierozpoznaniu tych potrzeb — a stąd w totalnej nieumiejętności adresowania oferty.

Mój boże, wyłożyłam tu swoje corpus delicti, za które pewnie będą mnie szarpać różni życzliwi, zamiast opowiedzieć życiorys z uwzględnieniem nagród, odznaczeń, sukcesów. Ale ja jestem nieuleczalny, choć

ODPŁATNY KRZEWICIEL SZCZĘŚLIWOŚCI DUCHOWEJ.

— Ładnie to powiedziałam, no nie?

JW: To jeszcze tylko powiedz, po co wobec tego to robisz? Nie wolałabyś świętego spokoju na ciepłej posadce, niech będzie, nawet w „upowszechnianiu kultury". Ale po co Ci wrzody?

EŁ: Bo poświęciłam temu całe życie, bo nie umiem zrezygnować z nadziei, że jednak zostawię po sobie cień dobrej pamięci, bo... a może zwyczajnie boję się przyznać przed samą sobą, że zwątpienie wzięło górę?

JW: Jesteś motorem Samorządu Mieszkańców „NA ROGATCE" na Teofilowie, od czerwca 84 roku nosisz mandat radnej Dzielnicowej Rady Narodowej na Bałutach, masz poletko naleliche do uprawiania i — ma w ręku miecz „czynnika społecznego z immunitetem"

EŁ: Już Ci powiedziałam na początku, że wraz z poszerzaniem się możliwości działania, wycieka ze mnie zapał, siła... Gorzko czasem dokucza mi samotność — ta publiczna. Bo społecznik z samej swej funkcji, czy pasji skazany jest na rolę Stańczyka, takiego, co na złość świętemu spokojowi wrzeszczy na tej swojej skrzynce od mydła, że nie jest tak fajnie, spokojnie, w porządku. Jest samotny w bitwie, nawet jeśli ma szczęście oprzeć się o pomocne słowo i ramię innych wariatów... No tak! żeby bawić się w społecznikostwo, trzeba nie mieć wszystkich w domu... nie ma się co śmiać! Fachowiec ci to mówi.

Myślałaś, że zrobisz artykuł optymistyczny, o takiej, co się z motyką porwała na słońce i jeszcze wierzy, że jej się uda? A tu smutnawo czegoś, wątpliwości za dużo, ognia za mało, kot siedzi na ramieniu i mruczy i w ogóle gdzie ten front walki o oświaty i kultury kaganek pod strzechami?...

Już przed paru laty miałam taki zakręt, wtedy w 1977 roku podliczyłam przeszłość, pożegnałam jednego pana i... poczułam, że kręcę się w kółko. Nic nowego nie umiem zrobić, powtarzam się, powiedziałam. Znowu przyszedł niedobry czas wypominania sobie samej straconych szans. I jeszcze raz pomogł mi impuls, który mnie pchnął, czasem nieprzemyślana emocja może się obrócić w dobrą decyzję. Wtedy rozpoczęłam studia zaoczne. Pracowałam, uczyłam się, a po drugim roku — wyprzedałam się z kiecek i na przekór wszystkiemu, za uciułane grosze, pojechałam spełnić swe marzenie. Zobaczyć Olimpiadę w Moskwie. I zobaczyłam, znowu wiedziałam w którą stronę maszerować. Potem, w listopadzie 80 roku, tkwiłam w samym oku cyklonu. Pracowałam w Radzie Zakładowej Związku Nauczycielstwa Polskiego, zaproszono mnie do współpracy w Komisji Zakładowej „Solidarności" UL, mimo, że jasno wyłożyłam sens przynależności do partii i jasno powiedziałam, że ani myślę rzucać legitymacji. Stamtąd było dużo widać, na przykład to, jak piana wypływała na wierzch. Jak początkowa wiara w ozdrowieńczą dla kraju pracę nowego związku, powoli wytraca się w gierkach, podchodach... miałam dość, już tyle razy patrzyłam na ten mechanizm. Poszłam sobie, by skupić się na dokończeniu studiów w terminie i obroniłam dyplom w 1982 roku, w czerwcu.

Myślałam, że teraz łatwiej mi będzie wrócić po paru latach kołowania, do działki animatora kultury. Zaczęłam od grudnia, z zapałem... zmarła moja Mama, nie mogłam się podnieść. I chyba ciągle jeszcze nie wyszłam do końca z wirażu.

Pracuję teraz w Młodzieżowym Domu Kultury na Bałutach, gdzie głównym odbiorcą jest dziecko, nastolatek. To bardzo wymagający partner, nie przepuści żadnej lipy. I to mnie trzyma... ale...

Wciąż patrzę za siebie, pytam, czy nie zmarnowałam życia? Czy w ogóle to wszystko miało sens? Bo popatrz — gdziekolwiek pracowałam, zawsze znalazłam się w konflikcie z osobą lub grupą ludzi. Może nie umiem żyć wśród gromady, może noszę w sobie zarodek wasni? Jak to jest, że tylu mam cudownych przyjaciół wokół siebie, a czuję się samotna wobec tych pytań?

A może tak trzeba? Siedzieć cicho, nic nie wiedzieć, nic nie widzieć, nie zadawać głupich, „jątrzących" pytań i dać wreszcie ludziom ten upragniony święty spokój? Czy zostawiłam gdzieś, za sobą ślad, żeby wrócił do mnie dobrym echem ciepłej ludzkiej pamięci, jak już wreszcie dam za wygraną?!

Wiesz, idź już sobie, muszę pozbierać tę naszą rozmowę do kupy i jakoś się otrzepać z zeschłych liści... Jutro też jest dzień, a ja mam sesję Rady i jeszcze muszę wpaść przed pracą do Lokalówki, bo znowu coś tam nie za bardzo...

Ewa Łazowska radna DRN — Bałuty, społecznik, animator kultury, została odznaczona odznaką „Zasłużony dla Sportu Łódzkiego" i „Honorową Odznaką Miasta Łodzi" za zasługi dla województwa miejskiego łódzkiego.

JOLANTA WROŃSKA

ze str. 1

W korytarzu spotkał idącego ze stołówki Zdzisława Oterskiego. W biegu powiedział mu, że został pobity przez pana Rykałę, i żeby poszedł do jego gabinetu; on zaraz wróci. Powiedział tak, gdyż nie chciał być sam. Bał się Rykały, który nieraz przecież chodził dziwnie podniecony, no i mówili też, że się leczy...

Następnie dyrektor Cisak polecił woźnej sprowadzić też do gabinetu Jolantę Piotrowską, Halinę Kubiak oraz Leszka Oterskiego i Edwarda Białkowskiego. Już od siebie zadzwonił do komendy MO. Przybyły wkrótce funkcjonariusz, Przemysław Świątkiewicz wysłuchał jego relacji o pobiciu, sporządził notatkę, po czym sprawdziwszy, iż Rykały nie ma już w pokoju nauczycielskim uspokoił dyrektora i opuścił szkołę. Dopiero wtedy Stanisława Cisaka zaczęła boleć prawa ręka. Był bez marynarki, podwinął więc rękaw i wszystkim obecnym w gabinecie pokazał zaczerwienione ramię. Należało czym prędzej udać się z tym do lekarza!

W pokoju nauczycielskim Mieczysław Rykała zastał tylko dwie polonistki: Jolantę Piotrowską i Halinę Kubiak. Niewiele myśląc, podszedł do tej pierwszej i pokazał jej protokół. Powiedział przy tym, że i o niej jest tam mowa, że po przykrościach, jakie miała w NRD jeszcze teraz dyrektor...

Ale oto wszedł nagle Stanisław Cisak. Zaczął sprawdzać coś na planie zajęć, a jednocześnie łypał okiem w kierunku Jolanty Piotrowskiej, zajętej już czytaniem i sporządzaniem notatek. I wtedy Mieczysław Rykała nie wytrzymał. Podszedł do dyrektora Cisaka i „wygarnął" mu, że po co awansuje go na komendanta OHP w szkole, po co każe zakładać koło ZMW, oddaje młodzież pod opiekę, skoro powinien raczej iść do prokuratora. Przecież jeżeli Rykała jest pederastą, jeżeli są na niego tak kompromitujące materiały... I on nazywa siebie pedagogiem? On — dyrektor szkoły! To chyba prawda, co powiedział o nim kierownik warsztatów, że powinien pasać owce i to stare.

Dyrektor Cisak odciął się, że jak mu socjalistyczna ojczyzna każe, to będzie nawet owce pasał, a na razie... Zdenerwowany Rykała powiedział dalej, że on już miał takie historie z tajnymi opiniami i pokazał odpis wyroku sądowego z Łasku, który zabrał tego dnia ze sobą do szkoły, dowiedziawszy się o protokóle z Modelu. Proszę bardzo, dyrektor Cisak może się przekonać, jak to się skończyło.

W tym momencie z pokoju wyszła dr Kubiak, a wszedł Kazimierz Dziegielewski, pytając, o co chodzi. Rykała wyjaśnił mu, że teraz nauczycielom z Piątku opinię wydaje spółdzielnia w Modelu, i że on też pewno ma swoją opinię, tylko nie wiadomo gdzie spisaną. Może w jakichś Podgórzycach. Dziegielewski zaśmiał się dwuznacznie, a dyrektor Cisak wyciągnął rękę po książkę protokółów, którą Jolanta Piotrowska skończyła właśnie studiować i byłby ją pewno zabrał, gdyby mu Rykała nie zagrodził drogi łokciem. Dyrektor nadział się więc na łokieć i z satysfakcją stwierdził, iż teraz ma już na niego argument. Użył przecież siły.

Oto jak wyglądało całe to „pobicie" — wyjaśnia Mieczysław Rykała. „Pobicie", którego wersji zam słyszał już kilkanaście. Jedna straszniejsza od drugiej.

Kiedy około godziny 14 Jolanta Piotrowska przyszła po sześciu lekcjach do pokoju nauczycielskiego, była już zmęczona. Bardzo zdziwiła się, gdy Mieczysław Rykała pokazał jej książkę protokółów i wyjaśnił, co się w niej też znajduje.

Protokółem z Modelu była oburzona. Po wejściu Stanisława Cisaka pospiesznie zaczęła robić sobie notatki, obawiając się, iż może już tego „dokumentu" więcej nie zobaczyć. Zdarzało się wszak, że w szkole ginęły różne rzeczy... Zajęta tym, przebiegu rozmowy między dyrektorem a Rykałą prawie nie słyszała. Gdy skończyła, odłożyła książkę protokółów i odwróciła się w kierunku swojej torby, gdzie były baniaczki na obiad. Chciała koniecznie jeszcze zdążyć przed zamknięciem stołówki. Odwróciła się na cztery, najwyżej pięć sekund. I wtedy też właśnie doszło do „pobicia". Ona w każdym razie niczego takiego nie widziała.

Na następnej lekcji przyszła do niej sprzątaczka, mówiąc, że dyrektor prosi ją do swego gabinetu. Oświadczyła, że przed końcem lekcji nie przyjdzie. Po chwili sprzątaczka przyszła po raz drugi, a wkrótce potem — sam dyrektor Cisak. I dopiero wówczas spełniła jego życzenie. Powiedział, że w szkole jest już milicja i ona musi złożyć zeznanie.

Jolanta Piotrowska zeznała zgodnie z prawdą, że nie wie nic o żadnym pobiciu i niczego takiego nie widziała.

Dr Halina Kubiak przed Terenową Komisją Odwoławczą do spraw Pracy przy naczelniku miasta w Łęczycy zeznała, że po wejściu do pokoju nauczycielskiego dyrektor Cisak pytał ją o dyżury, a Mieczysław Rykała krzyczał na niego, iż nie nadaje się na stanowisko dyrektora, groził, że zwolni go, jak zwolnił już innych dyrektorów i sekretarzy. Więcej nic nie słyszała i nie widziała, gdyż opuściła pokój nauczycielski. Było jej bardzo nieprzyjemnie.

Podobne zeznanie złożyła przed Okręgowym Sądem Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Warszawie.

Z orzeczenia TKO w Łęczycy z 21 stycznia 1984 roku:

„Świadek Kazimierz Dziegielewski wyraźnie uchylał się od złożenia zeznań na temat zajścia. Nieprawdopodobnym jest, by wchodząc w w czasie głośnej scysji wnioskodawcy (Mieczysława Rykały — przyp. P.T.) *z dyrektorem do pokoju nauczycielskiego i będąc tam obecny do końca zajścia, nie widział jego przebiegu i nie słyszał nic z donośnych wypowiedzi. Podał jednak (może wbrew własnej woli) jeden istotny fakt potwierdzający wersję dyrektora Cisaka. Zeznał bowiem, że kiedy się odwrócił, to dyrektor stał w drzwiach, a naprzeciwko niego Rykała...".*

Z wyroku OSPiUS w Warszawie z 3 maja 1985 roku:

„...świadek Kazimierz Dziegielewski przed sądem zeznał, że będąc w pokoju nauczycielskim słyszał szamotanie pomiędzy wnioskodawcą a dyrektorem, a kiedy odwrócił się, dyrektor stał

(5)

Kamikadze

oparty o framugę drzwi, a wnioskodawca trzymał go za rękę. W kilka minut później widział u dyrektora na ramieniu czerwone ślady szerokości dłoni.

Jeszcze tego samego dnia po południu Stanisław Cisak odwiedził w domu miejscowego lekarza, Wojciecha Bulińskiego, który dokonał obdukcji, przepisał maść i płyn Burowa, zaś na wypadek wystąpienia bólu zalecił metindol. Za wizytę nie wziął ani grosza, uznając, że dyrektor szkoły jest osobą urzędową, a wobec tego nie ma obowiązku płacić. W trzy dni później — relacjonuje Stanisław Cisak — zatelefonował do niego komendant MO w Piątku i pytał, jak się czuje, gdyż słyszał, że ma po tym pobiciu jakieś obrażenia. Radził też wybrać się do lekarza sądowego, gdyż w świetle prawa obdukcja Bulińskiego nie jest ważna. Podał nawet adres Zbigniewa Grzybowskiego z Łęczycy, do którego można pojechać.

Dyrektor Cisak postanowił skorzystać z tej rady, choć — jak powiedział komendantowi — czuł się wtedy całkiem dobrze. Doktor Grzybowski potwierdził wystąpienie urazów po pobiciu, nie był jednak pewien, czy poza tym wszystko jest już dobrze, dał więc też skierowanie na prześwietlenie kręgosłupa, na który Stanisław Cisak od dawna się skarżył. Podejrzenie okazało się trafne i w drugim zaświadczeniu, jakie doktor Grzybowski wystawił 2 grudnia, stwierdził, że u badanego nastąpiło także obruszenie kręgów. Wszystko to razem musiało rozwiewać jakiekolwiek wątpliwości czy do pobicia rzeczywiście doszło, czy nie.

Mimo to dyrektor Cisak nie miał jeszcze zamiaru definitywnie rozstawać się z nauczycielem Rykałą, choć przecież mógł to zrobić od razu. Czekał na dalszy bieg wydarzeń. Liczył, że ten przyjdzie go może przeprosić, powie, że nie chciał, że w gniewie... Dostałby co najwyżej naganę z ostrzeżeniem. A tak...

Niestety, Rykała nie stanął na wysokości zadania. Nie dość, że nie okazywał skruchy, to jeszcze powiedział do Mariana Jagiełły i Wojciecha Urbańskiego, że żąda natychmiastowego zwolnienia się dyrektora Cisaka, sekretarza Witczaka, wicekuratora Kożluka i wizytatora Oleksiaka, bo jeżeli nie zrobią tego sami, to on ich zwolni i dopiero będzie. Groził, podburzał innych nauczycieli i w ogóle nie chciał nawet słyszeć o pojednaniu. Jak więc inaczej można z nim było w tej sytuacji postąpić?

24 listopada 1983 roku po zasięgnięciu opinii kierownictwa szkoły dyrektor Cisak zdecydował się wreszcie wręczyć nauczycielowi Rykale zwolnienie z pracy ze skutkiem natychmiastowym. Jeszcze tego dnia miał cichą nadzieję na załagodzenie konfliktu, jeszcze czekał na jakiś gest dobrej woli. Daremnie. Nauczyciel Rykała nadal był niepokorny, a wezwany do dyrektorskiego gabinetu, zjawił się tam z... jakąś panią adwokat, która była ponoć jego pełnomocnikiem. Tak, dłużej naprawdę nie było już na co czekać.

Dyrektor Cisak oświadczył pełnomocnikowi nauczyciela Rykały, że jej do siebie nie zaprasza, więc może co najwyżej poczekać na swego klienta w hallu, po czym w obecności innych członków kierownictwa szkoły wręczył wezwanemu wymówienie. Oczywiście Rykała wciąż się do niczego nie przyznawał. Powiedział tylko, że żałuje, iż użył siły fizycznej, czym przecież de facto — dowodzi Stanisław Cisak — sam przyznał się do winy. Przykre to, ale doprawdy nie było innego wyjścia.

Po zajściu w pokoju nauczycielskim Mieczysław Rykała zjadł jeszcze w szkole obiad, porozmawiał z prezesem ogniska ZNP, Ireneuszem Tarką, który przyznał, że dyrektor Cisak podobne rzeczy próbował już robić z Bronisławem Kępińskim, którego też chciał się pozbyć ze szkoły, po czym pojechał do domu do Błonia, gdzie między innymi zrobił fotokopie protokółu z Modelu, słusznie przeczuwając, że może być mu bardzo potrzebna w przyszłości. Dopiero następnego dnia dowiedział się, że w szkole była milicja, że dyrektor nakłaniał nauczycieli, by pisali mu oświadczenie o pobiciu, i że prawdopodobnie coś się w związku z tym wszystkim szykuje. Przyjął to spokojnie. Nie miał się również czego bać. — *Żadnego pobicia przecież* — mówi — *nie było, a że się bardzo zdenerwował... A któż by się nie zdenerwował na jego miejscu po tym, co go spotkało? Musiałby być chyba świętym.*

24 listopada rano Mieczysław Rykała otrzymał pisemne wezwanie do dyrektora Cisaka na godzinę 14. Spodziewał się, że może to mieć dla niego wielkie znaczenie, więc będąc już w Kutnie, w zakładach „Kraj" — jak zwykle z uczniami, zatelefonował do tamtejszego sądu z prośbą o pomoc prawną i z powrotem do Piątku przyjechał już w asyście młodej, sympatycznej pani mecenas. Nie, nie przypuszczał, że tego właśnie dnia zostanie wyrzucony z pracy, ale po jakże przykrych doświadczeniach z Błonia i Sędziejowic pomyślał, że teraz to już na zimne dmuchać nie zaszkodzi. I wcale się nie pomylił. Tyle, że obecność prawniczki zdała się na nic, gdyż po dłuższej wymianie zdań z dyrektorem Cisakiem została wyproszona z jego gabinetu i wtedy...

Wtedy on nie miał już większych szans. Zresztą cokolwiek by zrobił, cokolwiek powiedział, i tak mogło być to wykorzystane przeciwko niemu. „Wyrok" został wszak już dawno wydany, a dyrektor Cisak zbierał tylko „argumenty" i czekał na okazję. O lepszej zaś niż „pobicie" nie mógł nawet marzyć. Wszystko więc poszło zgodnie z planem.

Oczywiście — przyznaje Mieczysław Rykała — że wcześniej były próby pojednania. Dyrektor sam przysłał do niego swych „parlamentariuszy", którzy ostrzegali, sugerowali, podpowiadali... Jeden z nich powiedział nawet wprost, że gdyby się od razu przed dyrektorem upokorzył, ten nie poszedłby do znajomego lekarza i obdukcji na okoliczność „pobicia" nie załatwił. Czy jednak upokorzenie się nie byłoby równoznaczne z wzięciem całej winy na siebie? Przepraszać za coś, czego się nie zrobiło? Nie, nie. Rykała nie potrafiłby tak nagle stać się pokorny. Tym razem kosa rzeczywiście trafiła na kamień. Żadnych ustępstw. Albo — albo.

Musiały się więc w końcu posypać iskry.

Kiedy w gabinecie dyrektora Cisaka rozmawiałem z jego zastępcą, Wojciechem Urbańskim, opowiadał mi jak to Rykała spotkał się z nim i Marianem Jagiełłą już po „pobiciu" a jeszcze przed wymówieniem i domagał się, aby spowodowali odejście kilku osób ze szkoły i kuratorium. Zachowywał się przy tym jak szaleniec. Mówił też, że rozmowę z nimi nagrał na magnetofonie, który rzekomo miał w teczce, choć ani Urbański, ani Jagiełło tego magnetofonu nie widzieli.

Przyznam szczerze, że ja również początkowo nie wierzyłem, iż rozmowa ta mogła zostać nagrana. A jednak... Oto prawie cały jej przebieg spisany wprost z taśmy:

M. Rykała: — *Jest tak, że naprawdę... Jesteśmy kolegami i znamy się już od dawna. Ale chcę dzisiaj z wami służbowo porozmawiać. Jeśli chodzi o to sprawozdanie, czy..., czy te całe relacje z Modelu, to jest coś potwornego. Teraz dyrektor wzywa wszystkich po kolei na jakieś tam..., ocenę praktyk, to jest już pięć miesięcy temu, to jest śmiech, to jest po prostu dla mnie... Nie wiem już jak to nazwać. I do czego to wszystko zmierzało? Jak ja tak przeczytałem sobie raz i drugi, to — wiecie — chodziło o to chyba, żeby pozbawić mnie praw nauczania, tak?*

W. Urbański: — *Chyba tak.*

M. Rykała: — *No, właśnie. To — wiecie — ja tutaj wam pokażę, ile już zasłużyłem sobie od różnych instancji. Przejrzyjcie sobie, jak to wygląda. No, zobaczcie. Jest i od Rady Państwa Srebrny Krzyż Zasługi, i wszystkie odznaczenia młodzieżowe...*

W. Urbański: — *Cały plik tego...*

M. Rykała: — *No, jest tego sporo. I w tej sytuacji (przecież i w szkolnictwie pracowałem)... I w tej sytuacji jeżeli takie robi się wybiegi, to wiecie co? To jest przykre. I ja właściwie nie powinienem się tłumaczyć, ale wam wszystkie sprawy wyjaśnię. Tak po kolei. Po pierwsze: sprawa jakiegoś przemycanego kożucha. Wiecie co? To jest więcej niż bzdura. Już..., zaraz... w osiemdziesiątym pierwszym roku, chyba w listopadzie przyszły do mnie..., znaczy przyjechał do mnie taki Niemiec. Nazywał się Günter Dudeck. Z córką. I przywieźli taką kurtkę, żeby im to wyczyścić i ufarbować. No, ja się podjąłem. No, macie — tutaj jest kwit. Zobaczcie! To zaniosłem do farbowania, i jak odebrałem z farbowania, to był już czternasty grudnia, czyli był stan wojenny. No i ten łach u mnie leży w szafie przez dwa lata, ja nie wiedziałem, co z tym robić, już mole się koło tego zaczęły kręcić. I normalnie tej dziewczynie jej własność odwiozłem. No, czy to jest przemyt? Powiedz, czy to jest przemyt?!*

W.W. Urbański: — *W żadnym wypadku.*

M. Rykała: — *No, widzisz. No więc robienie przemytnika ze mnie, to w tym wypadku jest naprawdę wielkim nieporozumieniem. O, widzisz — taki Adamczyk, to jest przemytnik. Jak on już tyle wiertarek przewiózł i on to sprzedaje, on tam w NRD handluje, przywozi za to wełnę, buty... To jest przemytnik?*

W. Urbański: — *No, tak go można by nazwać.*

M. Rykała: — *No, widzisz. A ja po prostu odwiozłem właścicielce jej własność i to wszystko. I żadnych z tego korzyści tam nie miałem... A, że dałem dziewczynie do przewiezienia i to nie uczennicy... To jest proste, bo uczennicy nie powinno się w takie rzeczy wciągać. Następna sprawa: że tam ten chleb zabierał. No, przecież — słuchajcie — to jest więcej niż bzdura. Jak można w obcym kraju swojemu rodakowi zabierać chleb? Ja wam opowiem, jak to było. Było tak, że normalnie dawali na śniadanie chleb biały i chleb czarny. Ja szedłem tam pierwszy i regulowałem, żeby jednakową ilość miał ten pierwszy z kolejki, ten środkowy i ten ostatni. I jeżeli ja to wyregulowałem, to nie jest zabieranie chleba, tylko normalnie czynienie takiej chyba wychowawczej czynności. No, to rozumiecie to, czy nie?*

M. Jagiełło: — *No, tak.*

M. Rykała: — *I ty też rozumiesz, Wojtek? No, ty może i rozumiesz. Więc następna tam... Jaki tam zarzut był? Marian, ty żeś pisał, to pamiętasz. To spanie z córkami kuratorów... No, dajcie spokój! Przecież jak ja bym chciał spać w ogóle z kimś tam, to nie z córkami kuratorów. Ja tak nisko nie upadłem, wiecie. Chodziło o to, że smarkule uważały że jak są córkami kuratorów, to już będą całe noce rozmawiać. I tak: chodziła do nich pani Jola, trzynaście razy, szesnaście razy, wreszcie przyszła do mnie: „Panie Mieczysławie, niech pan je jakoś uspokoi". No, ja też chodziłem do nich kilkanaście razy i w końcu jeżeli się gówniary nie uspokoiły, do godziny trzeciej w nocy, to następnego dnia powiedziałem Witkowskim (wiecie, te tam siostry były), żeby mi pościeliły u nich łóżko tam w pokoju. A tym bardziej, że hotel był akustyczny i — normalna sprawa, że przy okazji piętnaście jeszcze innych osób nie mogło spać. Więc w tym czasie, kiedy one rozmawiały, to ja przy zgaszonym świetle szedłem tam i spałem z nimi. To co wielkiego? To co, miałem ich bić, czy jak? Córki kuratorów? To jeszcze gorzej byłaby kara. No co, jasne to dla was jest, czy nie?*

W. Urbański: — *No, oczywiste.*

M. Rykała: — *No, widzisz. I co tam jeszcze... Dużo tych różnych zarzutów się nazbierało. Jeżeli... Marian, jeżeli będziesz miał jakieś do wyjaśnienia, to powiedz. I ty, Wojtek, tak samo jesteś świadomy tego, że to jest zwykłe szkalowanie. I to, co teraz dyrektor wyprawia, to jest zwykła maskarada. Ja jeszcze leczę się na zewnętrzny układ nerwowy, miałem takie zapalenie... O zobacz — tutaj jest książeczka zdrowia i tu jest to ostatnie od lekarza. Zobacz skąd to jest!*

M. Jagiełło: — *Klinika Neurochirurgii Szpitala Klinicznego Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi...*

M. Rykała: — *No, z Łodzi. I słuchaj, ja sobie nie będę nerwów psuł, nie będę z dyrektorem rozmawiał. Zresztą to nie ma sensu. I wydaje mi się... Tam jest takie zdanie że jako przedstawicielka spółdzielni produkcyjnej Model, to ja uważam, że się Rykała nie nadaje na nauczyciela, czy coś takiego. Tak jest napisane? I ty to podpisywałeś? To ja wobec tego jako instruktor warsztatów może będę wolał, żeby — bo ja wiem — tego..., żeby ze stanowiska zeszedł może sekretarz Witczak, może Oterski, Kożluk, czy Cisak. Takie samo mam chyba prawo ja do zwalniania tych kuratorów, czy jakichś innych wicekuratorów, czy innych bonzów, jak ma prawo cała ta sekretarka z Modelu, żeby mnie zwalniać. No, jaka tu jest zależność? Człowieku! I słuchaj, Marian, przecież byłeś przy tym i aż przykro mówić, że ty wyrok na mnie podpisałeś. No jak to? Wołacie mnie dwa miesiące przed wakacjami, a teraz koniecznie chcecie żeby mnie stąd wygonić? To jest tak trochę nie w porządku. Tak samo jest w porządku jak — wiesz — Oterski... (...) Albo weź tutaj... Ten Witczak, co tutaj ten protokół prawdopodobnie pisał z tymi błędami. No, słuchaj, przecież... Ja nie wiem, jak to też nazwać. Jeżeli on tam wywołał tyle awantur po pijanemu w knajpie, jeżeli on ukradł rower... No ukradł, czy nie ukradł w końcu? No, powiedz!*

W. Urbański: — *No, tak.*

M. Rykała: — *No ukradł. Się potem wykupił dwoma skrzynkami piwa. Przecież Niemcy śmieli się do mnie. I ja tyle wstydu się najadłem tam i jeszcze ma się tutaj dalej ciągnąć to? No, ja nie wiem. Może jednak postaracie się, żeby te osoby pozwalniały się jakoś tam ze stanowisk? A teraz wam powiem — rozmowa była nagrywana.*

Marian Jagiełło i Wojciech Urbański byli u dyrektora Cisaka w chwili wręczania Mieczysławowi Rykale wymówienia. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem w obronie kolegi który za ich sprawą znalazł się w szkole w Piątku, bo to przecież właśnie oni przyjechali do niego w 1980 roku, prosząc o pomoc w zorganizowaniu praktyk wakacyjnych w NRD. Czy naprawdę nie mieli nic do powiedzenia.

C.D.N.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Sokolnik króla Jagiełły

Byłem wściekły. Głównie na siebie samego, umawiać się wśród bloków betonowej pustyni, to przecież paranoja! Wszystkie identyczne, równie piękne, jakby tłoczone jedną sztancą przez maniaka — budowlańca bez wyobraźni...

Zrezygnowany turlałem się wolno w kierunku ruchliwej arterii okalającej nieszczesne osiedle. Musiałem zahamować, by przepuścić dwa rwące jak do pożaru atobusy i wówczas...

Rozległ się dziwny furkot i kątem oka dostrzegłem jakiś błyskawicznie zbliżający się z lewej strony ciemny kształt. Odruchowo zasłoniłem się ręka i równie automatycznie kopnąłem hamulec. Uderzenie nie nastąpiło. Za otwartym oknem samochodu, głową w dół, szamotało się na lince ogromne ptaszysko. Niczym u Hitchcocka! Sekunda — niedawny napastnik poderwał się w górę i spokojnie przysiadł na podstawionej mu skądś ręce okutanej w rękawicę. Przez chwile zaskoczony umysł wybierał właściwe rozwiązanie: Sokolnik? Tutaj? W środku miasta?...

Szare oczy patrzyły przepraszająco spod grzywy wyraźnie już skropionych siwizna włosów. Wysoki, w tym sympatycznie nieokreślonym, męskim wieku, skórzana kurtka. I wyciągnięte przedramię z ochraniającą dłoń rękawica, a na niej już spokojny, choć bacznie mi się przyglądający, piękny duży ptak.

— Przepraszam bardzo, on nie chciał pana zaatakować, raczej przestraszył się samochodu i dlatego skoczył. Taka natura, ale jest przyjaźnie nastawiony, jeszcze raz przepraszamy...

Odjechałem parę metrów w bok, wyłączyłem silnik. Wyskoczyłem z auta. — *O, nie, teraz już niech mi pan nie ucieka* — nie wiedzieć czemu głos mi lekko drżał, ale w głowie natychmiast zapaliło się czerwone światło, przypominające złotą myśl byłego naczelnego, wspaniałego Sergiusza Klaczkowa, który zwykł był mawiać, że rasowego reportera temat sam znajdzie. — *Ja też jestem przyjaźnie nastawiony* — tokowałem niczym stary głuszec — *porozmawiajmy chwilę...*

— Czemu nie...: — siwy pan wolną ręką wyciągnął z kieszeni mały, skórzany kapturek i jednym zręcznym ruchem założył ptakowi na głowę — Spokój Czika, spokój, to przyjaciel, no, malutka, nie denerwuj się — nieszczotliwie przemawiał gładząc drapieżnika pod potężnym dziobem.

— *Naprawdę jest pan sokolnikiem? Skąd to zamiłowanie? Skąd ten wspaniały sokół? Egzotyczna przygoda czy wyrafinowane hobby?* — zarzuciłem rozmówcę gradem nieskoordynowanych pytań, nie bardzo wiedząc, czy najpierw sięgać po nieodłączny notes czy kruszące lody nieufności papierosy. — *Porozmawiajmy chwilę, siądźmy choćby tu, na trawie...*

— Nie wszystko na raz: teraz, wie pan, ja jestem nieco zdenerwowany, zaraz, zaraz — siwy pan tarł czoło wyraźnie zaskoczony takim obrotem sprawy. — No co, Czika, opowiemy trochę o nas? — pogładził znów ptaka, który — pewnie mi się wydawało — przyzwalająco skinął zgrabnym łebkiem.

— To długa i rzeczywiście egzotyczna przygoda — zaczął po chwili zaciągając się mocno „meserszmitem" zwanym potocznie „carmenem". — W szkole nie należałem do prymusów, ale dziwnie wryło mi się w pamięć opowiadanie naszego historyka o królu Jagielle, który ponoć ukochał polowania z sokołami. Poznanie wielu tajników przyrody zawdzięczam natomiast dziadkowi — gajowemu, z którym całe tygodnie spędzałem na leśnych eskapadach. On nie tylko uczył mnie odróżniać tropy sarny od śladów lisa, ale i leczyć zwierzynę, pomagać gdy trzeba, nie naruszając zasad naturalnej równowagi w leśnej florze i faunie. Właśnie dziadek doradzał jak ratować mojego pierwszego podopiecznego...

— *Też sokoła?* — wtrąciłem uczenie wielce.

— Nie też, bo Czika jest jastrzębicą, a jastrzębie należą do grupy sokołów. Ale szlachetnych sokołów u nas nie ma, od wielu lat nie natrafiono na ich gniazda. Wyginęły, oby nie bezpowrotnie. Przyjęło się tylko, że każdy ptak drapieżny ułożony do polowania zwany jest sokołem. Jako ciekawoskę mogę panu powiedzieć, że niewiele ponad dwadzieścia lat temu wędrowne sokoły legły się na wieży... łódzkiej katedry. Pamiętam to dokładnie, mieszkałem wtedy niedaleko, na Przybyszewskiego. Cóż, ludzie je wytrzebili, takie są fakty...

— *A ten pański pierwszy ptak? W jaki sposób do pana trafił?* — zerkałem wciąż nieufnie na Czikę, która jednak uspokoiła się zupełnie. Przycupnęła na rękawicy i wydawała się drzemać.

— Miałem wtedy 14 lat — pan Zbigniew Tracz, bo tak mi się przedstawił, wypuścił w górę serię zgrabnych, dymnych kółek. — Szlachetny sokół, w pościgu za gołębiami, wpadł między komórki na Przybyszewskiego. Sąsiedzi chcieli go zatłuc, nawiedzeni. Pewnie by się to udało, bo miał uszkodzone skrzydło i złamaną nogę. Po długich debatach oddali mi sokoła za dwie pary „poczciarzy". Razem z dziadkiem wykurowaliśmy ptaka i po paru miesiącach wrócił do lasu.

— *A Czika? Gdzie pan ją znalazł?* — rozsiedliśmy się wygodnie na trawie i naprawdę nie przeszkadzały nam zdziwione nieco spojrzenia przechodniów.

— To jeszcze inna historia. Ona była już przewidziana do wypchania. Parę lat temu odnalazł mnie właściciel sporych szklarni, prosząc bym mu na pamiątkę „spreparował" ptaka, który w pogoni za łupem wpadł do jego inspektów. Czika rozbiła szklane tafle, potężnie się kaleczac, między innymi rozorała sobie całe wole: zdychała już, z upływu krwi. Niewiele się namyślając jeszcze na miejscu zeszyłem jej rany zwykłą igłą i bawełnianą nitką. Nie liczyłem na sukces, ale ku memu zdumieniu — udało się. Po dwudziestu dniach pierwsze szwy zeszły wraz z pierzem, została niewielka blizna. No i jesteśmy razem już pięć lat.

Jastrząb usiłował coś wypatrzeć mimo kapturka, może coś usłyszał. Raptownie wyrwał w górę, łomocząc gwałtownie skrzydłami. Była jednak bezlitosna linka. W sekundę wisiał na niej, głową w dół. Jeszcze jeden skok i znów siedział grzecznie na podstawionej mu rękawicy.

— Niech się pan nie martwi, to normalne — mój rozmówca wyraźnie poweselał na widok mojej nietęgiej miny. — Wszystkie ptaki łowne bardzo to lubią, nogi mają strasznie silne i takie skoki traktują jako zabawę. — Na pozór wygląda, że chcą wyrwać — co bez rzemienia oczywiście by uczyniły — a Czika potrafi parę tysięcy razy dziennie w ten sposób skoczyć. Nie waży nawet półtora kilograma i podrzucenie jej nie nastręcza większych trudności, ale niech pan sobie wyobrazi taką zabawę z orłem przednim, którego waga przekracza cztery i pół kilograma.

— *Czy to znaczy, że u nas układa się również i orły?*

— Ponoć w górach jeszcze natrafia się na orle gniazda. Specjalne zezwolenie na układanie i polowanie z orłem miał mieć prezes oddziału naszego Związku Sokolników we Włocławku. Chciał sprowadzić ptaki z Czechosłowacji. Ale nie wiem, czy udało mu się ten zamiar już zrealizować?

— *Macie swój związek, zapewne tereny łowieckie, prawie jak za króla Jagiełły. Ilu jest was w kraju?*

— Zrzeszonych — około 180, ale tylko czterdziestu paru ma własne ptaki. Zdobyć sokoła, ułożyć, zdać specjalne egzaminy — to trwa całe lata, a nie wszystkim wystarcza cierpliwości. No i umiejętności także...

— *Jak wyglądają takie egzaminy i gdzie pan z nią poluje?* — jastrząb znów udawał, że zmorzył go sen, więc powoli podniosłem rękę, by pogładzić go po beżowo-brązowym grzbiecie. Zatrzymało mnie nieco ostrzejsze spojrzenie pana Zbigniewa, który tym samym spokojnym tonem szybko mnie uprzedził:

— Nie tak, nigdy z tyłu, po głowie czy grzbiecie. Ona pana wtedy nie widzi i czując się zagrożona — natychmiast atakuje. Tylko z przodu, po brzuchu, po łapach — bardzo to lubi.

Nie będąc całkowicie przekonanym czy „bardzo to lubi", lekko drżącą ręką pogładziłem jastrzębia po miękkim puchu. Przez wąską szparę w kapturze przyglądało mi się bacznie czarne, nieruchome oko.

— Co do egzaminów. — Tracz wrócił do przerwanego wątku — to jest to cały rytuał, czasu nie ma by wdawać się w szczegóły. Trzeba je zdać dwa — jeden w Związku Łowieckim i drugi — na sokolnika, po którym otrzymuje się kartę sokolniczą uprawniającą do polowań. Mój rejon to Sokolniki, Biała za Zgierzem i okolice Rozprzy w Piotrkowskiem. A na egzaminie musi pan udowodnić to samo co w praktyce na polowaniu — umiejętność obcowania z ptakiem, obnoszenia, reakcje jastrzębia na głos, by wrócił gdy go zawołam...

— *Mógłby pan to teraz zademonstrować?* — pytanie to nurtowało mnie od dłuższego czasu.

— Raczej nie, może nieco później, Czika jest po posiłku i...

— *A co dobrego miała na obiad?*

— Pół smakowitego gawrona, którego sama upolowała, co może jej wystarczyć nawet na dwa dni. Mogłaby pójść w górę i — nie wrócić...

— *Pan mi opowiada, zawodowy sokolnik, że to jest ułożony ptak? I nie wróci na głos swego pana?*

— Spokojnie, spokojnie, to nie jest domowy kanarek ani kanapowy ratlerek. To dziki ptak drapieżny i prawdziwej natury nigdy pan w nim nie złamie, zresztą nawet bym nie chciał. Czy pan wie, że na wolności rodzice po dwóch-trzech tygodniach wyrzucają małego z gniazda i albo znajdzie sobie swój teren łowiecki albo zginie. Jeśli wypuści się sytego ptaka — zawsze natura zwycięży i wtedy ja go muszę szukać.

— *Zdarzało się już?*

— Oczywiście. I z poprzednikami i z Czika również. Kiedyś szukałem jej dwa tygodnie po lasach pod Białą. Znalazłem. A właściwie to ona mnie wypatrzyła, bo sokół widzi niewielkie przedmioty nawet z odległości 1500 metrów. Gardło już prawie zdarłem, ale przyszła na rękawicę gdy szczęśliwie znalazłem się w jej pobliżu.

Pan Zbigniew wolną ręką ostrożnie sięgnął do kieszeni kurtki. Wyciągnął plik zdjęć. Fotki z jakichś polowań, specjalistycznych pokazów, zawodów, pamiątkowe, „paszportowe" ujęcia wspaniałych ptaków, które miał w minionych latach. Jest i Czika, jeszcze młodziutka, dzika, nastroszona. Tu siedzi na tak zwanym berle, czyli specjalnej żerdzi, jeszcze w sokolniczych pętach, zda się, że za chwilę zaatakuje obiektyw aparatu. Obok — pierwsze loty, jeszcze na dłużcu, czyli cienkiej, dwudziestometrowej lince rzemiennej. I ostatnie — dumny, drapieżny ptak przycupnął za plecami pana na oparciu krzesła.

— *A jak wygląda samo polowanie? Niech pan opowie przebieg któregoś z ostatnich* — nalegam uparcie.

— Przede wszystkim muszą być odpowiednie warunki, to znaczy zbliżone do tych, w jakich jastrząb poluje na wolności — nie za gorąco, bezdeszczowo no i nie może być to w okresie pierzenia, czyli od końca wiosny do września.

— *A zima?*

— Zima to najlepszy czas do polowań, nawet w tęgie mrozy. No więc siedzi na rękawicy, oczywiście bez linki, kaptura i co pewien czas startuje na takie loty patrolowe, zwiadowcze. Wołam go i każdy powrót nagradzany jest kawałkiem mięsa.

— *A propos: jakiego mięsa?*

— Oprócz wieprzowego, może być każde, byle świeże i niesolone.

— *Kiełbasę kartkową też pan poświęca?*

— Nie ma takiej potrzeby. Kupuję resztki surowego mięsa, jakieś podroby, czasem nutrie, czasem świnkę morską, a zresztą ona się sama wyżywi. Doskonale łowi przecież takie szkodniki, jak sroki, siwe wrony, dzikie koty.

— *Sympatyczna sroka jest szkodnikiem?*

— Oho, widzę, że nie był pan na tej lekcji w szkole. Przecież wyjada innym małe, zjada i niszczy jajka innych ptaków. A wracając do kiełbasy: my się zajadamy, a Czika od toruńskiej czy kabanosów po prostu zdechnie...

— *To już może chodźmy na to polowanie...*

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— Jastrząb zawsze szybciej niż ja wypatrzy zdobycz, nawet z rękawicy i nie trzeba jej popędzać — rzuca się na wszystko co ucieka.

— *Na niewinną sarenkę też?*

— Też, bo taka natura drapieżnika chociaż rzecz jasna nie jest w stanie zrobić jej żadnej krzywdy. W przeciwieństwie do faceta z fuzją. Ale atakuje dla przykładu lisa, nie mówiąc o takiej drobnicy jak kaczki, bażanty, dzikie koty, zające, kuropatwy...

— *Myszy...*

— Nie, mysz jest dla niej za mała, nie może jej dobrze chwycić szponami, a jastrząb zabija tylko szponami.

— *Nie atakuje dziobem?*

— Oczywiście, że nie! Dopadnie na przykład zająca, a trzeba to widzieć, bo w pościgu idzie jak pocisk. Po krótkiej zwykle szamotaninie przydusza zdobycz do ziemi i zaciskając szpony przebija unerwiony kark, co powoduje paraliż. Dzioba używa — nazwijmy to — wyłącznie do konsumpcji.

— *Uczy ją pan oddawania upolowanej zwierzyny?*

— Oczywiście. Przy łapie ma przytroczony dzwoneczek, który w czasie szamotaniny sygnalizuje mi, w którym miejscu wre walka. I wtedy też przydaje się rękawica, bo czasem ptak jest tak rozgrzany walką, że gdyby siadł mi na gołej ręce z pewnością miałbym krwawe ślady. Niech pan da rękę, delikatnie, z tyłu...

Prawdę powiedziawszy z duszą na ramieniu ale podsunąłem prawicę. Jastrząb spokojnie cofnął się o krok i przesiadł na moją rękę. Czułem jego ciężar, a jeszcze bardziej ostre jak szpile, potężne szpony. Ale był grzeczny, jakby akceptował tę próbę.

— O widzi pan, gdyby teraz w pobliżu pojawił się jakiś ptak, albo ja bym za przeproszeniem zamiauczał — ona odruchowo zacisnęłaby łapy gotując się do ataku. A pan miałby przebite w ośmiu miejscach przedramię, no, niech lepiej przejdzie na rękawicę.

— Aha, jeszcze panu powiem o polowaniu — pan Zbigniew zaciągnął się mocno kolejnym „meserszmitem". — Złowić starą, cwaną kaczkę to wcale nie taka prosta sprawa. Widziałem już wielokrotnie jak jastrząb ponawiał ataki — i bez skutku. Kaczka ma prostą obronę — w ułamku sekundy nurkuje i sokół jest bezradny. Bardzo atrakcyjnie wyglądają też łowy na bażanty. Trzeba panu wiedzieć, że jastrząb w locie szybującym może utrzymać się w powietrzu i kilka godzin, ale w tak zwanej gonitwie jest klasycznym krótkodystansowcem. Atakuje, nie jak sokół wędrowny, z góry, ale — w locie poziomym i to gdzieś do odległości 200—300 metrów. A wspomniany bażant ma piekielnie szybki, pionowy start. I to — jeśli jest wytrawnym graczem — czasem ratuje mu życie.

— *Czy jastrząb przyniesie panu zdobycz, jeśli do niego się nie podejdzie?*

— Nie, nigdy. Co prawda, w trakcie układania uczy się go łapania w powietrzu tak zwanego wabidła, czyli sztucznego ptaka nawet o ciężarze 2—3 kilogramów, ale tylko po to, by umiał zapadać ze zdobyczą jak najbliżej mnie. I na tym tle powstaje też wiele zadrażnień z właścicielami gołębi.

— *Którzy pewnie nie przepadają za panem i podopieczną?*

— No, tak to można delikatnie określić. Ja po pierwsze nigdy jastrzębia w mieście nie puszczam, zawsze jest na lince. A kiedyś jeden, zaciętrzewiony, wymachując jakąś wiatrówką, zaklinał się, że widział, jak moja Czika niosła w szponach jego gołębia. To nieprawda. Oczywiście, w lesie sokół poluje na zdziczałe gołębie, które zresztą są dla niego łatwą zdobyczą.

Siedzieliśmy już dość długo, trawa pokryła się rosą. Z pewnym niepokojem obserwowałem zmierzającego w naszą stronę — też pod opieką pana — potężnego wilczura. Pies weszył zapamiętale i w pewnym momencie ruszył do nas ostrym szpurtem. Pan Zbigniew uspokoił mnie ruchem ręki i zdjął z głowy ptaka skórzany kaptur. Czika siedziała wciąż spokojnie, przypatrując mi się jakby z większą sympatią. Zaatakowała, gdy owczarek był w odległości może pięciu metrów. Skoczyła tak szybko i gwałtownie, że jej opiekun omal nie upadł. Rzemień plasnął i ptak zawisł w powietrzu, trzepocząc skrzydłami. Wyrwał znów, ale nie na rękawicę, tylko w kierunku psa. Ten zaryl przednimi łapami, głos uwiązł mu w krtani; po chwili jeszcze większymi susami, z podkulonym ogonem sadził w kierunku właściciela.

Już było po akcji. Czika siedziała na rękawicy, otrzepywała się, jak po kąpieli. Przekrzywiła kształtny łebek, zdało się, że rozumie każde słowo Tracza, który uspokajał ją w im tylko znanym narzeczu. Pies jej już nie interesował.

— Jan pan widział, mam obrońcę. I nie muszę się bać samotnych, wieczornych spacerów ustronnymi ulicami. Kiedyś w lesie, już pod koniec naszych łowów, zaatakowały mnie dwa zdziczałe kundle. Duże, mocno widać wygłodzone. Walczyła z nimi chyba z pół godziny. Były od niej dużo cięższe, ale nie zawahała się ani sekundy. Uciekły skowycząc z bólu: jednemu przeorała szponami pół pyska, drugiemu zdarła pasmo skóry z łba. Uratowała mnie chyba przed serią zastrzyków, bo nie wyglądały te pieski na zdrowe.

Żegnamy się, zaczyna mżyć drobny deszcz. Wiem, że dziś już nie obejrzę jastrzębia w klasycznym locie. Ani aura, ani miejsce po temu. Ale mam zaproszenie na prawdziwe polowanie z Czika w roli głównej. I na pewno skorzystam z możliwości obejrzenia takich łowów. Bez broni palnej. Jak za króla Jagiełły...

Krzysztof Skudziński

Pycha

Żyjący pod rządem rozumu nie są dumniejsi ze swoich dobrych przymiotów niż ja np. z tego, iż mam obie nogi i ręce, czym żaden człowiek o zdrowym rozsądku nie będzie się chwalił, chociaż brak ich czyni go nieszczęśliwym.

Guliwer

Nogi, nogi, setki nóg
Tupią, tupią, tup, tup, tup.
Oddech szczura — przebój
ludzie
dopóki nie zapanowali nad światem
pasożytowali
na innych zwierzętach
kiedy już zapanowali
zaczęli hodować
inne zwierzęta

z nami było podobnie
mówiąc prawdę
długo pasożytowaliśmy
na ludziach
dopóki nie nauczyliśmy się wydzielać gazu
bezwonnego
który w ludziach wyzwala agresję

broń nuklearna i wydzielany przez nas gaz
zniszczyły cywilizację ludzką

ludzie myśleli że nastąpił koniec świata
a to był tylko koniec ludzkiego świata

mamy swoje kontynenty
mamy swoją ewolucję
mamy swoje telewizory
wszyscy bogowie zdradzali ludzi
mamy swój parnas

przestaliśmy pasożytować
prowadzimy tylko drobną hodowlę ludzi
aby ustrzec się przed sentencją
szczur to brzmi dumnie

KA DE WE

„Zawsze to mówiłem, Polacy są sprytni
są zbyt zręczni, zręczni do czego
sprytni do ręki, całują — jak wszyscy — ustami
sprytni też w smutki i w kawalerii"
(Günter Grass)

kiedy spacerowałem w domu z bajki
pomyślałem
ileż pokory musi zawierać praca
której produkty
rosną w dumę

kiedy spacerowałem w domu z bajki
wyobraziłem sobie
jak w bawarskich kuflach
rosła pycha

kiedy spacerowałem w domu z bajki
przeszkadzał mi tylko zapach
ale nie był to zapach
zgromadzonego raju

kiedy spacerowałem w domu z bajki
rozpoznałem
że jest to zapach włosa
który jak dziecko
trzymałem nad świecą

kiedy spacerowałem w domu z bajki
pomyślałem
że z powodu pychy
winny być tutaj ciągle otwarte okna

Epitafium dla Americo Rogasa

Leonardowi Sciascii

duma prostytutek
fałsz narkomanów
ateizm morderców

Odsuwałeś od siebie myśl
że wszystko to bierze się
z nierównomiernego podziału dóbr

Twój przełożony gardził tobą
ponieważ czytywałeś Dostojewskiego
ale także Ewangelię, Marksa...

W końcu zidentyfikowano cię w Cambridge
na wykładzie Noama Chomsky'ego
dnia 31 października 1979 roku

Afera zabójstw
na świeckich pracownikach sprawiedliwości
wplątała cię w śledztwo
z którego wynikało niezbicie
że wolność jest od —

Niezłomnie dążyłeś na szczyt szklanej góry
nie bacząc na przyjaciela
którego celem był awans

Ale i on nie rozumiał
że zmiana układu sił
implikuje ewolucję pojęć

W kręgu Napoleona

„Wciąż pasjonuje czytelnika polskiego problem: kim naprawdę był Napoleon? Oświeconym despotą, człowiekiem XVIII wieku, który pierwszy stworzył praktyczny model scentralizowanej dyktatury, czy też rzeczywistym obrońcą wolności i liberalizmu. „Tyran z maską liberała nałożoną na profil cezara", czy „mesjasz wolności narodów?".

Te pytania stawia prof. dr Władysław Zajewski w ostatnio wydanej pracy „W kręgu Napoleona i rewolucji europejskich 1830—1831". Czytelnik musi sam znaleźć odpowiedź w bogatym materiale książki, która tworzą artykuły, szkice, eseje i polemiki częściowo opublikowane w czasopismach naukowych i społeczno-politycznych, a częściowo drukowane po raz pierwszy.

Różnorodne materiały zostały zgrupowane w trzech blokach tematycznych: 1) Gdańsk w dobie napoleońskiej; 2) Napoleon — wielbiciele i antagoniści; 3) Podzwonne napoleońskiej Europy.

Napoleon przypomina czarnoksiężnika, który wywołał nieznane moce, a Europa lat trzydziestych dziewietnastego wieku straciła nad nimi panowanie. Zwycięzcy cesarza chcieli zatrzymać proces historycznych przeobrażeń, które zapoczątkowała rewolucja francuska. „Tłumione moce" odezwały się z ogromną siłą w rewolucji lipcowej w Paryżu (1830), w rewolucji belgijskiej (1830), ruchach karbonarskich i naszym Powstaniu Listopadowym.

Tłum walczący w lipcu 1830 r. na ulicach Paryża wzniósł okrzyki: „Niech żyje Napoleon!". Dzięki oficerom napoleończykom Powstanie Listopadowe jakże szybko przerzuciło się z Warszawy na prowincję, a rozbudowana o nowe zaciągi armia uzyskała doskonałych dowódców.

Poprzez szkice Zajewskiego przewija się w oparciu o szeroki materiał faktograficzny myśl, że dla jednych Napoleon był despotą i tyranem, dla innych budzicielem uczuć narodowych, a Polacy z jego polityką wiązali złudne nadzieje na odzyskanie niepodległości.

Przedstawienie treści książki „W kręgu Napoleona" jest niemożliwe w krótkiej recenzji ze względu na ogromną liczbę poruszanych wątków. Zwracam więc uwagę czytelników na najważniejsze szkice i studia będące wynikiem badań archiwalnych i bibliotecznych autora.

Rewelacja archiwalna jest esej o francusko-gdańskim układzie z 13 lipca 1807 r.

Po opanowaniu miasta przez Francuzów mieszczanie gdańscy rozwinęli stosunkowo szeroką działalność polityczną, a na wiadomość o przekazaniu Gdańska pod opiekę Prus (układ w Tylży) czym prędzej zawarli z gubernatorem francuskim gen. Rappem układ, na podstawie którego Gdańsk miał pozostawać w takiej zależności od powstającego z woli cesarza Księstwa Warszawskiego, jaka niegdyś istniała między miastem a Rzeczpospolitą Polską.

Napoleon zlekceważył pragnienia gdańszczan. Nie chciał wbrew Rosji oparcia granic Księstwa Warszawskiego o wybrzeże. Izolowany Gdańsk miał tworzyć punkt wypadowy dla armii francuskiej, lub każdej innej sprzymierzonej z Napoleonem.

Sprawie związku Gdańska z Polską poświęcony jest także szkic „Koncepcje księcia Adama Czartoryskiego w sprawie Gdańska i Torunia". Na Kongresie Wiedeńskim Czartoryski uparcie forsował włączenie Torunia i Gdańska w skład Królestwa. Musiał ustąpić wobec solidarnego frontu Anglii, Austrii i Prus.

Ciekawy jest dział „Napoleon — wielbiciele i przeciwnicy. Siedem szkiców". Przedstawia on siedem postaw autorów francuskich wobec Napoleona. W galerii antagonistów widzimy „ozdobę salonów" panią de Staël, która uważała cesarza Francuzów za „złego geniusza Europy" i polityka i filozofa Beniamina Constanta. Zwalczał on Napoleona do chwili jego abdykacji, a po powrocie Napoleona z Elby i proklamowaniu liberalnego cesarstwa we Francji stał się gorliwym propagatorem legendy „Napoleona liberała".

Ostatni dział artykułów i szkiców stanowi „Podzwonne napoleońskiej Europy". Właściwie jest to podzwonne Kongresu Wiedeńskiego, który nie zdołał utrwalić starego porządku, a narastające sprzeczności znalazły ujście w rewolucji lipcowej we Francji (1830), powstaniu niepodległościowym w Belgii, ruchach karbonarskich oraz naszym Powstaniu Listopadowym.

Autor jest znawcą okresu Powstania Listopadowego. Dostrzega błędy polityczne i militarne, ale równocześnie nie widzi (i słusznie) szansy zwycięstwa, która z uporem propaguje profesor Łojek.

Książka Zajewskiego stanowi pasjonująca, choć równocześnie trudna lekture. Wymaga ogólnej znajomości historii, gdyż autor nawiązuje do szeregu wydarzeń, zakładając ich znajomość przez Czytelnika.

Miłośnikom historii autor przedstawia sporo nieznanego materiału historycznego. Pomijam już wspomniany układ gdańszczan z gubernatorem Rappem w sprawie przynależności do Polski, natomiast ciekawostka jest działalność kaprów francuskich na Bałtyku, lub kontakty belgijskiego polityka Gosswin de Stassarta z Lelewelem i wiele innych spraw, epizodów, wydarzeń. Przekona się o tym czytelnik sięgając po książkę, która może służyć jako wzór „polszczyzny naukowej", nie przeładowanej obcymi wyrazami i wyrażeniami, a równocześnie demonstrującej śmiałe porównania i przenośnie.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Zajewski Władysław, W kręgu Napoleona i rewolucji europejskich 1830—1831, Czytelnik, Warszawa 1984, ss. 452, cena 260 zł.

Gorzowskie Spotkania Teatralne

Od 1967 roku, z krótką przerwą, na scenie Tatru im. J. Osterwy odbywają się Gorzowskie Spotkania Teatralne. Początkowo były one przeglądem pracy sąsiednich ośrodków teatralnych. Obecnie już od trzech lat mają charakter ogólnopolski.

Na przełomie maja i czerwca 1985 r. gorzowski teatr gościł u siebie osiem polskich zespołów teatralnych.

Był więc **Teatr im. J. Słowackiego z Krakowa** z „Kwartetem dla czterech aktorów" Bogusława Schaeffera. Spektakl awangardowy, niezwykły w swej formie, którego konstrukcja odtwórcom poszczególnych ról umożliwia improwizowanie. Reżyserował Mikołaj Grabowski.

Teatr Współczesny ze Szczecina wystawił najsłynniejszą bodaj sztukę Stanisława Różewicza „Białe małżeństwo" w reżyserii Ryszarda Majora.

Teatr Polski z Poznania przywiózł do Gorzowa „Próbę" autorstwa francuskiego dramaturga końca XVII wieku Pierre'a Marivaux oraz współczesny „Kompot" Jonasza Kofty i Bene Rychtera, jedyną polską sztukę poruszającą problem narkomanii. Obie sztuki reżyserował Grzegorz Mrówczyński.

Z melodramatem „Adrianna Lecouvreur" E. Scribe i E. Legouve w świetnej obsadzie aktorskiej wystąpił **Teatr im. S. Jaracza z Łodzi**. Przedstawienie reżyserował Bogdan Hussakowski.

„Już prawie nic" Jerzego Andrzejewskiego za zgodą autora, której udzielił tuż przed swoją śmiercią, zaadaptował dla potrzeb sceny młody gdański reżyser Krzysztof Babicki. Powstało dobre aktorsko i reżysersko przedstawienie o wielkim pisarzu, który przed śmiercią czyni rachunek z życiem. Ze spektaklem tym wystąpił w Gorzowie **Teatr Wybrzeże z Gdańska.**

Ze Szczecina także przybył **Teatr Lalek „Pleciuga"**, ale ze spektaklem dla dorosłych: „Rzecz o Jędrzeju Wowrze", składającym się z dwóch części: „Spowiedź w drewnie" i „Żywot świętych". Obie oparte na życiu i gawędach Jędrzeja Wowry, ludowego rzeźbiarza. Widowisko to, wielokrotnie nagradzane, wyreżyserowali Jan Wilkowski i Bohdan Głuszczak, łącząc elementy teatru lalki, żywego planu aktorskiego i maski.

Nie wymaga rekomendacji Henryk Tomaszewski i **Wrocławski Teatr Pantomimy** z „Synem marnotrawnym", do którego Tomaszewski napisał scenariusz, opracował choreografię i którego sam wyreżyserował.

Teatr Narodowy z Warszawy przybył do Gorzowa z najnowszym spektaklem sceny narodowej, dotkniętej niedawno pożarem, „Życie jest snem" wielkiego poety hiszpańskiego Pedro Calderona de la Barca w reżyserii Krystyny Skuszanki. Pokazano bajkę, która bajką wcale być nie musi.

Z niemal całym swoim repertuarem wystąpił teatr gorzowski, który Gorzowskie Spotkania Teatralne potraktował jako okazję do podsumowania dorobku obecnego sezonu. Pokazano więc wywodzących się z dramatu symbolicznego „Ślepców" Maurycego Maeterlincka, współczesną sztukę „Hollywood czyli święty las" Kazimierza Brauna, obie w reżyserii Antoniego Baniukiewicza, dyrektora i kierownika sceny gorzowskiej. Widzowie zobaczyli także miniaturę „Dama z łasiczką", opracowaną i wykonaną przez Małgorzatę Wower, „Ich czworo" Gabrieli Zapolskiej w reżyserii gorzowskiego reżysera Stanisława Kuźniaka, dramat dwóch starych kobiet w przedstawieniu „Non stop" Macieja Z. Bordowicza w reżyserii Tadeusza Pliszkiewicza oraz dwie komedie o nas wszystkich „Rozmowy przy wycinaniu lasu" Stanisława Tyma w reżyserii Lecha Terpiłowskiego i „Anegdoty prowincjonalne" Aleksandra Wampiłowa w reżyserii Wojciecha Boratyńskiego.

Teatr gorzowski występując w towarzystwie dobrych polskich teatrów udowodnił swojej widowni i chyba także sobie, że nie musi mieć kompleksów. Wystarczy, jeśli będzie to „tylko" twórcze niezadowolenie z siebie.

Opiekunami zespołów teatralnych były gorzowskie zakłady pracy, które wiele serca włożyły w to, by goście dobrze czuli się w ich mieście. Niemal wszystkie teatry zadeklarowały swoją chęć przybycia do Gorzowa w roku przyszłym. Uzyskano dzięki temu pewność, że Gorzowskie Spotkania Teatralne weszły na stałe do kalendarza imprez tego typu w Polsce. Po raz kolejny udowodniono, że kultura polska na ziemiach zachodnich jest nie tylko zjawiskiem prężnym ale także wartościowym artystycznie.

KRYSTYNA KUCZYŃSKA

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko – obyczajowa

JAKIE WINO, TAKA ŁACINA

Jechał szlachcic z Sieradzkiego do Lublina za procesem i wstąpił na noc do klasztoru ojców reformatów. Choć nieznajomego, przyjęto go z gościnnością, a po kolacji gwardian zaprosił go do swojej celi i dalejże gawędzić. Szlachcic markotny, że się konwersacja toczy na sucho, skierował mowę na napitek, upewniając, że ma nad podziw wprawne palladium, tak, iż z całego powiatu nikt nie kupi beczki węgrzyna, póki on nie skosztuje i nie wyda iudicium.

Zrozumiał gwardian przypytankę, wyjął więc spod stołu duży gąsiorek, nalał gościowi szklaneczkę, a gdy ten wypił, pyta:

— *Jakże smakuje?*

— *Bonus vinus, dobrodzieju — rzekł z cicha podróżny.*

— *Nietęgi znawca, ale jeszcze gorszy łacinnik — pomyślał gwardian, bo wiedział, że winko było liche i kwaśne.*

Po kwadransie dalszej rozmowy, szlachcic znów o swoich probierskich talentach zaczyna. Gwardian już chętniejszy, wydobył z szafki flaszkę lepszego trunku i gdy gość smakuje, mówi mu:

— *A o tym jakie zdanie waszeci?*

— *Bona vina, przewielebny ojcze — rzekł podróżny podnosząc głosu.*

Gwardian myśli: szlachcic ze mnie żartuje, albo o drogę pyta, trzeba wyklarować te rzecz. Wyciągnął spod łóżka opleśniałą butelkę i nalawszy tym razem już i sobie, mówi:

— *Ciekawy, co waszeć powie o tym maślaczu?*

— *Bonum vinum, reverendissime pater et illustrissime capitaneus ecclesiae! — krzyknął szlachcic, i, nadstawiając już próżną szklaneczkę dodał: „bis repetita placent!*

— *A więc z waszeci tęgi łacinnik! A czemu żeś z początku takich się barbaryzmów dopuścił?*

— *Tale vinum, tale latinum, dobrodzieju — odpowiedział śmiejąc się szlachcic. Który to koncept tak uradował gwardiana, że mu pozwolił dokończyć butelki.*

K. Gaszyński: Kontuszowe pogadanki i obrazki z szlacheckiego życia, Paryż 1851.

FRASZKA O CZTERECH BISKUPACH

Zjechały się cztery mitry:
Jeden skąpiec, drugi chytry,
Trzeci śpiewa Jeremije,
Czwarty w dupę księży bije.

Ten żarcik poetycki, krążący w odpisach wśród duchowieństwa na początku XIX w., podkreślał słabostki czterech dostojników Kościoła: Stanisława Henryka Choromańskiego, biskupa sufragana augustowskiego (1767—1838), późniejszego (od r. 1836) arcybiskupa warszawskiego, Józefa Szczepana Kożmiana (1772—1831), biskupa kujawskiego, Jana Pawła Woronicza (1757—1829), biskupa krakowskiego (od 1815 r.), arcybiskupa warszawskiego, metropolity i prymasa (od 1828 r.), Adama Prospera Burzyńskiego (zm. 1830), biskupa sandomierskiego. O tym ostatnim pisał Julian Bartoszewicz: „Był to bicz boży na księży, którzy nie oddawali się należycie swojemu powołaniu i przymuszać ich umiał do pracy, zresztą dawał z siebie przykład gorliwości apostolskiej".

KANDYDAT NA SEKRETARZA

Pewny dworzanin, który nigdy się nie uczył, szukając u Jana Tarły, wojewody sandomierskiego, służby, spytany, jeżeliby pisać umiał, odpowiedział, że umie. A gdy ten pan chcąc widzieć charakter jego, kazał mu co napisać, ten wziąwszy pióro, żadnej litery nie potrafiwszy figury, to co mu się zdawało, na papierze nagryzmolił. Czytajże teraz, rzecze pan, coś napisał. „Jam tylko powiedział waszmość panu — odpowie dworzanin — że pisać umiem, ale nie czytać".

Zebranie śladkich i dowcipnych powieści (1790).

KSIĄŻKA

Książka — papier zepsuty przez czernidło drukarskie. Obecnie coraz więcej przybywa takich książek, których nie rozumieją nie tylko czytelnicy, ale nawet sami autorowie. Im która bardziej ciemna, tym więcej ma komentatorów, dzięki którym dopiero autor dowiaduje się, czego właściwie chciał i o jak głębokie myśli został posądzony. Książki w ostatnich czasach są jak kobiety: im która głupsza i brzydsza, tym więcej się stroi, natomiast piękne i mądre w skromnych ukazują się szatach. Temu, że coraz więcej jest złych książek, winni jedynie czytelnicy — gdyby bowiem tylko dobre książki czytano, nikt by złych nie wydawał. Człowiekowi, który pożyczoną książkę zwraca ci po tygodniu, możesz śmiało powierzyć majątek i los swej córki, jest to bowiem ideał uczciwego człowieka.

K. Bartoszewicz: Słownik prawdy i zdrowego rozsądku, Warszawa 1905.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

MAREK KOPROWSKI

Deptanie książek

czyli co jest grane w teatrze amatorskim?

PLAKAT

Na plakacie sterta butów. Różnych. Wszystkie mocno sfatygowane, z naderwanymi lub urwanymi zelówkami, z wywalonymi jęzorami wydają się dyszeć ciężko. Widać, że wiele przeszły. Buty, które piły wodę i które później słońce wysuszyło na skwarek. Popękane, brudne, zużyte. Sterata butów w szaroburym kolorze, jak nasz żywot. Latami wędrowały po różnych drogach, deptały ziemię w rytm pulsu człowieczego życia, zużywały się w codziennej wędrówce, by wylądować wreszcie na śmietnisku, tworząc zdumiewającą i smętną plataninę rzeczy niepotrzebnych, milczących uczestników wielu dramatów, tragedii, szczęść i nieszczęść lecz głównie zdarzeń zwyczajnych. Spiętane ze sobą sznurowadłami niczym losy ludzi, butów tych nosicieli, żyjących w stadzie zwanym społeczeństwem.

Taki właśnie plakat witał uczestników i gości **8 Konfrontacji Teatrów Amatorskich**, które odbyło się w Domu Kultury „Lutnia" w Łodzi przy ul. Łanowej, w dniach 20—23 czerwca 1985 r.

Konfrontacje organizowali (przepisuję z programu): Dzielnicowy Dom Kultury Łódź-Bałuty i Towarzystwo Kultury Teatralnej Zarząd Wojewódzki w Łodzi. Szefem artystycznym był **Marian Glinkowski**, nowy kierownik Domu Teatru w Łodzi i kierownik artystyczny Teatru ORFA ze Zgierza, jednego z uczestników przeglądu. Człowiekiem, który dbał o wszystkich i o wszystko, otwierał, zamykał, przemawiał, przypominał, zapraszał, przepraszał, pojawiał się w kilku miejscach jednocześnie, odbierał telefony, wszystko widział i o wszystkim wiedział, jest **Marek Samborski**, który i mnie wprowadził w szczegóły tej imprezy.

Otóż, Konfrontacje organizowane są po raz ósmy, lecz pierwszy w nowej formule. Organizatorzy jeżdżąc po Polsce szukali teatrów, których spektakle dałyby się wyróżnić pewnym „wspólnym zapachem". Mówiłyby o miejscu człowieka wśród innych ludzi, o relacjach między nimi, o poszukiwaniu „wspólności" z drugim człowiekiem, z narodem, o wędrówce przez życie w poszukiwaniu jego sensu, o relacjach między rządzonymi a rządzącymi, najogólniej mówiąc szukano teatrów, których zainteresowania lokują się w obszarze problematyki wolecznej. Jednocześnie przedstawienia miały być interesujące i ważne artystycznie.

Poza tym, przewidywany był i zrealizowany został po raz pierwszy w Polsce, pewien eksperyment teatralny, ale o tym w dalszej części niniejszej relacji.

DOM KULTURY „LUTNIA"

to nowoczesny, przestronny budynek, wybudowany wśród czteropiętrowych (i wyższych) bloków „wczesnego" Teofilowa. Dla tych, którzy orientują się w mieście po knajpach, dodam, że niedaleko jest „Zulana", popularnie nazywana „Ulana", do której jak wszyscy zaproszeni, dostaję kartki na posiłki. W czasie wydawania ich, wstrzymano podawanie alkoholu, co wywołało zrozumiałe niezadowolenie okolicznych opilców.

Siedzimy w „Lutni" w gustownym patio, basenik z wodą do pół łydki, jakieś rośliny, nawet duża rozrośnięta agawa. Jest ciepło i przyjemnie. Brakuje tylko złotych rybek w basenie. Wkoło ruch, pośpiech i wyczuwalne podniecenie. Bo to nie tylko wzajemna konfrontacja osiągnięć i poszukiwań, ale także, a może przede wszystkim konfrontacja z publicznością, która w demokratycznym, tajnym głosowaniu przyznać ma najlepszemu zespołowi swoją nagrodę. Nagroda najważniejsza. Jury bowiem nie ma, głosuje tylko publiczność.

Spora ilość brodaczy, kudłaczy; dziewczyny i chłopcy wyglądają jak z epoki hippie. To aktorzy zaproszonych teatrów. Jest też młodzież z okolicznych liceów, dla których „Lutnia" urządza cykliczne spotkania z teatrem. Wszyscy mają przypięte znaczki konfrontacji, stanowiące pomniejszoną replikę plakatu. Idę i ja po taki znaczek, bez którego czuję się tutaj jakby nielegalnie.

Marek Samborski „trzyma" krótką mowę powitalną, impreza rozpoczyna się. Pierwsze przedstawienie, to **„Przenikanie" Teatru Prawdziwego**, dawna nazwa Biedni, z **Bielawy**.

Misterium zaczyna się już od wejścia publiczności na widownię. Wchodzą po dwie, trzy osoby do sali widowiskowej, opatulonej szczelnie od wewnątrz kotarami. Żadne światło nie przedostaje się do środka. Wprowadzający znaczy drogę bladym światełkiem ręcznej latarki. W końcu sceny, która w tym spektaklu jest na jednym poziomie z widownią, czerwieni się nikłe światełko lampki ze świeczką w środku. Wchodzenie publiczności trwa dosyć długo. Gdy już rozpocznie się przedstawienie i zapali wątłe światło reflektorów, widzowie zauważą wiszące nad swoimi głowami i miejscem akcji białe brzozowe krzyże. Jesteśmy więc w grobowcu. Cmentarz widziany od dołu.

A przed nami rozpoczyna się szaleńczy taniec. Aktorzy, nie mając litości dla swoich kości, miotają się i rzucają po scenie w niesamowitym tempie. Widzimy więc miłość i zdradę, dramat i szczęście, przyjaźń i nienawiść ból i radość szukanie drugiego człowieka, rozczarowanie, litość, chorobę, śmierć. I los, który niby niewidoczny, stoi jednak gdzieś z boku i reżyseruje przypadki każdego życia. Trwa to ponad godzinę, bez słów. Na koniec jednak aktorzy odzywają się i mówią o tym, co widzieliśmy przed chwilą. Jak dla mnie, nie było to potrzebne i osłabiło wrażenie. Mimo pewnych dłużyzn i powtórzeń całość wypadła interesująco. Jeśli jest to jakiś etap poszukiwań, droga artystyczna teatru wydaje się właściwa.

Na cowieczornym podsumowaniu dnia, spora dyskusję wzbudziły wiszące brzozowe krzyże i ich znaczenie. Ktoś mówił, że to symbol pewnej kultury, mianowicie chrześcijaństwa, która ma duży wpływ na poczynania człowieka znajdującego się w jej kręgu. Moim zdaniem jest to jednak symbol śmierci, która (tu dosłownie) wisi nad każdym z nas we wszystkich chwilach życia. Czy myślimy o tym, czy nie. Dziecko w brzuchu matki jest już napiętnowane śmiercią, bo każdy kto się urodzi, musi umrzeć. A to co się dzieje pomiędzy, zobaczyliśmy właśnie w „Przenikaniu".

Po przerwie wypełnionej rozmowami, herbatkami, kawałkami, chmurami papierosowego dymu i opiekuńczą wszechobecnością **Marka Samborskiego** (tak już będzie do końca, podziwiać tylko siłę, energię i oddanie sprawie tego człowieka), ponownie wchodzimy do sali widowiskowej.

Według programu występować ma teraz **Teatr Pantomimy „Eskimo" przy Zakładach im. F. Dzierżyńskiego w Łodzi**. I występuje. Tytuł **„Karty życia"**. Jest to dziewięć scenek z życia człowieka. Od urodzenia, przez szkołę, ślub wesele, pracę, starość do śmierci. Tytuł każdej części wypisany jest na wielkich rozmiarów kartcie do gry, inny dla każdej części życia człowieka, mającej jakieś znaczenie w kabalistyce cygańskiej. Twórcy tego spektaklu posiłkowali się wiedzą fachową, czyli Cyganki, od lat zajmującej się wróżeniem z kart.

Jest to bardzo pogodna, dowcipna, pełna ironii i ciepłej autoironii przypowieść o żywocie człowieka. Mimowie, w miarę swoich umiejętności, przekonywali nas, że życie w swej codzienności jest jednak optymistyczne, często wesołe, liryczne i romantyczne. Bywa źle i jeszcze gorzej, ale gdy nie opuszcza nas pogoda ducha i poczucie humoru, to życie nie jest takie straszne. Nawet śmierć nie jest śmiercią, a odlotem, niekoniecznie patetycznym aktem zmiany miejsca pobytu.

Optymizm i humor tego spektaklu wydaje się tym większy, że oglądamy go tuż po pesymistycznym i ponurym misterium Teatru Prawdziwego. A gdy dodam, że aktorzy-mimowie to ludzie głuchoniemi — ich pogodne widzenie świata nabiera dodatkowego wymiaru.

DEPCZĄC PO KSIĄŻKACH

I znów przerwa. Teraz montuje się nowy układ sceny i widowni. Spoceni „fachowcy" dźwigają drewniane podesty zawalające korytarz. Jeden z nich, to instruktor pracujący w DDK Łódź-Bałuty, a mający objąć niebawem samodzielną placówkę. Zgłosił się do tej harówki, bo ktoś przecież musi zrobić i czarną robotę. Świadczy to o tym, jak bardzo powodzenie tej imprezy leży wszystkim organizatorom na duszy. Ustawiają więc rodzaj wybiegu, po jakim przechadzają się modelki prezentujące modę. Widzowie zasiadają jak na takim pokazie, po obu stronach wybiegu.

Wchodzimy, tym razem, przez kulisy i scenę, choć można wejść normalnie. Takie wejście musi mieć jakieś dodatkowe znaczenie — bo innego powodu nie widzę. Ale jakie, nie wiem. Musimy deptać po rozrzuconych celowo na podłodze książkach. Są to roczniki statystyczne, napęczniałe sukcesami lat siedemdziesiątych. Czy zestaw tytułów jest przypadkowy, czy nie — nie wiem i wiedzieć nie chcę, czekając odpowiedzi od wykonawców. Myślę tylko, czy nie chodzi o podeptanie minionych, złych czasów? Ale chyba nie, bo taka dosłowność nie przystaje zupełnie do tak nowatorskich i rewolucyjnych umysłów. Tak czy owak, wkraczamy śmiało na widownię.

Przedstawienie pt. **„Między wierszami wierszy"** będące interpretacją własną według poezji **Leszka Szarugi** (tak podaje program) nie przypada mi do gustu. Znajduję kilka dobrych pomysłów inscenizacyjnych, ale to wszystko. Krzyk, wpatrzone gdzieś tam martwe oczy i przeraźliwe miotanie się po scenie. Kilkoro aktorów leżało na wąskim podeście, a największy i najcięższy z nich szalał to w tę to wewtę, depcząc różne przedmioty, niekiedy swoich kolegów, wzbudzał przerażenie, ale i właściwą człowiekowi niezdrową ciekawość, czy któregoś z nich uszkodzi.

Wieczorem, na podsumowaniu dnia, ktoś słusznie wywodził, że jakikolwiek eksperyment, w tym teatralny, powinien skończyć się w momencie, gdy grozi to rozwaleniem łuku brwiowego aktorki, czy wybiciem jej zębów. Że tak nie wolno. Chyba, że zmasakrowanie jest zamierzone, ale to zupełnie inny problem.

Spektakl nie przyniósł spodziewanej odpowiedzi co do rozrzuconych książek (mówiło się o paleniu ich w hitlerowskich Niemczech, ale to chyba nie powód), nie dał również odpowiedzi innych, twórcy pogubili się jakby, zmieniano rytm i nastrój bez żadnego uzasadnienia artystycznego, a zakończenie wypadło ni stąd ni zowąd, jakby nagle zdecydowano: nie gramy dalej.

Starsza pani, idąca przede mną, mówiła: „dla mnie książka zawsze jest książką i nic nie usprawiedliwia takiego jej traktowania".

Aktorom na scenie wolno dużo, lecz widzów nie można zmuszać do czynności wywołujących protest, niechęć czy choćby uczucia mieszane. Gdybyśmy chodzili po tych książkach z jakiegoś naprawdę ważnego powodu, to proszę bardzo, mimo wszystko. A tak, wychodzi na to, że rację miała starsza pani.

Tak więc pierwszy dzień konfrontacji za nami. Wróciłem do domu o północy. Ci, dla których tę imprezę zorganizowano nie spali do rana. Bo najgorętsze dyskusje toczyły się nie na podsumowaniu dnia (te były ciepłe, spokojne), ale w pokojach hotelowych i innych miejscach pobytu uczestników. Były to rozmowy niekontrolowane, „nieuczesane", dające najwięcej chyba korzyści ludziom zaangażowanym w tę robotę.

DZIEŃ DRUGI

Na początek dwa występy poza konkursem. Pierwszy to monodram pt. **„Klucz jest w blasku słońca"** według **A. Ginsberga** w wykonaniu **Jerzego Dębiny**. Bardzo barwny artysta, zadowalający jako jedna z najciekawszych postaci ruchu amatorskiego. Jego występ robi duże wrażenie na publiczności.

Następnie grupa mimów z NRD. Tu prawdziwą furorę robi młody, fenomenalny wręcz chłopak, wykonujący ze swoim mistrzem scenkę: człowiek i robot. Przecieraliśmy oczy ze zdumienia patrząc na perfekcyjną technikę odtwórcy mechanicznego człowieka. Słychać było „ochy" i „achy" i inne okrzyki podziwu i niedowierzania. Gdyby nie to, że po występie kłaniał się prawdziwy, żywy chłopaczyna, można było pomyśleć, że widzieliśmy doskonale skonstruowanego robota, udającego człowieka. Brawa dla mistrza, brawa dla ucznia.

Po krótkiej przerwie oglądamy **Teatr TAKO z Gdańska** ze spektaklem **„Czekając na ciotkę Eleonorę ze wspaniałym złocistym kokiem"**. Czas, który niezauważalnie ale stale i wciąż, odmierza beznamiętnie mgnienia naszego życia, staje się nagle tyranem, poganiaczem wołającym: spiesz się! spiesz się! Nakręcany przez człowieka zegar tykający potulnie w kącie pokoju w pewnym momencie zaczyna jakby nakręcać człowieka, wpływać na jego życie, wywołując panikę i chaos. Staje się naszą władzą. Zauważamy, że czasu mamy coraz mniej i z reguły jest już za późno na cokolwiek. Jesteśmy w matni.

Aktorzy dali pokaz warsztatu na wysokim poziomie. Bardzo sprawni fizycznie (odnosi się to do wszystkich wykonawców z pozostałych teatrów), wykonywali karkołomne zadania sceniczne, posługując się w sposób niemal perfekcyjny ciężkimi sprzętami (łóżko, stół szafa) które grały w spektaklu niepoślednią rolę, tworząc z aktorami zadziwiającą jedność, jakby ich martwe wnętrza wypełniły się duchem tego przedstawienia i dopełniły scenę żywymi postaciami. Bardzo dojrzały aktorsko i myślowo spektakl. **I sukces — w postaci najważniejszej nagrody — nagrody publiczności.**

Po spektaklu **Teatru ORFA ze Zgierza**, który zamykał przegląd, nazwijmy to, konkursowy, między widzami pętała się pewna madame która z wdziękiem hipopotama agitowała do głosowania na ten właśnie teatr. Jeśli miał to być dowcip, to był kiepski. A jeśli nie, to tym gorzej.

A teatr ten takich zabiegów nie potrzebował i pewnie by sobie nie życzył, bo nie o to chodziło. Aktorzy pod wodzą **Mariana Glinkowskiego** pokazali stojący na wysokim poziomie i ciekawy spektakl według **„Ferdydurke" Witolda Gombrowicza, pt. „Wyrabianie istot"**. Świetne aktorstwo, wyczucie tekstu, a szczególnie kapitalnej ironii i groteski Gombrowicza — takie zalety nie wymagają interwencji adwokackiej. Najlepszym dowodem jest niewiele mniejsza od zwycięzcy ilość głosów w plebiscycie publiczności.

Zresztą nagrody w tych konfrontacjach nie są sprawą aż tak istotną jak na innych festiwalach czy spotkaniach teatralnych. Najważniejsze, że ci młodzi ludzie, którzy „chcą chcieć" mają okazję do porównania tego co sami zrobią, z robotą innych. Oni się już znają (choć nie wszyscy) i mogą obserwować drogi, po których chadza ich sztuka, ich widzenie teatru, rodzaje poszukiwań, rozwój warsztatu, wreszcie ich rozmowa z sobą i widzem.

EKSPERYMENT

A teraz eksperyment, o którym pisałem na początku. Była to wypowiedź teatralna **„Podróże"**. Przedsięwzięcie to jest pierwszą próbą przeniesienia na nasz grunt idei wspólnego tworzenia teatralnego. Nie bacząc na wszystkie dzielące je różnice, pięć teatrów ochotniczych z różnych stron kraju oraz wyrosły z tradycji amatorskiej — studenckiego ruchu **Teatr 77** (który objął metodyczne przewodnictwo) podjęło ryzyko tego eksperymentu. Teatr 77 ma za sobą wspólne przedsięwzięcia teatralne, ale w kooperacji międzynarodowej. Stąd jego przewodnictwo metodyczne.

Od końca 1984 r. przedstawiciele zespołów spotykali się w Łodzi (często na własny koszt), dyskutując, a następnie przygotowując wspólny scenariusz. I choć można w nim dostrzec osobne etiudy realizowane przez poszczególne teatry, to koncepcja scenariusza, zespół znaczeń całości, pomysły sytuacji scenicznej i propozycje literackie stanowią efekt wspólnych poszukiwań sześciu teatrów.

W trakcie pracy zespoły doszły do zgodnego wniosku, że każdy z teatrów — uczestników ma prawo do kontynuowania i rozwijania idei pierwszego spotkania. Organizatorzy i uczestnicy „Podróży" są przekonani, iż wypowiedź ta może przyczynić się do ożywienia młodego ruchu teatralnego. Najważniejszy cel zostanie osiągnięty, jeżeli potwierdzi możliwość i potrzebę tego typu działań.

Trudno opisać ten niezwykły eksperyment. Wypełnia on w sposób zagęszczony formułę tegorocznych konfrontacji zilustrowaną opisanym na wstępie plakatem. Uważam, że powiódł się, chyba ponad oczekiwania samych jego twórców. Początek został zrobiony w przednim stylu. My, widzowie, życzymy Wam dalszej, dobrej i coraz lepszej „Podróży".

AMATORSKI — ZNACZY DOBRY

W czasie jednej z przerw między spektaklami, usłyszałem opinię, że teatr amatorski nie jest konkurencją dla teatru zawodowego. Wygłosiła ją pani, która zawodowo zajmuje się, a przynajmniej zajmować się powinna, właśnie teatrem amatorskim. Otóż, nigdy nie będzie konkurencją, dopóki ludzie odpowiedzialni za tę dziedzinę, prezentować będą podobne opinie. Jeżeli praca ich polegać będzie na usadzeniu rozłożystej pupy w wygodnym fotelu i gawo rzeniu o niczym przez telefon. Tu trzeba ruszyć pupą I głową, przede wszystkim. A najlepiej i jednym i drugim.

Oczywiście, teatr amatorski nie ma szans konkurować z zawodowym, jeśli idzie o możliwości techniczne, lokalowe, finansowe, kadrowe, propagandowe, itp. — to jasne. Może natomiast stać się konkurencyjny poprzez propozycje inscenizacyjne, odważne eksperymenty, świeżość spojrzenia; tworząc teatr inny, niekiedy szokujący, dyskusyjny — ale interesujący, pobudzający intelektualnie, wywołujący spory, nawet kłótnie. Trzeba tylko dać mu szansę i możliwości zaprezentowania się szerszej widowni. A to jest rola właśnie propagatorów.

Nie tak bardzo odległe są czasy „Cytryny", „Pstrąga", a później Teatru 77 (wymieniam tylko łódzkie, bo przykładów z reszty kraju jest zbyt dużo). To byli amatorzy, a ich spektakle były słynne, ściągały tłumy ludzi. Z całej Polski przyjeżdżało się na ich przedstawienia. Byli konkurencją dla zawodowych scen. Znaczy, jest to możliwe.

Tym bardziej teraz, gdy od dłuższego czasu teatry zawodowe drepczą w miejscu. Od dawna nic nowego w nich się nie pojawiło **(wyjątek J. Wiśniewski z Poznania)**. Wydreptały sobie ciepłe dołki i jest im w nich dobrze. Z różnych powodów nie podejmą przedsięwzięć ryzykownych artystycznie, które dla amatorów nie są żadnym ryzykiem. Ci nie mają nic do stracenia. I tu właśnie leży ta możliwość konkurencji. Trzeba (jeszcze raz mówię) im tylko pomóc. Ludzi, którym leżą na sercu i głowie sprawy teatru amatorskiego jest dużo. Oni nie liczą swego czasu prywatnego, pieniędzy własnych ni sił i, jak mawiają sportowi komentatorzy, dają z siebie wszystko. Fachowcy, którzy do późnej nocy targali ciężkie dekoracje, powiedzieli: „ci ludzie chcą coś robić, trzeba więc im pomóc".

O TO WŁAŚNIE CHODZI!

Chodzi również o to, żeby ruchu amatorskiego nie utożsamiać z amatorszczyzną, czy oddaną twórczością w najgorszym wydaniu. Takie zjawiska trzeba likwidować. A zacząć od ludzi nieudolnie zajmujących się ruchem amatorskim, którzy właśnie amatorszczyzna w działaniu lenistwem czy też brakiem koncepcji, szkodzą i marnują zapał, chęci, talenty tych, którym zależy.

Niedawno pewien pan nawymyślał mi od amatora za to, że go nie pochwaliłem. I to człowiek, który jest animatorem amatorskiego ruchu artystycznego. Sam w swoje gniazdo „robi"; gdy słowa amator używa jako obelgi.

Bo właśnie. Amator kojarzy się (niestety) powszechnie z dyletantem, kimś, kto niby coś tam wie, coś tam umie, ale tak naprawdę to nic wart jest i tyle. Takie myślenie powinno się wykorzenić, do korzeni, żeby nie zostało ani suchej piędzi ziemi — jak mawiał pewien sierżant sztabowy do słuchających go z zapartym tchem żołnierzy. Dlatego wolę nazwę teatr ochotniczy, niż amatorski. Jest to nazwa bardziej dokładna.

Przecież relacje między amatorami i zawodowcami są (poza uprawnieniami) płynne i umowne. Wśród jednych i drugich są jednostki wybitne, zdolne, przeciętne, słabe, złe i gorsze. Tyle, że amator ma prawo (pozostańmy przy teatrze) mieć złą dykcję, wadę wymowy może (choć nie powinien) źle interpretować tekst i mieć jeszcze kilka niedostatków. Bo to amator. Choć powinno dążyć się i w amatorstwie do perfekcjonizmu. No, ale jednak.

A z drugiej strony wiemy, widzimy, że są całe tabuny zawodowców (czyli ludzi z dyplomami), artystów przeciętnych, dyplomowanych zer, chałturników, którzy nigdy nie wychylą się poza trzecie drzewo z prawej, którzy najlepszym amatorom nie sięgają pięt, którzy winni szorować te pięty, uznojone poszukiwaniem własnej drogi artystycznej. I taki lichy zawodowiec jeśli już otrzyma jakąś propozycję to pierwsze jego pytanie brzmi, nie: co, gdzie dla kogo, kiedy — tylko: za ile? Bo on zawodowiec, więc musi się cenić, a im gorszy, tym wyższa stawkę pragnie podeprzeć swe marne talenta.

ZA ROK...

Tak więc 8 Konfrontacje Teatru Amatorskiego są już za nami. Za rok, jeśli się spotkamy, zobaczymy, co się w ruchu amatorskim zmieniło. A czy na lepsze, czy gorsze — życie pokaże.

Niewierny kochanek muz

rozmawiamy z Wacławem Szmigielskim

— Jest pan, proszę wybaczyć, dość osobliwym przykładem człowieka, który w rozmowach z ludźmi nieporównanie częściej wspomina swą pracę i działalność w fachu fryzjerskim niż swoją drogą filmową. Totez każdemu z naszych wspólnych znajomych wiadomo, że miał pan do niedawna w Warszawie zakład fryzjerski, a bodaj nikt oprócz mnie nie wie o pańskiej pracy w filmie. Ale już sam fakt, że najpierw występował pan w filmie, a potem wziął się za fryzjerstwo, nie zaś na odwrót tak odbiega od wszelkich norm prawdopodobieństwa, że trudno pańskim opowieściom uwierzyć. Niesposób pana rozgryźć...

— Nie, wie pan, czy jestem aż tak skromny, że tę swoją filmową przygodę przemilczam, czy też mam tak silne poczucie własnej wartości. A ja może po prostu przestałem z wielkiem przywiązywać wagę do pewnych pozorów życia. Mam już osiemdziesiąt sześć lat i niejedno dziś inaczej widzę niż za młodu. Ale, gwoli ścisłości, używajmy raczej określenia — właściciel zakładu fryzjerskiego niż fryzjer. Bo miałem niejeden w życiu salon fryzjersko-kosmetyczny, nie wykonywałem natomiast zawodu fryzjera, nie strzygłem, nie goliłem...

— Układał pan damskie fryzury?

— Raczej miałem nad tym pieczę...

— Przeczuwam już, że im dalej będę pana indagował, tym łatwiej mogę się zagubić w pana życiorysie i motywacjach postępowania. Wobec tego, zacznijmy, jak to się mówi, po porządku. A więc jest pan, jak mi wiadomo, starym łodzianinem.

— Tak, urodziłem się i wychowałem w niebiednej łódzkiej rodzinie w ostatnim roku ubiegłego wieku, przy Piotrkowskiej róg Radwańskiej (obecnie Świerczewskiego), w kamienicy, której już nie ma. Mając trochę ponad dwadzieścia lat wyjechałem do Warszawy, żeby się przetrzeć w szerszym świecie.

— I domyślam się, że jako przystojny młodzian z groszem w kieszeni wiódł pan życie raczej beztroskie w owej warszawce z początku lat dwudziestych. Ale jak pan trafił do filmu? Czy marzył pan o tym od dzieciństwa?

— O zagraniu w filmie nigdy nie marzyłem i chyba nawet nie pomyślałem o tym, że miałbym w nim szanse. O mojej drodze filmowej zadecydował przypadek, zostałem mianowicie w 1925 r. w konkursie urządzanym w hotelu „Europejskim" wybrany „królem mody", a „królową" obrano Jadwigę Smosarską. Wystąpiłem, proszę pana, w smokingu uszytym przez sławnego mistrza krawieckiego Zarembę, który miał w tym, jak widać, swoją zasługę, że się nieźle prezentowałem. Ten konkurs właśnie zwrócił na mnie uwagę dyrektorki warszawskiej filii wiedeńskiej wytwórni filmowej przy ul. Widok 10. Otóż owa pani wylansowała już jednego swojego protegowanego, Igo Syma, i z kolei zajęła się moją karierą. Chciała mnie początkowo skaptować do filmu austriackiego, znałem bowiem dobrze niemiecki (i w ogóle z wielkim zapałem uczyłem się języków obcych). Ale oferta z pewnych względów nie uśmiechała mi się, toteż zacząłem występować w filmach kręconych w Warszawie.

— Można więc, z pewną przesadą powiedzieć, że trafił pan do filmu prawie wprost z ulicy...

— Jednak niezupełnie, gdyż moja protektorka skierowała mnie do szkoły filmowej, powiedzmy, że raczej na kurs filmowy, prowadzony w Warszawie przy ul. Senatorskiej 6 przez Ninę Nowilli, Polkę z pochodzenia. Był to koniec lat dwudziestych i zarazem ostatnie lata filmu niemego, wypieranego szybko przez wylansowany w Ameryce film dźwiękowy. Otóż początkowo grywałem w filmach niemych, przeważnie role amantów, ale nie pamiętam już wielu szczegółów, m.in. w jakiej dokładnie kolejności i z czyim udziałem, były te filmy wyświetlane. Od tych pierwszych moich filmów upłynęło prawie sześćdziesiąt lat. Grałem pod pseudonimem Bohdan Gielski, a dla zagranicy przybrałem anglosaskie pseudo Edwad Gylls.

— Na szczęście zachowało się tu u pana trochę pamiątek, m.in. tygodniowe dodatki ilustrowane do „Kuriera Łódzkiego" z maja 1929 r., z których dowiadujemy się, że po udziale w filmach „Maskota" i „Spotkanie o świcie", nakręcił pan także „Przygodę pewnej nocy", która miała wkrótce wejść na łódzkie ekrany. Natomiast z łódzkiej gazety niemieckiej wynika, że został pan zaangażowany przez berlińską wytwórnię „Ufa" do zagrania w kilku filmach z udziałem partnerów Lili Dagover i Carmen Boni.

— Ale jednak do mojej współpracy z „Ufą" nie doszło z różnych powodów i nadal występowałem w filmach polskich, jeszcze niemych, m.in. w dramacie „Sztabskapitan Gubaniew" z podtytułem „Golgota ziemi chełmskiej", w reżyserii Tadeusza Chrzanowskiego. Ja grałem polskiego studenta, zakochanego z wzajemnością w ziemiańskiej córce. Grała ją Lili Lyana, Włoszka z pochodzenia, jej filmowym ojcem był Paweł Owerło, rolę tytułową grał Edmund Nebel, a w dramatycznej roli ordynansa sztabskapitana wystąpił Adolf Dymsza. W momencie krytycznym ordynans zabija swego pana ratując w ten sposób przed jego zakusami pannę z dworu. Za największy swój sukces mogę jednak uważać rolę w pierwszym polskim filmie dźwiękowym „Dzikie pola", kręconym przez reżysera Józefa Lejtesa aż przez dwa lata, którego premiera odbyła się w 1932 r. Film nakręcaliśmy na Polesiu i pamiętam, że musieliśmy nauczyć się brodzić w błocie na szczudłach, jak tego wymagała akcja. Jagrałem jedynego wśród polaków francuskiego oficera, kapitana Verdier, umierającego od ran i wypowiadającego myśl, czy też nadzieję, że jest ostatnim człowiekiem, który ginie na wojnie. Ta scena konania musiała się spodobać wielu kinomankom, ponieważ dostałem później mnóstwo listów od swoich filmowych wielbicielek. Pamiętam, że wśród aktorów tego filmu znajdował się młody Herse, syn właściciela znanego w całej Polsce domu mody. Ale ja, dzięki tej swojej bohaterskiej roli zyskałem sobie największa popularność. I proszę pana, był to mój ostatni film.

— Przyznam się, że nie pojmuję. Jak można było rzucić film na progu tak pomyślnie rozwijającej się kariery — zarówno pozycji życiowej, jak i zapewne pieniędzy. A może nie potrafił pan, jak wielu innych, którzy dawali sobie świetnie radę z „wielkim niemową" dostosować się do nowych wymagań, stawianych przez kino dźwiękowe?

— Z pewnością nie na tym rzecz polegała, bo przecież w „Dzikich polach" musiałem coś tam zaśpiewać i nawet podobało się ludziom. Ale ja po prostu w pewnym momencie (chociaż być może dojrzewało to wcześniej) uznałem za korzystniejsze dla siebie, odpowiadające moim zainteresowaniom i potrzebom, przystąpienie do spółki fryzjerskiej w Warszawie przy Teatrze Wielkim. Zostałem współwłaścicielem komfortowego zakładu, zatrudniającego dwanaście osób na dwustu metrach kwadratowych powierzchni. Z naszych usług korzystały największe sławy polskiego świata artystycznego i najwytworniejsze damy ówczesnego towarzystwa, co oczywiście przysparzało nam niemałych dochodów. Ale, co nie mniej ważne, a dziś zapewne trudne do wobrażenia, w zawodzie który obrałem, czy raczej — w tej branży otwierały się też, na samych jej szczytach, możliwości ważnych kontaktów. Miało się bliskie koneksje m.in. z artystami, jak o tym świadczy kariera naszego rodaka — fryzjera Cirplkowskiego — „Antoina" w Paryżu. Myślę, że nie wszystko, co dotyczy mojej ówczesnej decyzji da się dziś łatwo i prosto wytłumaczyć, w każdym razie w tej swojej nowej roli życiowej nadal pozostawałem „kims". Jako współzałożyciel polskiego klubu fryzjerskiego, mającego charakter handlowo-towarzyski miałem częste kontakty służbowe z zagranicą. Dużo podróżowałem: Paryż, Wiedeń, Nowy York... odwiedziłem nawet Hollywood i proszę sobie wyobrazić, zetknąłem się wtedy z Ronaldem Reaganem, jako podrzędnym, aktorem. W każdym razie jako aktor ja miałem od niego większą pozycję.

— I powiada pan, że nigdy nie przychodziła panu ochota powrotu do filmu...

— Nigdy nie oglądałem się wstecz, zawsze myślałem o tym — co dalej, co będzie dla mnie z większym pożytkiem, jaka nowa sytuacja życiowa.

— A, jeśli wolno zapytać, życie osobiste, rodzinne?

— Ożeniłem się z Belgijką, wywodzącą się z tamtejszej Polonii. Została wybrana Miss Belgii, a następnie nawet Miss Uniwersum, oczywiście w barwach Belgii, ale to było jeszcze przed naszym ślubem i jej osiedleniem się w starym kraju. Mam z tego małżeństwa dwóch synów, którzy żyją do dziś i pracują w Polsce na kierowniczych stanowiskach w przemyśle węglowym. Żona zginęła w Warszawie od bomby na początku wojny. To tyle spraw osobistych.

— A dalszy bieg spraw zawodowych?

— Po wojnie kontynuowałem pracę w branży fryzjerskiej, w mocno odmiennych warunkach, zacząłem też działać na kierowniczych stanowiskach w Modzie Polskiej, reprezentując często tę firmę za granicą. O proszę, tu mój dyplom uznania przyznany mi w 1974 r. w Wiedniu na międzynarodowym konkursie mody i uczesania. Stopniowo, w miarę posuwania się w latach, ograniczałem pracę zawodową i działalność społeczną aż pozostał mi nieduży własny zakład przy ul. Mokotowskiej. I wreszcie na stare lata postanowiłem powrócić, jak to się mówi, na dawne śmieci, do rodzinnych kątów. Zamieniłem mieszkanie z lepszego na gorsze, ale jakoś w nim egzystuję. Mieszkam w Łodzi od trzech lat, po przeszło sześćdziesięcioletniej nieobecności.

— Szkoda że nie gromadził pan systematycznie pamiątek z tak urozmaiconego życia, nie prowadził dziennika czy też nie zabrał się w późniejszych latach do pamiętnika, utrwaliłoby się więcej szczegółów, które nieraz są bardzo cenne dla obrazu życia minionego.

— Jak już powiedziałem, byłem zawsze bardzo czynny, zajęty rozlicznymi sprawami, a na starość przestałem przywiązywać wagę do rozgłosu. Do dziś nie odczuwam szczególnej potrzeby publicznego zgłębiania swoich wspomnień.

— Z tym większym zadowoleniem dziękuję panu za to, co zechciał pan mi opowiedzieć.

Rozmawiał:
JERZY KWIECIŃSKI

„Sztabskapitan Gubaniew" — w roli tytułowej Wacław Szmigielski

Z estrady do filmu

Pełnometrażowe filmy z udziałem gwiazd estrady rzadko goszczą na ekranach naszych kin. Tymczasem na Zachodzie — głównie w USA i Wielkiej Brytanii — produkuje się ich bardzo dużo. Przeważają obrazy o charakterze dokumentalnym nakręcone podczas koncertów sławnych wykonawców. Do klasycznych pozycji z tego gatunku należy film „Woodstock", który jest relacją z trwającego kilkanaście godzin widowiska muzycznego. Legendarny koncert pod gołym niebem zgromadził kilkaset tysięcy melomanów, a wśród wykonawców znaleźli się czołowi przedstawiciele muzyki młodzieżowej lat sześćdziesiątych. Szkoda, że ten interesujący dokument nie był wyświetlany w Polsce. Być może dotrą do nas inne ciekawe filmy o podobnym charakterze, które przecież w wielu krajach cieszą się olbrzymią popularnością i to nie tylko wśród młodzieży. Na razie pojawiły się na ekranach pierwsze filmowe relacje z występów polskich zespołów. Sądzę, że miłośnicy rocka obejrzeliby również chętnie w akcji grupę The Rolling Stones i inne gwiazdy światowej muzyki.

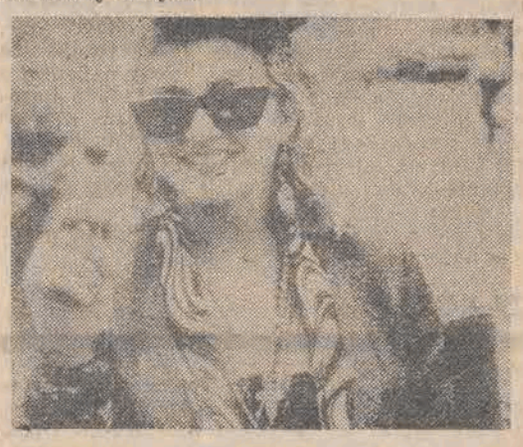

Poszukiwana Madonna

Popularni piosenkarze próbują też swoich sił w filmach fabularnych. W „Narodzinach gwiazdy" oglądaliśmy Barbarę Streisand i Krisa Kristoffersona. Był to oczywiście film muzyczny, jednak scenariusz nie miał nic wspólnego z życiem. Streisand grała rolę debiutantki, która dzięki pomocy sławnego piosenkarza staje się gwiazdą. Z kolei Kris Kristofferson — związany przecież z muzyką country — wcielił się w postać tracącego popularność rockmana. Także film „Dzięki Bogu, już piątek" z grupą The Commodores oparty był na wątku fikcyjnym. Do klasyki tego nurtu zalicza się słynny „Grease", w którym Olivia Newton-John i John Travolta zaprezentowali się kinomanom jako utalentowani aktorzy i piosenkarze.

Przedstawiona niedawno w telewizyjnym cyklu filmów Richarda Lestera komedia „Jak wygrałem wojnę" z Johnem Lennonem przypomniała nam, że gwiazdy estrady występują nie tylko w obrazach muzycznych. Kilka lat temu mieliśmy okazję obejrzeć Micka Jaggera w filmie „Ned Kelly", a w westernie „Pat Garrett i Billy Kid" podziwialiśmy umiejętności aktorskie Boba Dylana. Bardzo często na planie filmowym gości David Bowie, który ma na swoim koncie kilka filmów fabularnych. Niedługo jeden z nich, zatytułowany „Zagadka nieśmiertelności", wejdzie na ekrany naszych kin. Popularnym piosenkarzom najwyraźniej przypadła do gustu praca przed kamerą, gdyż ostatnio coraz trudniej wymienić tych, którzy jeszcze z filmem nigdy się nie zetknęli.

Gdy powstawał scenariusz do trzeciej części przygód Szalonego Maxa („Mad Max"), zastanawiano się komu powierzyć jedną z głównych ról kobiecych. „Cały czas powtarzaliśmy, że aktorka ma być podobna do Tiny Turner" — powiedział reżyser George Miller. Zaangażowanie popularnej piosenkarki okazało się rozwiązaniem najlepszym. W ten sposób „prywatna tancerka" otrzymała pierwszą większą rolę filmową. Wcześniej pojawiła się m.in. w ekranizacji rock-opery „Tommy". Jej śpiewającą koleżankę — ciemnoskórą Grace Jones — zatrudniono w filmie „A View to a Kill", gdyż jest odpowiednio wysportowana i umięśniona, jednocześnie ma w sobie dużo kobiecości, czego nie można było powiedzieć o kulturystkach, wśród których producent Albert R. Broccoli początkowo poszukiwał odpowiedniej kandydatki. „Wyglądałam tak, jakbym naprawdę mogła zabić" — żartowała w jednym z wywiadów. Grace Jones zwróciła na siebie uwagę w Paryżu jako modelka. Największe sukcesy odnosiła jednak w roli piosenkarki wykonując muzykę określaną mianem „nowofalowe disco". Podobno zawsze marzyła o pracy w filmie. Debiutowała w ubiegłym roku w obrazie „Niszczyciel Conan" Richarda Fleischera. Podczas kręcenia sceny walki tak poturbowała kilku kaskaderów, że trzeba było ich odwieźć do szpitala. Możliwe, że twórcy „Widoku na zabójstwo" z Rogerem Moore'em w roli Jamesa Bonda — niezwyciężonego agenta 007 — słyszeli o tym i dlatego powierzyli jej rolę May Day — kobiety od „mokrej roboty", pracującej dla tajemniczego Zorina, który zamierza zniszczyć sporą część Kalifornii. Recenzent Robert Hilburn twierdzi, że poza wspaniałą sekwencją tytułową, tradycyjnie już rozgrywającą się przy dźwiękach przebojowej piosenki w wykonaniu popularnego wykonawcy (tym razem śpiewa grupa rockowa Duran Duran), kolejny odcinek „serialu" z Jamesem Bondem ma niewiele do zaoferowania. Obecność Grace Jones jest jednak jedną z jego nielicznych atrakcji.

Podobała się też Madonna w dość dobrze przyjętym przez krytykę filmie „Desperately Seeking Susan" („Pilnie poszukujet się Zuzanny"). Modna ostatnio piosenkarka, której longplay „Like A Virgin" rozszedł się w nakładzie ponad 3 milionów egzemplarzy, wystąpiła w roli tytułowej. „Zuzanna jest ryzykantką; jest beztroska, nieodpowiedzialna... trochę taka jak ja" — powiedziała 25 letnia Madonna. W połowie kwietnia koncertem w Seattle rozpoczęło się jej tournee, a więc melomani, którzy wolą Madonnę w roli piosenkarki będą mogli podziwiać ją na estradzie. Nam musi wystarczyć „video-clip" z utworem „Material Girl" prezentowany m.in. w telewizyjnej Wideotece.

Nie każdy jednak muzyk sprawdza się jako aktor. Gordon Summer z grupy rockowej Police — znany również pod pseudonimem Sting — pojawił się na ekranie w opowieści z gatunku science-fiction zatytułowanej „Dune" Reżyserem filmu, który podobno kosztował 45 mln dolarów (znaczną część tej kwoty pochłonęły tzw. „efekty specjalne"), jest David Lynch — autor głośnego „Eraserhead". Oto co napisał o jego nowym dziele Lynden Barber z tygodnika „Melody Maker": „...gdy się wozi samolotami banknoty do sekcji efektów specjalnych, można przynajmniej pomyśleć o tym, aby kilka dolarów odłożyć na opłacenie odpowiednich aktorów...". O liderze zespołu Police jest tylko jedno zdanie: „...(Sting) na szczęście ma niewielką rolę". Tymczasem zakończył on zdjęcia do dwóch kolejnych filmów („The Bride" i „Plenty"). Mimo nieudanego występu w obrazie „Dune", autorowi i wykonawcy wielu przebojów widocznie nadal marzą się Oscary.

Umiejętności aktorskie przydają się muzykom nie tylko na planie filmowym. Coraz większym powodzeniem wśród melomanów cieszą się video-clipy — produkowane początkowo głównie w celach reklamowych, a dziś oceniane także w kategoriach artystycznych. W recenzjach pisze się nie tylko o muzyce, ale również o scenariuszu, pracy reżysera, dekoracjach. Surowej krytyce poddawana jest gra „aktorów". Najciekawsze filmy są nagradzane, podobnie jak prezentowane w nich piosenki. Na ubiegłorocznym międzynarodowym festiwalu video-clipów w Saint Tropez najwyżej oceniono „You Might Think" grupy The Cars, a drugie miejsce zajął Paul McCartney z wersją video utworu „Say, Say, Say". Piosenkarz, który chce dziś utrzymać się na szczycie, musi więc być jednocześnie niezłym aktorem. O rosnącej randze video-clipów niech świadczy fakt, że realizują je niekiedy sławni reżyserzy związani dotąd wyłącznie z filmem fabularnym. Z kolei zaczynający od reklam telewizyjnych Bob Giraldi właśnie dzięki video-clipom stał się twórcą popularnym.

Mimo ekspansji kilkuminutowych filmów muzycznych, „prawdziwe" kino nadal przyciąga wielu wykonawców estradowych. Przeciwnicy rocka, którzy coraz częściej — trudno powiedzieć na jakiej podstawie zapowiadają zmierzch tej muzyki, zapewne zacierają ręce widząc jak młodzieżowi idole porzucają estradę dla filmu. Wydaje mi się, że ich radość jest przedwczesna. Gwiazdy piosenki przeważnie powracają po pewnym czasie do muzyki. Gdy po zakończeniu zdjęć do filmu „Pilnie poszukuje się Zuzanny" ktoś zapytał odtwórczynię roli tytułowej, czy myśli poważnie o zerwaniu z estradą, Madonna odpowiedziała: „Ależ skąd! Filmy to tylko jeszcze jedna dziedzina, w której można coś zdziałać".

GRZEGORZ WALENDA

W maju 1981 r., po tym jak pojawiły się listy z nazwiskami prawie tysiąca członków P2 (w tym wielu urzędujących ministrów) doszło do upadku rządu włoskiego, Gelli ze swoich licznych baz w Ameryce Południowej nadal pociągał niemi swojej władzy. Sygnałem wskazującym na to, że Gelli w żadnym wypadku nie utracił swoich wpływów, było przekazanie przez Roberto Calviego po wybuchu skandalu z lożą P2 95 mln dolarów z Banco Ambrosiano panamskiej firmie Bellatrix, będącej — jak już wiemy — zamaskowanym przedsiębiorstwem którego utworzenie zainscenizowała P2. Przy tej transakcji, dokonanej przez wiele egzotycznych stacji pośrednich — Rothschild w Zurychu, Rothschild na Guernsey, Banque National de Paris w Panamie — z jakiegoś zagadkowego powodu 20 mln dolarów zostało po drodze w małym banku kupieckim Ansbacher and Co w Dublinie.

Rok później, w maju 1982 r. Licio Gelli, człowiek, który ukrywał się, który stale uciekał przed wymiarem sprawiedliwości, którego poszukiwano z powodu licznych przestępstw, przybył spokojnie do Europy, by wyświadczyć przysługę swoim argentyńskim przyjaciołom. Toczyła się wojna o Falklandy. Rakiety Exocet, które Gelli kupił dla junty, przyniosły ogromny sukces. Jak już napisano wcześniej, Gelli chciał teraz dokupić ich jeszcze. Rezydował jako gość Ortolaniego w willi w Cap Ferrat i podjął tajne rokowania nie tylko z wieloma handlarzami bronią, lecz również z firmą Aerospatiale, produkującą te rakiety. Brytyjska tajna służba uzyskała informację o tych rokowaniach i zaalarmowała kolegów z włoskich służb tajnych, które natychmiast wysłały specjalny oddział do Cap Ferrat. Kiedy Włosi chcieli wedrzeć się do willi przeszkodzili im w tym ludzie z francuskiej tajnej służby DST. Francuzi udaremnili wszystkie podjęte przez Włochów próby aresztowania Gellego. Pokazuje to kolejny raz, jaką potęgą dysponował ten człowiek.

Podczas rokowań z wieloma potencjalnymi dostawcami rakiet Exocet Gelli utrzymywał stały kontakt z Calcim. Obaj masoni ciągle jeszcze mieli wiele wspólnych interesów i punktów styczności. Również Calvi przynajmniej od drugiego tygodnia czerwca 1982 r., ukrywał się. W obliczu zbliżającego się i niemożliwego już do powstrzymania krachu jego imperium — Ambrosiano — uciekł potajemnie z Włoch i przez Austrię dostał się do Londynu. Znowu on i Gelli potrzebowali się nawzajem, Calvi, ponieważ szukał ochrony przed władzami włoskimi, Gelli, ponieważ potrzebował wielu milionów na zakup rakiet Exocet. Moje dociekania przyniosły przekonywające punkty zaczepienia wskazujące na to, że Francuzi zamierzali znaleźć drogę obejścia obowiązującego wówczas embarga na dostawy broni dla Argentyny. Najprawdopodobniej rakiety miały dotrzeć do Argentyny przez Peru. Technicy z firmy Aerospatial byli gotowi do odlotu do Ameryki Południowej i dostosowania tam rakiet Exocet do użycia ich przez samoloty lotnictwa argentyńskiego.

Obaj, Gelli i Calvi, doznali tym razem niepowodzenia. Calviego, który za radą Gellego na miejsce swej przejściowej emigracji wybrał Londyn, dosięgła śmierć. Rozstał się z tym światem 17 czerwca 1982 r. przez „samobójstwo". W tym samym dniu z funkcji prezydenta zwolniono w Argentynie generała Galtieriego, zastępując go generałem Bignone. Argentyna przegrała wojnę. Starania Gellego o zdobycie nowych rakiet były spóźnione. On i jego przyjaciele z P2 winią za to Calviego, który ich zdaniem niewystarczająco szybko zapewnił pieniądze potrzebne na zakup rakiet Exocet.

W sierpniu 1982 r. junta argentyńska postanowiła zdobyć ponownie Wyspy Falklandzkie niespodziewanym uderzeniem odwetowym przeciw garnizonowi brytyjskiemu. Argentyńscy wojskowi wierzyli, że za pomocą pewnej liczby rakiet Exocet mogliby pokonać Brytyjczyków.

Tym razem Gelli prowadził rokowania z byłym oficerem tajnej służby włoskiej, pułkownikiem Massimo Pugliese (oczywiście członkiem P2). Wywiad brytyjski znowu dowiedział się o całej sprawie i zatroszczył się o to, by transakcja nie doszła do skutku.

W tym samym miesiącu, sierpniu 1982 r., Gelli stanął w obliczu małego problemu: zacięło się coś w jednym z jego tajnych kont bankowych w Szwajcarii. Ilekroć zlecał genewskiej filii Schweizerische Bankgesellschaft przekazanie pieniędzy z jego konta, wniosek wracał niezałatwiony. Oświadczono Gellemu, że w celu zlikwidowania tego problemu powinien osobiście przybyć do Genewy.

Zaopatrzony w sfałszowany paszport argentyński Gelli poleciał we wrześniu do Madrytu, a stamtąd dalej do Genewy. Wszedł do banku i wylegitymował się swoimi sfałszowanymi dokumentami. Poproszono go, by chwilę zaczekał. Kilka minut później aresztowano go. Wpadł w starannie przygotowaną pułapkę. Konto zablokowano na prośbę rządu włoskiego, kiedy od Szwajcarów otrzymał on informację o rzeczywistej tożsamości jego właściciela.

Kontro założył Roberto Calvi. Z biegiem czasu w tę śluzę do przekazywania pieniędzy bankier mediolański wpompował ponad 100 mln dolarów. W chwili swego aresztowania Gelli czynił właśnie starania o dokonanie transferu do Urugwaju 55 mln dolarów, które były jeszcze na koncie.

Niezwłocznie wszczęto postępowanie ekstradycyjne. Gelli zareagował na to tą samą śpiewką, którą posłużył się już przed nim Sindona i Calvi: „Jestem ofiarą prześladowań politycznych. Jest to sprzysiężenie lewicy". W czasie badania sytuacji przez szwajcarski aparat wymiaru sprawiedliwości Gelli znalazł się w areszcie ochronnym. Umieszczono go w jednym z najpewniejszych więzień szwajcarskich, w Champ Dollon. Jak już przedstawiono w tej książce, postępowania ekstradycyjne obejmujące członków P2 zazwyczaj długo się ciągnęły. W związku z tym Gelli siedział w Champ Dollon jeszcze latem 1983 r.

Tymczasem we Włoszech z uwagi na wybory mające odbyć się w czerwcu 1983 r. przejściowo wstrzymano prace komisji parlamentarnej powołanej do zbadania afery P2. Z obozu chrześcijańskich demokratów kandydowało przynajmniej pięciu polityków zdemaskowanych jako członkowie P2. Na pytanie, co sądzi o P2 po dwuletnich, intensywnych dochodzeniach, przewodnicząca parlamentarnej komisji śledczej, signora Tina Anselmi powiedziała:

„P2 w żadnym wypadku nie jest martwa. Ciągle jeszcze ma wpływy. Działa w instytucjach. Infiltruje społeczeństwo. Ciągle jeszcze ma do dyspozycji pieniądze, różne instrumenty i możliwości wywierania wpływów. Dysponuje dobrze funkcjonującym centrum władzy w Ameryce Południowej. Może jeszcze także wywierać wpływ na życie polityczne we Włoszech, przynajmniej na niektóre jego dziedziny".

Fakty w pełni potwierdzają te wypowiedzi pani Anselmi. Kiedy informacja o aresztowaniu Gellego dotarła do Argentyny, członek junty rządowej, admirał Emilio Massera oświadczył: „Pan Gelli wyświadczył Argentynie nieocenione usługi. Kraj ten ma mu wiele do zawdzięczenia i zawsze będzie mu dłużny".

Admirał Massera jest członkiem argentyńskiej sekcji P2, podobnie jak generał Carlos Suarez Mason, dowódca pierwszej armii i Jose Lope Rega, organizator argentyńskich szwadronów śmierci. W Urugwaju członkiem P2 jest były dowódca naczelny sił zbrojnych, generał Gregorio Alvarez.

Gdyby ktokolwiek we Włoszech lub gdzie indziej imputował Tinie Anselmi, że swoimi uwagami na temat P2 usiłowała jedynie zgromadzić dodatnie punkty w związku ze zbliżającymi się wyborami, to sceptycy ci z pewnością zostaliby wyprowadzeni z błędu 10 sierpnia 1983 r. W więzieniu w Champ Dollon zabrakło tego dnia jednego więźnia — Licio Gellego. Władze szwajcarskie daremnie usiłowały złagodzić swoją kompromitację próbą obciążenia całą odpowiedzialnością za tę ucieczkę sławnego więźnia jedynego przekupnego strażnika, Umberto Cerdane, który przyznał, że przyjął od Gellego łapówkę w wysokości ponad 6000 dolarów. Jeżeli ktoś z czytelników tej książki wierzy w to, że Gelli zorganizował z powodzeniem swoją ucieczkę ze Szwajcarii jedynie przy pomocy małego funkcjonariusza więziennego, być może mógłby uwierzyć również w to, że Albino Luciani zmarł śmiercią naturalną. Za sumę odpowiadającą mniej więcej czterem pensjom miesięcznym strażnik więzienny dopuszcza się czynu, za który może znaleźć się na siedem i pół roku za kratkami!

Dziewięć dni po ucieczce Gellego władze szwajcarskie przychyliły się do włoskiego wniosku o ekstradycję. Najśmieszniejsze było tylko to, że nie było już Gellego, którego można byłoby deportować. Jego syn przewiózł go wynajętym BMW przez granicę do Francji. Stamtąd nie mający o niczym pojęcia pilot śmigłowca przerzucił go do Monte Carlo. W celu nakłonienia pilota do wylądowania w Monte Carlo zamiast kontynuowania bezpośredniego lotu powrotnego do Nicei posłużono się pretekstem, że Gelli musi pilnie udać się do dentysty. Na pokładzie jachtu, należącego do niejakiego Francesco Pazienzy (twierdzącego, że był dobrym przyjacielem zmarłego Roberto Carboniego) Gelli przybył do Urugwaju. W chwili pisania tych słów siedzi na rancho położonym kilka kilometrów na północ od Montevideo i przypuszczalnie pociąga za nowe nici. W wielu krajach rozpisano za nim listy gończe, ale obszerne zasoby informacji, które tak pilnie gromadził z biegiem lat, z pewnością uchronią go przed tym, by nie spadł mu włos z głowy.

Solidny jest łańcuch poszlak, prowadzący ogniwo za ogniwem od zamordowania papieża przez biskupa Paula Marcinkusa przez Roberto Calviego i przez Umberto Ortolaniego do Licio Gellego. Argumentacja tych poszlak musi być solidna, musi sprostać najostrzejszym sprawdzeniom zanim usprawiedliwi orzeczenie o winie. Żadna ława przysięgłych, gdyby skonfrontowano ją z przedstawionymi w tej książce materiałami poszlakowymi, nie mogłaby orzec, że chodzi tu o „śmierć z naturalnych przyczyn". W obliczu przedstawionego materiału orzeczenia takiego nie zaakceptowałby żaden sędzia na tym świecie, żadna osoba, która zbadałaby ciało. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Nic nie przemawia także za tym, że śmierć Albino Lucianiego była następstwem jakiegoś wypadku. Pozostaje więc tylko morderstwo. W moim przekonaniu popełnione nie przez jakichś nieznanych sprawców, lecz przez osoby znane bardzo dobrze. Inspiratorem i organizatorem tego morderstwa był w moim

(30)

„W imieniu Boga" —tajemnicza śmierć Jana Pawła I

przekonaniu Licio Gelli. Wśród członków jego loży masońskiej P2 był Francesco Baggio, brat kardynała Baggio. Do jego przyjaciół, z którymi był na ty, należał kardynał Paolo Bertoli. Umberto Ortolani, najbliższy zaufany Gellego z P2, miał w państwie watykańskim lepsze rozeznanie, niż wielu kardynałów. Ortolani, mający liczne ordery i odznaczenia watykańskie, które wypełniały całą szufladę. Ortolani, który stał tak blisko centrum nerwowego władzy watykańskiej, że grupa wpływowych kardynałów wybrała jego willę na miejsce, w którym potajemnie się gromadzili, by opracować strategię, która przyniosła potem wybór Pawła VI. Ortolani, który ukuł plan sprzedaży wartych setki milionów dolarów udziałów watykańskich był w Societa Benerale Immobiliare, w Ceramiche Pozzi i Condotte. Ortolani, który doprowadził do partnerstwa między swoim bratem z loży P2, mafioso Michele Sindoną i Jego Świątobliwością Pawłem VI, za co pierwszy wynagrodził go ogromnymi prowizjami, a ostatni odznaczeniami kościelnymi. Ortolani, który jednym skinieniem mógł zatroszczyć się o to, by dla Gellego lub zdalnie sterowanych przez niego mężczyzn i kobiet otwierały się wszystkie drzwi w państwie watykańskim.

Albino Luciani miał jedno marzenie. Marzył o Kościele katolickim, który w istotnych dla ludzkości sprawach, takich jak regulacja urodzeń, zająłby stanowisko odpowiadające rzeczywistym potrzebom swoich wiernych. Marzył o Kościele, który odrzuciłby od siebie robactwo, władzę i fałszywe miary sukcesu, które przyjął pod określonym wpływem Watykanu Sp. z o.o.; o Kościele, który wycofałby się z towarzystwa handlarzy i spekulantów, w które popadł i w którym zapomniał o tym, co od zarania było jego największym atutem, najpotężniejszym argumentem i trwałym bogactwem: na ewangelii.

Dwudziestego ósmego września 1978 r. Albino Luciani uczynił pierwsze kroki na drodze do realizacji tego marzenia. O wpół do dziesiątej wieczorem zamknął drzwi swojej sypialni i marzenie to skończyło się.

We Włoszech mówi się teraz o tym, że Albino Lucianiego należy kanonizować. Pod odpowiednimi petycjami zebrano już wiele tysięcy podpisów. Jeżeli kiedyś dojdzie do tego, że ten naprawdę ubogi i przyzwyczajony do małych rzeczy i spokoju człowiek zostanie ogłoszony świętym, byłoby to tylko słuszne i sprawiedliwe. Za swoje przekonanie zmarł śmiercią męczennika 28 września 1978 r. Mając do czynienia z człowiekim zdecydowanym zrobić rzeczy, które przysporzyłyby licznych problemów wielu potężnym osobom wewnątrz Kościoła i poza nim, ci, którzy dostrzegali w nim niebezpiecznego przeciwnika, zdecydowali się na „włoskie rozwiązanie": Kandydat Boga musiał umrzeć.

EPILOG

Podczas gdy wraz z jego doczesnymi szczątkami pogrzebano to, co Albino Luciani ucieleśniał jeśli chodzi o dobroć i uczciwość, po jego śmierci dalej żyły rzeczy niegodziwe i podłe, reprezentowane i popełnione przez Roberta Calviego.

Ledwie odkryto i zidentyfikowano ciało Calviego w Londynie, a już u wielu ludzi we Włoszech rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. W poniedziałek, 22 czerwca, w dniu, w którym banki po raz pierwszy po znalezieniu ciała Calviego (w pobliżu miejsca, gdzie w średniowieczu karmelici zapewniali schronienie oszustom, złodziejom i kuglarzom) otworzyły znowu swoje podwoje, Banco Ambrosiano w Mediolanie przeżył zmasowany napór klientów, którzy podejmowani pieniądze ze swoich kont. Opinia publiczna nie wiedziała (i do dziś pozostało to nieznane), że Bank Watykański przeżywał to samo. Wiele milionów dolarów wycofali ludzi z establishmantu włoskiego, którzy byli wystarczająco dobrze poinformowani by wiedzieć, że wieść o wynoszącym 1,3 mld dolarów deficycie w bilansie Banco Ambrosiano w krótkim czasie przedostanie się do wiadomości publicznej i którzy przede wszystkim wiedzieli, że deficyt ten miał wiele wspólnego z wieloletnimi, ścisłymi kontaktami handlowymi i osobistymi między Roberto Calvim i Paulem Marcinkusem w IOR.

Człowiek, który jeszcze podczas podróży papieża do Wielkiej Brytanii w maju i czerwcu 1982 r. nie odstępował na krok Pontifexa, we wrześniu tego samego roku stał się praktycznie więźniem Watykanu. Jego rolę organizatora i osoby odpowiedzialnej za kwatery papieża podczas jego podróży zagranicznych przejął z konieczności ktoś inny, ponieważ opuszczenie państwa watykańskiego oznaczałoby dla Marcinkusa bezpośrednie niebezpieczeństwo aresztowania przez policję włoską.

Marcinkus zachował swoją funkcję szefa Banku Watykańskiego. Zdobył się na obietnicę, że Watykan będzie odpowiadał za 250 mln dolarów, które pożyczył sobie bezpośrednio od filii Calviego w Peru; Watykan odrzuca jednak raz na zawsze wszelką wybiegającą poza to odpowiedzialność za straty w wysokości 1,3 mld dolarów.

Z właściwą sobie, bezczelną arogancją Kuria Rzymska odmówiła uznania jakichkolwiek dyspozycji wydanych przez sądy włoskie przeciw Marcinkusowi i innym współpracownikom Banku Watykańskiego. Kuria oświadczała uporczywie, że zawsze należy zachować etykietę obowiązującą w stosunkach międzypaństwowych, nawet jeżeli chodziło o wyjaśnienia kradzieży ogromnej sumy, wynoszącej ponad miliard dolarów. Jeżeli władze włoskie mają jakąś sprawę, to proszę bardzo, powinny przedstawić ją przez ambasadora włoskiego w Watykanie.

Po długotrwałych sporach z rządem włoskim Watykan zaczął wreszcie powołać komisję śledczą. Równocześnie adwokaci Banku Watykańskiego prowadzili dochodzenie na własną rękę. Komisję śledczą powołał także rząd włoski. Jako pierwsi wyniki swojej pracy przedstawili adwokaci działający na polecenie Marcinkusa:

„1. Instytut Dzieł Religijnych (IOR) ani od grupy Ambrosiano, ani też od Roberto Calviego nie przyjmował jakichkolwiek pieniędzy, stąd też nie ma żadnych zobowiązań płatniczych.

2. Zadłużenie u grupy Ambrosiano firmy zagraniczne nigdy nie były w posiadaniu IOR, który nie ma żadnego rozeznania operacji dokonywanych przez te firmy.

3. Wszystkich wypłat grupy Ambrosiano dla wymienionych wyżej firm dokonano jak udowodniono, przed wystawieniem tak zwanych „listów patronackich".

4. Te ostatnie z uwagi na czas ich wystawienia nie miały żadnego wpływu na wymienione wypłaty.

5. Każde przeprowadzane w przyszłości sprawdzenie faktów, potwierdzi prawdziwość powyższego".

Jak już przedstawiono w tej książce, fakty dowodzą nieprawdziwości twierdzeń rozpowszechnianych przez Watykan.

Raport komisji śledczej powołanej przez Watykan nie jest jeszcze gotowy. Zapowiedziano go najpierw na koniec marca 1983 r., potem koniec kwietnia, następnie na koniec sierpnia 1983 r., potem na koniec października, potem jeszcze na koniec listopada.

Watykan powinien poręczyć przynajmniej za miliard dolarów z całej sumy pieniędzy, którą Calvi pożyczył od różnych banków. Być może najbardziej na ironię zakrawa to, że Watykan — niezależnie od tego, jak duże, czy też jak małe zyski osiągnął z uplasowanych w Panamie i gdzie indziej firm — skrzynek pocztowych — był właścicielem tych firm w okresie, kiedy powstały długi. Ciągnął oczywiście wielkie zyski, ale pomijając ten fakt, dla banków wierzycielskich istnieje tylko jedna logiczna metoda, jeżeli rzeczywiście są zdecydowane odzyskać swoje pieniądze: oskarżenie Watykanu, a dokładniej mówiąc Banku Watykańskiego i papieża Jana Pawła II, ponieważ zyski Banku Watykańskiego w 85 procentach płyną bezpośrednio do szkatuły papieża.

Jak pod przysięgą zeznali krewni Calviego, w czasie, kiedy poniósł śmierć, prowadził rokowania z Opus Dei, która to organizacja wyraziła gotowość przejęcia od Watykanu jego 16-procentowego udziału w Banco Ambrosiano. Gdyby dokonano tej transakcji, zapchano by 1,3-miliardową dziurę w bilansie, zapewniono by dalsze istnienie imperium Calviego i arcybiskupa Paula Marcinkusa usunięto by z jego stanowiska. Jednak wielu ludzi Kościoła, wśród nich sam Marcinkus, było zdecydowanie przeciwnych zdawaniu się właśnie na pomoc Opus Dei w wyjściu z kłopotów.

Po śmierci Calviego Watykan poczuł się zmuszony do rozpoczęcia z przedstawicielami rządu włoskiego i międzynarodowgo konsorcjum bankowego rokowań na temat tego, za jaką część długów pozostawionych przez Calviego ma odpowiadać IOR. Rozpoczęło się uporczywe targowanie, ciągnące się ponad dwa lata. Wreszcie w lutym 1984 r. z sali konferencyjnej w Genewie przedostała się wiadomość, że osiągnięto porozumienie: z ogólnej sumy 600 mln dolarów, pożyczonej należącemu do Calviego Luksemburskiemu Towarzystwu Holdingowemu, banki międzynarodowe powinny otrzymać z powrotem dwie trzecie, a największą część, mianowicie 250 mln dolarów, od Banku Watykańskiego. Jako termin przelania tej sumy ustalono 30 czerwca 1984 r. Watykan dokona tej wpłaty, jak stwierdza w porozumieniu, „bez uznania swojej winy wynikającej z gwarancji", lecz „w świadomości współodpowiedzialności moralnej".

Wierni katolicy uczyniliby dobrze ignorując apele o datki, które bez wątpienia rozlegną się od tej pory z ambon na całym świecie. Bank Watykański nie czyni nic innego poza zwróceniem ogromnych sum, które uzyskał jako owoc kryminalnej działalności Calviego i Marcinkusa. Na koncie IOR pozostaje ciągle jeszcze wiele milionów dolarów z pieniędzy, na które Calvi oszukał tak wielu swoich kolegów — bankierów i które ci muszą odpisać teraz na straty.

W chwili pisania tego tekstu arcybiskup Paul Marcinkus ciągle jeszcze sprawuje swoją funkcję. Jego upadek przepowiadano już często, ale do tej pory przetrwał jednak wszystkie kryzysy. Nadal obwarowuje się w Watykanie, którego nie odważa się opuścić, ponieważ musi się obawiać, że z miejsca aresztuje go policja włoska. Tak samo obwarowani w Watykanie żyją jego współpracownicy i wspólnicy, Lugi Mennini i Pellegrino de Strobel. Są to ludzie, przy których pomocy papież Jan Paweł II kieruje Kościołem w maju 1984 r.

Podczas gdy wszyscy trzej, jeżeli chodzi o ich osoby, do tej pory skutecznie chronili się przed interwencją władz włoskich, skonfiskowano wszystkie posiadłości i wartości majątkowe Menniniego i de Strobela znajdujące się na włoskim obszarze państwowym. Organy ścigania wielu miast włoskich rozpisały listy gończe za całą trójką. Z powodu przypuszczalnego uwikłania w skandal z nadużyciami podatkowymi na sumę około miliarda dolarów, turyńskie organy wymiaru sprawiedliwości poszukują dalszego dostojnika kościelnego: monsignore Donato de Bonisa, sekretarza IOR. Również on ukrywa się w Watykanie. Również on należał do ludzi, których Luciani usunąłby niezwłocznie ze stanowisk, gdyby żył. De Bonis, któremu prokuratura odebrała paszport, tak jak trzej jego wymienieni wyżej koledzy do dziś pracuje w Banku Watykańskim. Ludzie ci jeszcze w maju 1984 r. cieszą się życzliwością Jana Pawła II.

Jego Eminencja, Ugo Poletti, kardynał-wikariusz Rzymu, również należy do tych, których Albino Luciani zamierzał usunąć z pełnionych funkcji i również on dostarczył dość dowodów na to, że jego zwolnienie byłoby mądrą decyzją. Poletti był tym, z którego rekomendacji premier Andreotti mianował szefem włoskiej policji finansowej byłego generała, Raffaele Giudicego. Dzięki temu członek P2, Giudice w decydującym stopniu dopomógł w organizowaniu owego (licząc w dolarach) miliardowego oszustwa z podatkami od produktów z ropy naftowej, na którym tak wspaniale zarabiał Licio Gelli. Zapytany o tę sprawę kardynał Poletti ostro zaprzeczył, by kiedykolwiek udzielał Giudicemu jakichkolwiek referencji. Na to prokuratorzy turyńscy przedstawili kardynałowi kopię jego listu do Andreottiego. Poletti nadal pełni funkcję kardynała — wikariusza Rzymu. Są to ludzie, z którymi Jan Paweł II kieruje Kościołem katolickim w maju 1984 r.

Podpisany niedawno nowy konkordat między Watykanem i państwem włoskim stanowiłby odpowiedni nekrolog dla pontyfikatu Jana Pawła II. Włochy, przez całe stulecia uważane przez katolików wszystkich krajów za ojczyznę i bastion ich wiary nie uznają już rzymskiego katolicyzmu za religię państwową. Kościół zaczyna tracić swoją specjalną pozycję we Włoszech.

Zmieniło się jeszcze coś i ta innowacja z pewnością wywołała u Licio Gellego uśmiech zadowolenia. Nowe Prawo Kanoniczne, które weszło w życie 27 listopada 1983 r., zawiera postanowienie, że przynależność do loży masońskiej nie jest już karane natychmiastową ekskomuniką. Nie muszą już więc niczego obawiać się ludzie wymienieni na dostarczonej Albino Lucianiemu liście masonów watykańskich. Dopóki urzęduje Jan Paweł II nie odbędzie się ostatni taniec, który zaplanował Luciani.

Nie dokonano żadnych z postanowionych przez Albino Lucianiego zmian personalnych i programowych. Watykan Sp. z o.o i towarzystwo holdingowe jest nadal aktywny — na wszystkich rynkach.

KONIEC

Fragmenty książki Davida Yallopa „In God's Name"

Polemiki • Listy • Opinie

„M" dla córeczki...

Po opublikowaniu w nr 19 „Odgłosów" (85.05.11) tekstu Edwarda Bryla pt. „M" dla córeczki..." — o tym jak prezes RSM „Bawełna" ułatwił zdobycie mieszkania swej córce, otrzymaliśmy kilkanaście listów od mieszkańców naszego miasta z protestami, wyrazami oburzenia i ogólnymi uwagami o praworządności i sprawiedliwości społecznej. Dziękujemy...

Większość korespondentów nie poprzestała jednak na wyrażeniu swojej opinii o sprawie — przede wszystkim opisywano nam własne, jakże ciężkie warunki mieszkaniowe i życiowe oraz wieloletnie boje z administracjami i ciałami samorządowymi spółdzielni mieszkaniowych o przyspieszenie przydziałów. Fragmenty tych listów zdecydowaliśmy się opublikować, aczkolwiek redakcja nasza nie jest w stanie podejmować interwencji w każdej ze spraw — nie możemy też wszystkich tych mieszkaniowych dramatów opisywać. Autor publikacji red. Edward Bryl postara się jednak każdej z tych spraw przyjrzeć z osobna — w miarę naszych skromnych możliwości spróbujemy je zbadać. Niczego jednak nie możemy obiecać...

Natomiast o dalszym ciągu afery z „M" dla córeczki poinformujemy niebawem.

REDAKTOR DYŻURNY

Czytałam reportaż i byłam coraz bardziej wściekła. Nie należę do Spółdzielni „Zarzew", moja Spółdzielnia nazywa się „Polesie", ale chyba nie w nazwie sprawa, bo wszędzie sytuacja mieszkaniowa jest podobna. Należę do Spółdzielni od grudnia 1974 r. czyli jedenasty rok. Po dziewięciu latach cichego i spokojnego oczekiwania wystąpiłam do Zarządu z prośbą o przyspieszenie otrzymania własnego mieszkania. Dlaczego dopiero po dziewięciu latach? Ponieważ w tym czasie bardzo znacznie pogorszyły się moje warunki mieszkaniowe i życiowe.

W 1978 roku urodził się mój syn Igor. Jestem matką samotnie wychowującą dziecko. Uważałam, że wystarczająco długo należę do spółdzielni, aby starać się o przyspieszenie. Istnieje przepis prawny, mówiący o pomocy dla samotnych matek, ale to papierowy przepis. W lutym 1983 r. wystąpiłam z pismem do Prezydenta Miasta z prośbą o pomoc przy przyspieszeniu przydziału mieszkania. Moje podanie zostało przesłane do Spółdzielni i już w kwietniu dostałam odpowiedź, że podanie zostanie przedłożone do rozpatrzenia Społecznej Komisji Mieszkaniowej i Zarządowi Spółdzielni przed opracowaniem projektu planów przydziału mieszkań na 1984 rok. Ponieważ nie wiem, kiedy odbywają się spotkania Społecznej Komisji i Zarządu Spółdzielni, przed końcem roku (październik) przypomniałam się ponownym podaniem z prośbą o przyspieszenie. 7 listopada otrzymałam odpowiedź, identyczną jak w kwietniu. Czekałam na wywieszenie list do lutego 1984 r. Niestety na żadnej liście nie było mojego nazwiska. Lista została sporządzona na lata 1984—85. Kolejna będzie na lata 1986—87. Z uwagi na to, że listy zamknięto na numerze 502, a mój numer obecny to 1729, to proszę sobie obliczyć, w jakim czasie zmieszczę się na liście przy tym tempie przydziału mieszkań. Ale to nie koniec moich kłopotów. W lipcu 1984 r. otrzymałam zawiadomienie o przyznaniu mi mieszkania docelowego. To była pułapka. Zaproponowano mi M-2 ze ślepą kuchnią w środku pokoju. Nie mogłam tego przyjąć. Poinformowano mnie, że w takim razie muszę czekać. Nie mam odwagi pisać ponownie o przyspieszenie, ponieważ odmówiłam. Uważam, że Spółdzielnia będzie tego używała jako argument przeciwko mnie.

Mój syn we wrześniu już idzie do szkoły. Jest mu potrzebne miejsce do pracy, małe biurko, lecz gdzie je postawić, nie mam pojęcia. Przecież ja w tym domu nie mam swojego kąta do życia. Mieszkamy trzy samotne kobiety i mój syn, który stał się obiektem przetargu między moją matką, siostrą i mną Obie uważają, że nie umiem go wychować.

Mam 38 lat i właściwie nic więcej. Własne mieszkanie jest dla mnie jedyną szansą na normalne życie zarówno moje jak i mojego syna, czy chcę zbyt wiele? Przecież Wysoki Sąd uznał prawo do walki o normalne warunki dla swojej rodziny owej 19-letniej córki prezesa. Ja mam dwa razy więcej lat od tej pani i wkład mieszkaniowy tylko na M-3. Nie stać mnie na większe, zresztą kto by mi je przyznał? Myślę, że pański artykuł wywoła falę listów o podobnym zabarwieniu. W Łodzi jest kilka tysięcy rodzin, które mają prawo walczyć o normalne warunki dla swoich rodzin. Co z nimi zrobi Wysoki Sąd?

Jestem pielęgniarką z 20-letnim stażem pracy, staram się pracować, jak tylko umiem najlepiej, ale myślę czasami, że to na nic. Zawsze będą gdzieś ludzie lepsi ode mnie, żyjący w gorszych warunkach, którzy będą mieli pierwszeństwo albo tatkę prezesa.

Jeśli zdecyduje się Pan wykorzystać mój list, proszę zachować moje dane do własnej wiadomości.

Życzę Panu powodzenia w walce z niesprawiedliwością — na brak zajęcia nie będzie Pan narzekał.

• • •

Muszę przyznać, że artykuł ten nie tyle wstrząsnął mną, ile spowodował przypływ fali rozgoryczenia i smutku, również chciałabym aby ci wszyscy, którzy twierdzą, iż w Łodzi nie mieszka nikt, kto miałby gorsze warunki mieszkaniowe od Jolanty L., przekonali się w jak dużym są błędzie.

Myślę, że przykład mojej osoby nie będzie bardzo odbiegać od sytuacji wielu osób, żeby nie napisać tysięcy, żyjących w Łodzi. Najprawdopodobniej jestem rówieśnicą Jolanty L. i tak jak ona w 1980 r. wpłaciłam na książeczkę mieszkaniową na M-2 (26.500 zł) i otrzymałam nr rej. 62.255, a ponieważ wpłacałam w lutym więc numer rej. mam wcześniejszy niż ww. osoba. W chwili obecnej jestem nauczycielką na urlopie wychowawczym, gdyż przez ten czas zdążyłem wyjść za mąż (14.01.84 roku) i urodzić syna (29.12.1984 r.). Mieszkamy z mężem osobno, ja w Łodzi — mąż w Jaworze woj. legnickie. Spotykamy się w soboty i niedziele, bowiem tylko w te dni mąż może przyjeżdżać z drugiego końca Polski. Na zamieszkanie razem ze mną nie ma szans, gdyż mieszkam z dzieckiem u swoich rodziców wraz z dwójką rodzeństwa w mieszkaniu o pow. 38 m kw. co prawda jest czteroizbowe (3 pokoje plus kuchnia), ale po obliczeniu wypada po ok. 6,3 m kw. na osobę, tak że i bez mojego męża jest dość ciasno; brat (16 lat) śpi na materacu dmuchanym w pokoju z rodzicami, siostra robiąca doktorat, pracująca jako nauczyciel akademicki nie ma żadnych warunków do pracy naukowej. U męża również nie mogę zamieszkać gdyż on sam mieszka kątem u swoich ciotek więc gdzie ja tam z maleńkim dzieckiem, zupełny nonsens. Zresztą tam też moglibyśmy mieszkać na poddaszu zawilgoconym i ciemnym, czego ja sobie nie wyobrażam. Zapewne zdziwi się Pan Redaktor, kiedy napiszę, że dotąd nie starałam się o przyspieszenie, o jakiekolwiek warunki bytowania dla mojej rodziny, a wynikło to z tego, iż moja siostra starała się, mając członkostwo w WSM od 1976 - cokolwiek zdziałać i dostała odpowiedzi negatywne. Ja po tych wydarzeniach zdałam sobie sprawę, że z moim stażem nie mam żadnych szans a poza tym w Łodzi mieszkają ludzie w jeszcze gorszych warunkach.

A wracając do siostry to wkład zgromadziła do 31.12.1976 r., a więc o 4 lata wcześniej od p. Jolanty L. Na początku roku 1984, kiedy ja wychodziłam za mąż i atmosfera w domu była dość ciężka, siostra złożyła podanie do spółdzielni, w którym prosiła o przyspieszenie przydziału mieszkania, w lutym przyszła odpowiedź — odmowna. Siostra odwołała się od tej decyzji i po rozpatrzeniu odwołania przez Społeczną Komisję Opiniodawczą i Zarząd Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej otrzymała drugą decyzję również odmowną. Do listu tego pozwoliłam sobie dołączyć odpisy obydwu decyzji. Dziwnym się wydaje fakt, że nikt ani ze społecznej Komisji Opiniodawczej, ani z Zarządu nie pofatygował się sprawdzić, w jakich warunkach mieszka dana osoba i śmiem przypuszczać, że tak dzieje się w większości przypadków i chyba dlatego Spółdzielnia „Zarzew" stwierdziła cyt. za red. „że w całej Łodzi nie było kandydata do tego mieszkania, żyjącego w trudniejszych warunkach". Już z samego mojego listu wynika, że chyba jest i to na pewno nie jeden. Niestety nie każdy posiada ojca — dyrektora, działacza owszem, mój ojciec i mój mąż pracują w przedsiębiorstwach budowlanych, tylko że pracują dla ludzi nie dla siebie. Bo i cóż mi z tego, że ojciec posiada Honorową Odznakę Miasta Łodzi za zasługi dla województwa miejskiego łódzkiego (leg. nr 19690) i Złotą Odznakę Zasłużony dla Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych (leg. nr 4587/77) przyznaną przez Ministra Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych, skoro w przypadku mojej siostry, gdyż tylko ona podejmowała „walkę" ze spółdzielnią, nikt tego jakoś nie wziął pod uwagę, a Jolancie L. „cudem" chyba uwzględniono złotą odznakę CZSBM. Czyżbyśmy zaczynali w 40 lat po wojnie bawić się w ludzi lepszych i gorszych. Niech mi odpowie Pan Przewodniczący Zarządu jak ja mam uczyć dzieci praworządności, poszanowania dla tego prawa. No cóż można by je kłamać, że świat jest taki piękny, kolorowy, szczęśliwy, że nie ma kłamstwa, kombinatorstwa, protektorstwa, kumoterstwa tylko jak długo.. Jaka będzie Polska, kiedy takie córki pani Jolanty zaczną rządzić, czy i wówczas będzie obowiązywała zasada „rączka rączkę myje" lub „coś za coś" a dlaczego ma nie obowiązywać zasada „coś za nic" coś tylko dlatego, że dana osoba to też człowiek, też Polak. Chciałabym zadać jeszcze jedno pytanie, gdybym mogła, Panu Prezesowi, czy te daty 13 grudzień z 1981 r. nie przeszkadzały Panu w realizacji swoich planów? Czy reforma, odnowa to dla Pana Prezesa tylko czcze frazesy, puste słowa? A tym wszystkim którzy uważają, że wszystko odbywa się zgodnie z prawem, chciałabym powiedzieć, że dla mnie sprawa p. Jolanty L. to już nie tylko nieprawne przywłaszczenie sobie praw do tego lokalu, ale uderzenie w całą Polskę, bo właśnie z takich drobnych oszustw, kumoterstwa można sobie stworzyć wspaniały obraz Polaków a przecież to Polacy tworzą swój kraj, nie Rosjanie, Amerykanie, Niemcy itd.

Panie Redaktorze, jeśli to możliwe proszę o opublikowanie mojego listu w „Odgłosach" i wykorzystanie go w jak najlepszy sposób. Zapraszam do zobaczenia w jakich warunkach żyją łodzianie.

Nazwisko i adres do wiadomości redakcji

• • •

Wraz z mężem i 9-miesięczną córeczką mieszkamy u mojej matki-inwalidki, wraz z nami zamieszkuje jeszcze moja 21-letnia siostra (również inwalidka III gr.). Nasze mieszkanie to M-3 o powierzchni użytkowej ok. 36 m kw. W mojej spółdzielni przedstawiłam zaświadczenia lekarskie, zalecające osobne pomieszczenia dla matki i siostry. Choroba matki wyniknęła na tle nerwowym i powinna mieć ona zapewniony spokój. Natomiast siostra — po przebytych operacjach stawów biodrowych powinna mieć możliwość wykonywania ćwiczeń rehabilitacyjnych. Obie zajmują pokój większy o wymiarach 4.60 m na 3.12 tj. 14.35 m kw. Natomiast my z mężem i dzieckiem pokój o wym. 3.40 na 2.40 m tj. 8.16 m kw. Moi teściowie mieszkają w identycznym mieszkaniu (w tej samej klatce i w tym samym pionie), przeprowadzając się do nich nie poprawilibyśmy swoich warunków.

Nadmieniam, że matka moja mimo że została wdową i musiała do tego pójść na rentę inwalidzką, ze swojego skromnego budżetu wygospodarowywała pieniądze na comiesięczne wpłaty na książeczkę mieszkaniową, którą założyła mi już w 1972 r. aby zapewnić mi mieszkanie. Teraz jest rozgoryczona bo musimy gnieździć się w tak małym mieszkaniu, ja również czuję się pokrzywdzona bo często słyszę, że ktoś taki po 3 czy 5 latach oczekiwania otrzymuje własne mieszkanie. Mnie wciąż się zbywa, odmówiono mi nawet mieszkania rotacyjnego, bo jak stwierdził p. Dyrektor RSM „Bawełna", w rozmowie ze mną — tych mieszkań się nie buduje, a jeżeli są, to przydziela się je ludziom mieszkającym w gorszych od moich warunkach (czy rzeczywiście tylko takim?) Pan Dyrektor powiedział mi również, że jeśli będzie się budować w tym tempie jak dotychczas, to w najlepszym przypadku mieszkanie otrzymam w latach 1989—90. Może ktoś mi odpowie jak ja mam zapewnić — nie mówię już dobre, ale jakiekolwiek warunki dla rozwoju mojego dziecka. Przecież to dziecko właściwie nie będzie miało gdzie się poruszać jak zacznie chodzić. Aby wstawić łóżeczko dla dziecka musiałam wystawić do piwnicy stół i krzesła. (Zaznaczam, że nie stać nas na wynajęcie mieszkania, bo razem z mężem pracujemy na państwowych posadach, a ja w tej chwili jestem na urlopie wychowawczym). W naszym bloku stoi ok. 3 lat wolne mieszkanie. Zwróciłam się do Wydziału Spraw Lokalowych przy Urzędzie Dzielnicowym Łódź-Bałuty o przydział, ale nic w ten sposób nie zyskałam. Nie otrzymałam nawet w tej sprawie żadnej odpowiedzi poza tą, że Urząd ten sprawdzi jak wygląda sprawa tego lokalu. Nadmieniam, że do tej pory nikt tam nie mieszka.

Przyznanie p. Jolancie L. mieszkania to czyste kumoterstwo. W tej sprawie nie przemawiał fakt, że pani ta miała złe warunki lecz to, że była córką dyrektora. Ta cała komisja to fikcja. Po cóż to głosować, jeśli wiadomo przed głosowaniem, jaki będzie rezultat. Jeśli sprawa zakończy się pomyślnie dla pozwanych, to jestem przekonana, że takich sytuacji będzie więcej, bo panowie dyrektorzy poczują się bezkarni, bo cóż to za kara udzielenie nagany partyjnej.

Szanowny Panie redaktorze, podziwiam Pana za odwagę i bezkompromisowość.

Z poważaniem

ANNA MADAJ

• • •

Szanowny Panie Redaktorze, jestem zaszokowana Pana artykułem, który ukazał się w „Odgłosach" pt. „M" dla córeczki". Kilka razy czytałam ten artykuł od deski do deski i nie mogę uwierzyć, że taka sytuacja mogła zaistnieć Żeby osoba w postaci córki prezesa z trzyletnim stażem kandydackim mogła otrzymać z przyspieszenia mieszkanie spółdzielcze i do tego z takim metrażem. Gdzie jest sprawiedliwość. Czy tylko córka Pana Prezesa może korzystać z takich przywilejów? Panie Redaktorze to jest zwykłe cwaniactwo Pana Prezesa i jego córki Chyba Pan Prezes orientuje się w przepisach spółdzielni i wie że tylko zarejestrowani kandydaci na członków, o co najmniej **pięcioletnim stażu,** którzy żyją w szczególnie trudnych warunkach mogą ubiegać się o mieszkanie spółdzielcze z przyspieszenia. Panie Redaktorze jestem samotną matką wychowującą dwie córki i mieszkam naprawdę w trudnych warunkach. Przed sześciu laty po odejściu od męża związałam się z człowiekiem, z którym myślałam że spędzę życie i że on zastąpi ojca dla mojej córki. Zamieszkałyśmy obie z córką w jego mieszkaniu, które składa się z jednej izby o powierzchni 11 m 47 cm. Z naszego nie zalegalizowanego związku urodziła się druga córka. Wtedy zaczęła się tragedia mojego życia. Cztery osoby w jednym zawilgoconym mieszkaniu, bez żadnych wygód i żadnej szansy na poprawę warunków. W roku 1982 wpłaciłam na spółdzielcze mieszkanie typu M-3 i od 1 stycznia 1983 r. jestem kandydatem oczekującym na członkostwo. W tym czasie moje pożycie z konkubinem zaczęło się nie układać. Konkubin pod wpływem alkoholu zaczął się znęcać nade mną fizycznie i moralnie, a w dodatku tego kazał mi po prostu opuścić mieszkanie. Siłą nie może mnie wyrzucić, bo jestem z dziećmi zameldowana. Z tego powodu starszą córkę musiałam umieścić u mojej mamy, gdzie przebywa do dziś. Młodsza córka, która mieszka w tym mieszkaniu od urodzenia ciągle zapada na zapalenie płuc. Pani doktor, która się nią opiekuje, radzi, ażebym zmieniła warunki mieszkaniowe. Po tych wszystkich przejściach w roku 1984 złożyłam podanie w kwaterunku na Bałutach o przydział mieszkania zastępczego dla mnie i moich dzieci. Niestety nadzieje moje zawiodły, i nie znalazłam się na liście przydziału. Odwołałam się do Pana Naczelnika Dzielnicy, ale też z tego nic nie wyszło. W kwaterunku powiedziano mi żebym zamieniła się na większe mieszkanie. Ale żeby to zrobić, to trzeba mieć jakiekolwiek mieszkanie. Z pierwszym mężem mieszkałam u teściów, potem u matki, która ma pokój z kuchnią i w dodatku służbowe, a teraz u konkubina, zawsze jako sublokator. Jestem załamana, bo nie mam żadnych perspektyw żeby w najbliższym okresie polepszyć warunki moim dzieciom i żeby starsza córka była razem ze mną. Chcę Panu podziękować za ten życzliwy artykuł i za ujawnienie tego co miało miejsce w spółdzielni mieszkaniowej „Zarzew".

Nazwisko i adres do wiadomości redakcji.

INKWIZYTORZY ODNOWY

Polemiki, listy, opinie — kolumna zawsze atrakcyjna w każdej gazecie. Ważna dla czytelnika i ważna dla redakcji. Jak może być ciekawa, świadczy zamieszczony w „Odgłosach" (nr 23 z 8 czerwca) list zatytułowany: *„Samorząd i Polesie"*, a podpisany przez Mariana Kowalskiego — I zastępcę przewodniczącego Samorządu Rady Osiedla Retkinia—Piaski.

Wczytując się w treść tej korespondencji — z przykrością — można odnieść wrażenie, że są ludzie, dla których odnowa życia politycznego, społecznego i gospodarczego — trwająca w kraju już szósty rok — jest nie tyle faktem co efektownym frazesem. Takim rusztowaniem, na którym można nawieszać wszystko co się da i czego się nie da z podszeptu bezinteresownej, zapiekłej zawiści własnej, a może gorzej, bo zbiorowej na zasadzie każdy przeciw każdemu, wszyscy przeciw wszystkim.

Cenię społeczne gremia, wszelkie ich funkcje samorządowe, posłannictwo organizatorskie i poczucie sprawiedliwości, ale nie wtedy kiedy nie bardzo wiedzą co robią, bardziej zaś pilnują swojego znaczenia i kompetencji, które zresztą przekraczają. Skłonności takie czytelne są wszakże w przytoczonym wyżej liście, bo jak można inaczej rozumieć wzięty stamtąd ustęp, który brzmi: *„...samorząd zalecił Zarządowi — Dyrekcji Spółdzielni anulowanie umowy najmu na lokal użytkowy na drugi gabinet stomatologiczny dla małżeństwa K. Uzyskało ono przy przydziale lokalu mieszkalnego M-6 na pięć osób jedno pomieszczenie dodatkowe na gabinet. Był on zarejestrowany w Urzędzie Skarbowym jako ustniejący w lokalu mieszkalnym, a faktycznie prowadzony w lokalu użytkowym. Okazało się, że to zalecenie samorządu godziło w uzgodnienia i stosunki przyjacielsko-kumoterskie z roku 1979 i późniejsze gdzie obecny prezes — dyrektor Spółdzielni był członkiem prezydium ówczesnego samorządu wspólnie z obywatelem K. Jego żona uzyskała wtedy lokal użytkowy.*

Późniejsze wyjaśnienia wykazały, że nie tylko przydzielenie lokalu użytkowego narusza postanowienia Statutu Spółdzielni, ale i przydział mieszkania M-6 dla rodziny K. również był niezgodny z postanowieniami Statutu. Poza tym w mieszkaniu M-6 są teraz trzy osoby, a główny lokator od półtora roku wymeldowany na stałe, co nie było zgłoszone formalnie zgodnie ze Statutem do dyrekcji Spółdzielni i załatwione zgodnie z przepisami. Jest to znane i tolerowane przez Zarząd — Dyrekcję Spółdzielni".

Szanowni samorządowcy z „Piasków". Dobrze byłoby wiedzieć, jeżeli już nie skądinąd, to z doświadczenia życiowego — czego Wam chyba nie brakuje — że cała ta sprawa jest z gatunku tych których odnawiać się nie da. Nie twierdzę, że wszystko było w niej całkiem zgodne ze Statutem spółdzielczym i innymi przepisami, tylko że Statut był nie ten, a stan posiadania małżeństwa K. został przesądzony — jak stoi napisane — w roku 1979, a zatem w czasie sprzed odnowy, zaś żadne prawo nie działa wstecz. Porządkowanie dzisiaj takich rzeczy jest już podzwonnym Spiżu brak, a skutki społeczne bardzo szkodliwe, bo wraz z gabinetem stomatologicznym małżeństwa K. co i komu trzeba by jeszcze zabrać, czy mówiąc pretensjonalnie rewindykować i na czyja korzyść?

Idąc za myślami autora listu kraj musiałby odmówić spłaty przeszło 20 miliardów dolarów zadłużeń. Możliwe to? Trybunał Stanu powinien ferować ciężkie wyroki na tych, którzy te zaciągnęli. Nie zrobił tego i słusznie. Czym się te sprawy różnią od M-6 na Retkini? Skalą, niczym więcej.

Jestem wielce ciekawy jaki odruch obronny wyzwoliłby się w wiceprezesie, jakbym przyszedł do niego po pieniądze przegrane przed siedmiu laty (1979), bo okazało się, że ograł mnie znaczoną kartą?

I wreszcie — nie chodzi już o to co, chodzi jeszcze o to jak. Kto się tam kiedy wymeldował — wziął szczotkę do zębów i wyszedł, a to przecież prywatne sprawy ludzi, kto kiedy pozostawał w zażyłych „stosunkach przyjacielsko-kumoterskich". Meandry zawiłości jakoś nie licujące z powagą radców osiedla.

No koniec pisze M. Kowalski — *„Odnowa a praktyka w RSM „Polesie" to dwie różne sprawy"*. Zapewnia także, że samorząd chce czuć się faktycznym współgospodarzem osiedla i aktywnie włączyć się w likwidację zaniedbań konserwacyjno-remontowych i wad technologicznych". Ma zatem sporo do zrobienia dziś i na jutro i o to właśnie chodzi w odnowie, która w takim duchu i literze przyniosła Ustawę o Samorządach Terytorialnych. Mniej zaś chodzi o rozliczanie przeszłości w stylu w jakim powstał list z 8 czerwca, bo to pachnie inkwizycją i sądem Bożym bezsilności.

ANDRZEJ CIERPIKOWSKI

„ZAMORDOWAĆ PSA?"

W związku z artykułami zamieszczonymi w „Odgłosach" „Zamordować psa?" i „Tylko pies" dyrektor przedszkola nr 44 w Łodzi ul. Sędziowska 18a stwierdza:

Jest to morderstwo psychiczne personelu przedszkola i nie tylko.

mgr KRYSTYNA WADAS

* * *

Jesteśmy wstrząśnięci haniebną zbrodnią, która miała miejsce w przedszkolu przy ul. Sędziowskiej 18a. Nie można po prostu wyobrazić sobie, ile przecierpiało to bezbronne zwierzę zakatowane na śmierć. Tacy „ludzie" powinni być surowo ukarani i nigdy nie mieć styczności z dziećmi.

Jednocześnie jesteśmy pełni uznania dla Edwarda Bryla, który to wydarzenie podał do publicznej wiadomości. Takie zbrodnie należy piętnować publicznie i z całą surowością, gdyż są dokonywane na istotach bezbronnych. Dlatego żądamy, aby wyrok ukazał się w gazecie codziennej z pełnym brzmieniem imienia i nazwiska i nie tylko w tej sprawie, ale we wszystkich podobnych.

Niech to będzie dodatkową karą.

20 PODPISÓW Z PODANIEM IMIENIA, NAZWISKA I ADRESU

* * *

Chwała Edwardowi Bryłowi za to, że stanął w obronie psów, tak bezlitośnie i bestialsko mordowanych przez „człowieka?". Mam nadzieję, że winni tych morderstw, bo tak to można nazwać, zostaną pociągnięci do odpowiedzialności i ukarani.

Ale najtragiczniejsze to, że już dzieci stają się okrutnymi mordercami zwierząt. Co na to rodzice, co szkoła? Czyżby nie wiedzieli o „zabawach" swoich dzieci? Uważam, że w takich przypadkach powinno się karać właśnie rodziców tych małych morderców, którzy zaczynają od zwierząt. Co będzie, gdy dorosną?

Pisze się często o zezwierzęceniu ludzi. Myślę, że jest to określenie krzywdzące zwierzęta. Często się czyta o popełnionych zbrodniach i morderstwach przez ludzi, ale jeszcze nie zdarzył się wypadek, by np. pies zagryzł psa. Oczywiście nie mówię o przypadkach, kiedy zwierzę robi to na polecenie człowieka. Tylko człowieka, któremu (niestety) ufa bez granic.

Ostatnio na całym (nie tylko w Polsce) świecie zauważa się wzrost zwierząt hodowanych przez człowieka. Myślę, że jest to dobry objaw. W świecie, w którym człowiek dla człowieka stał się przysłowiowym wilkiem, normalnym objawem jest chęć ucieczki od swego bliźniego. I aby nie czuć się samotnym potrzebujemy kogoś bliskiego. Kogoś, kto nas kocha, czeka na nas.. i nic nie mówi, któremu i my jesteśmy potrzebni. Takim, prawie idealnym stworzeniem jest właśnie pies, który ma nad człowiekiem tę znakomitą wyższość, że nie może udawać.

ANNA MARCINIAK

TO NIE BYŁO TAK

To nie było tak, jak napisał w „Odgłosach" Edward Bryl (Nr 27 6 lipca 1985 r.).

W dniu 21 czerwca 1985 r. rzeczywiście miała miejsce telefoniczna rozmowa z redaktorem. Jednak co do formy odpowiedzi i uwag pod adresem pracowników administracji, w tym głównie moim, nie mogę się zgodzić.

Na pytanie E. Bryla odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że Inspektor jest w Kuratorium, zastępczyni jest chora, jedna z wizytatorek do spraw przedszkoli również choruje, a druga jest w terenie i nie znam terminu jej powrotu. Nie potrafiłam powiedzieć, kiedy, w sobotę czy poniedziałek, będzie można kogoś z wymienionych zastać w wydziale. Poinformowałam, że najlepiej wszelkie sprawy załatwiać we wtorek, bowiem jest to dzień przyjęć interesantów i pracujemy w godz. 9—17. W tym dniu wszyscy wizytatorzy i inspektor są na miejscu. Na podstawione przez redaktora pytanie „co się tam u was dzieje", trudno mi było udzielić jakiejkolwiek odpowiedzi. Poprosiłam by powiedział dokładnie, o co chodzi bowiem wtedy będę mogła udzielić wyjaśnień. Stwierdzenie E. Bryla, że nie mamy o czym mówić i odłożeniu słuchawki, jest zachowaniem bardzo niegrzecznym i świadczy o lekceważeniu ludzi.

Z mojej strony nie było ani jednego słowa, czy tonu, który można uważać za niegrzeczny, a co z uporem sugeruje Edward Bryl.

Dziwi mnie jedynie fakt, że na podstawie kilkuminutowej wymiany zdań można tak szybko ocenić ludzi. Skoro tak świetnym psychologiem jest redaktor E. Bryl, to wypada mi tylko pogratulować. Ocenę pracy innych należy budować na podstawie wnikliwej obserwacji i po pewnym czasie, dlatego też zapraszam E. Bryla do wydziału. Sądzę, że wówczas ocena będzie dla mnie pozytywna, a moja praca znajdzie uznanie.

Ponieważ red. E. Bryl nie wymienił mojego nazwiska proszę redakcję o zachowanie go do swojej wiadomości.

OD REDAKCJI: List ten został poświadczony przez cztery pracownice Inspektoratu, których nazwisk też nie ujawniamy.

„OBIADEK"

W numerze 27 „ODGŁOSÓW" z dnia 3 lipca 1985 r. ukazał się felieton pt. „Obiadek". Treścią felietonu poczuli się obrażeni członkowie zespołu muzycznego zatrudnionego w restauracji „Kaskada" i złożyli w redakcji swe zażalenie.

Uznając racje osób obrażonych, pragnę serdecznie przeprosić członków zespołu muzycznego w restauracji „Kaskada" za użycie w tekście sformułowań obraźliwych i podważających ich kompetencje zawodowe.

JOLANTA WROŃSKA

„W SPRAWIE ARTYKUŁU 54"

Nie znoszę czepiać się drobiazgów, ale nie lubię, gdy z lektury mych tekstów wynika, że nie rozumiem znaczenia słów, którymi się posługuję. A może tak być... co, niestety zawdzięczam naszej — poza wszystkim — wspaniałej, pracowitej i sympatycznej korekcie. Oto w tekście pt. „W sprawie artykułu 54", w czwartym akapicie od końca, jest takie zdanie: „Pozostaje jeszcze jedna kwestia — **liberalna** wykładnia przepisów ordynacji..." itd. Przysięgam na wszystko, że w moim maszynopisie było słowo „l i t e r a l n a". Różnica między tymi słówkami jest dość istotna, przeto mój noryjny (nie notoryczny, na boga.) l i b e r a l i z m doznaje w tym miejscu nader wyraźnego uszczerbku. Mówiąc innymi słowy: nóż się w kieszeni otwiera... Co niech mi będzie wybaczone.

TOMASZ SAS

BYŁ TAKI LEKARZ...

Dr Józef Kalisz znany był jako lekarz — chirurg, kierownik Przychodni Obwodowej Łódź — Śródmieście. Mało kto wie o jego wojennych perypetiach.

Wybuch drugiej wojny światowej zastał Józefa Kalisza w Łodzi. Był ordynatorem szpitala Świętej Rodziny, dziś szpitala imienia Pasteura przy ulicy Wigury. Został zmobilizowany do wojska i skierowany jako oficer-lekarz do Warszawy. Był tam kierownikiem oddziału chirurgicznego w szpitalu ujazdowskim. Pod bombami ratował ciężko rannych żołnierzy i oficerów.

Po kapitulacji Warszawy powrócił do Łodzi. Pracował przez krótki czas w swoim dawnym szpitalu. W sierpniu 1940 r. wyjechał do Kielc.

Zmarł przed kilku laty, ale pozostały wspomnienia nagrane niegdyś przeze mnie na magnetofonie. Sądzę, że warto je przedstawić Czytelnikom.

— Po zainstalowaniu się w Kielcach — **opowiadał dr Józef Kalisz** — otrzymałem propozycję objęcia w szpitalu miejskim kierownictwa oddziału chirurgicznego, prowadzonego dotychczas przez podeszłego już wiekiem dr Zakrzewskiego. Przyjąłem tę propozycję. Nawiązałem bezpośrednie kontakty z partyzantami. W Kielcach Gmina Żydowska prowadziła swój szpital przy ul. Radomskiej, obliczony na sto łóżek. Mieścił się w czynszowej kamienicy, należącej do lekarza dra Romszajda. Prezes Gminy Żydowskiej dr Pelc zwrócił się do mnie z prośbą o przybycie do szpitala. Wyraziłem zgodę i tegoż dnia uczestniczyłem w przeprowadzeniu pierwszej poważnej operacji chirurgicznej. Wynik operacji był pomyślny. Przyobiecałem dr Pelcowi i naczelnemu lekarzowi szpitala dr Lewinsonowi, że w razie potrzeby zawsze mogą liczyć na moją pomoc. Odtąd prawie codziennie odwiedzałem szpital żydowski. Konsultowałem, leczyłem i operowałem chorych, których liczba z każdym dniem wzrastała. Do szpitala na leczenie nie tylko przybywali chorzy z Kielc, ale także z Bodzentyna, Chęcin, Włoszczowej i Jędrzejowa.

Gdy utworzono w Kielcach getto, opiekę i porządek objęła w nim Ornungsdienst — żydowska policja. Odnosiła się ona z całą bezwzględnością do swoich ziomków, ilekroć tylko próbowali przekroczyć teren getta, a później wykazała swoje okrucieństwo, zapędzając pałkami do wagonów Żydów przeznaczonych na wyjazd o Treblinki. W tym czasie moja współpraca ze szpitalem żydowskim urwała się. Jednak po jakimś czasie zjawił się u mnie wyznaczony prezes Rady Starszych Żydów, Lewi, który przedstawił mi zezwolenie władz niemieckich na odwiedzanie dzielnicy żydowskiej.

Do getta przywieziono dwa duże transporty Żydów z zagranicy: z Wiednia i Pragi. Każdy transport liczył około tysiąca ludzi. W tych transportach było sporo inteligencji, a nawet jeden lekarz — laryngolog z Wiednia dr Steinberg. Miał on pewne przygotowanie chirurgiczne i chętnie wyraził zgodę na asystowanie przy operacjach na równi z innymi lekarzami szpitalnymi.

Przez wiele miesięcy dr Kalisz ratował życie Żydom w szpitalu getta. Drogę do getta torowała mu wydana przez władze hitlerowskie przepustka, ale często wbrew zarządzeniom okupanta, ratował życie chorych Żydów.

— Nadszedł czas likwidacji getta kieleckiego — **opowiada dr Józef Kalisz.** — W sąsiednich miastach getta były już zlikwidowane. Idąc do szpitala żydowskiego, spotkałem na placu Hitlera liczny oddział policji, a bezpośrednio doszedłszy do granic getta, zauważyłem rozstawione patrole esesmanów i Łotyszów. Zrezygnowałem z wejścia do getta.

Następnego dnia dowiedziałem się, jak Niemcy likwidowali getto. Oficer SS w towarzystwie policjantów kazał zebrać lekarzy i zlecił im zlikwidowanie wszystkich chorych w ciągu dwóch godzin, obiecując w zamian zachowanie ich i ich rodzin i części personelu szpitalnego przy życiu. Niektórzy lekarze odstąpili od tej akcji, starając się za wszelką cenę uciec z getta. Byli jednak i tacy, którzy w obawie o swoje życie i bezpieczeństwo rodzin zabrali się gorliwie do wykonywania potwornego polecenia wroga. Podawali chorym dożylnie środek usypiający — ewipan. Większa jego dawka powodowała śmierć. W szpitalu nie było ewipanu w dostatecznej ilości, zabrano się do chloroformowania chorych, co też powodowało śmierć. Chloroformowanie trwało długo. Ludzie rzucali się i opierali. Dr Steinberg wpadł na pomysł dawania chorym dożylnie stężonych roczynów sublimatu. Chory ginął w śmiertelnym skurczu w ciągu kilku czy kilkunastu sekund.

Gdy opowiedziano mi o przebiegu tej potwornej akcji, nie chciałem i nie mogłem w to uwierzyć. Ale, niestety, prawda wyszła na jaw, została potwierdzona przez wielu jej uczestników, którzy takim kosztem uratowali zaledwie na przeciąg kilku miesięcy siebie i życie swoich rodzin. Był wśród nich wymieniony dr Steinberg, dr Pytel, dr Rotman, dr Reiter i inni. Ulokowano ich w obozie pracy przy fabryce Ludwików, gdzie znajdowało się około tysiąca Żydów, a nędzny szpitalik przeniesiono do małego pomieszczenia, gdzie mieściło się zaledwie kilkanaście łóżek. Po kilku miesiącach wszystkich lekarzy, którzy uśmiercali chorych w getcie, wraz z ich rodzinami wywieziono na cmentarz żydowski i rozstrzelano.

Dr Józef Kalisz po zagładzie kieleckiego getta nadal pomagał prześladowanym Żydom.

— Przypominam sobie młodego prawnika Żyda — **wspominał dalej** — przybyłego ze Związku Radzieckiego. Zrzucono go na spadochronie. Przybył celem zorganizowania podziemnej organizacji w Kielecczyźnie. Legitymował się dowodem wystawionym na nazwisko Andrzeja Zawadzkiego. W organizacji znany był pod pseudonimem „Jutrzenka". Wyglądem zewnętrznym nie zdradzał żydowskiego pochodzenia, ale intymna część jego ciała mogła go zdradzić. Zgłosił się więc do mnie z prośbą o dokonanie odpowiedniego zabiegu. Dokonałem go w moim mieszkaniu. „Jutrzenkę" wpisałem do księgi chorych jako Polaka Zawadzkiego, któremu w dzieciństwie dokonano obrzezania z powodu zapalenia stulejki. Zawadzki wpadł jednak w ręce gestapo i został rozstrzelany.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

I ZNÓW SPÓR O METODĘ

Przeczytałem w numerze 24 Odgłosów z 15 czerwca R. Kubiaka „Obecność nieobowiązkowa". I już chciałem zapłakać, tylko nie mogłem się zdecydować: nad czym? Czy nad Autorem, który w czasie swego życia, a szczególnie w latach szkolnych trafiał zawsze i wyłącznie na cholerną, zdegradowaną i zakłamaną atmosferę oraz ludzi, czy nad metodą, która nakazuje za wszelką cenę wyławiać negatywy i sensacje. Na zasadzie: „gdyby choć jeden przypadek na 36 milionów — to i tak go opiszę!"

Te obrzydliwe stosunki, nieuctwo, przekupstwo. Zawsze i wyłącznie? Właściwie to nie wiadomo, jak można było ominąć te rafy narkomanii, alkoholizmu, bękarty u ośmioklasistek? Jak oprzeć się pokusie picia „pod palec", nie być ministrantem, nie pracować w kopalni(!?)? Same nieszczęścia!

Trzeba być zaiste szczytnym wyjątkiem. A przecież — sądząc z opisania w jednym ze świątecznych numerów „Odgłosów" członków redakcji — ukończył Autor studia w PRL, pracował zawodowo i dopiero niedawno potrafił „wycisnąć" kilka wstrząsających reportarzy! „Obecność nieobowiązkowa" — gdyby ją poważnie potraktować — jest ponadto dowodem na ewenement psychologiczny. Otóż większość naukowców z tej dziedziny twierdzi, iż błogosławionym darem ludzkiego umysłu jest z a p o m i n a ć o sprawach najgorszych, bo pamiętanie o nich zawsze i bez przerwy może... mniejsza z tym, do czego może prowadzić.

Tymczasem Autor felietonu — wspomników(?) uparł się na same negatywy. A to darowane fiaciki (źródło frustracji?), wspomniane narkotyki, kolorowe telewizory, na pijanych fizyków tudzież na inne najgorsze wzorce, znamy takie sprawki, spotykamy się z nimi. Lecz czy na codzień, niezmiennie od szeregu lat, na każdym kroku (z wyłączeniem siebie i własnej rodziny)?

Jeśli to wszystko, co w „Obecności nieobowiązkowej" opisano rzeczywiście zdarzyło się w szkołach, do których uczęszczał R. Kubiak — to należy współczuć i podziwiać, że przy okazji wyszło z nich jeszcze kilkoro całkiem normalnych ludzi. W końcu: komu to Autor „nadaje"? Czyżby naszym młodym gniewnym i sfrustrowanym, aby mogli mówić „no widzisz Tata — nie truj!" Rozumiem, że przeszłości lub teraźniejszości nie należy lakierować, ale...

Nie, nie wierzę, aby w pamięci nie zachowały się również pozytywy. Bo gdyby godną odnotowania była tylko patologia — należałoby czym prędzej strzelić sobie w łeb! A więc świadome wybrana metoda?

Nigdy nie mogłem się zgodzić (i chyba nie zgodzę się) z popularnością za wszelką cenę, za cenę sensacji. I nigdy nie zdobyłbym się na takie skomasowanie niszczęść sugerując, iż opisuję z autopsji. Zresztą — mam wątpliwości, czy to ten rocznik, a nagromadzenie różnych zjawisk i realiów naszych dziesięcioleci odpowiada szkolnym czasom, jednego człowieka?

Cóż — mylą się nawet perfekcjoniści. To zupełnie to samo co Kloss jeżdżący w czasie II wojny na „Junaku" (gdy Tv powtórzy serial — dokładnie obserwujcie!). Tak to mi się pomyślało po przeczytaniu „Obecności nieobowiązkowej".

W. AFELT

Jeśli istotnie lektura „Obecności nieobowiązkowej" doprowadziła Pana do płaczu, oznacza to, że miało miejsce wydarzenie nieprzyjemne, zatem zgodnie z lansowanym przez Pana twierdzeniem, należało o nim natychmiast zapomnieć, „bo pamiętanie o nich zawsze i bez przerwy może... mniejsza z tym do czego może doprowadzić".

Ja niestety zapominać o sprawach najgorszych nie potrafię, z tej prostej przyczyny, iż aby wiedzieć co jest dobre, trzeba wiedzieć co jest złe. Poza tym miałem nadzieję, że dekadę lansowania wyłącznie pozytywów mamy już za sobą.

Nie rozumiem dlaczego mam się wstydzić, że nie zostałem narkomanem, alkoholikiem, ministrantem i nie pracuję w kopalni? Do tego nie trzeba zbytniego wysiłku.

Co zaś tyczy się charakterystyk dziennikarzy „Odgłosów" prezentowanych w numerze 14/85 naszego pisma — o czym Pan wspomina — to uprzejmie informuję, że dnia 1 kwietnia ludzie obdarzeni poczuciem humoru czynią sobie psikusy.

Mam dziwne przeczucie, że usilne dążenie do zapominania o sprawach najgorszych doprowadza do sytuacji, kiedy jedynym przejawem życia wewnętrznego człowieka jest soliter.

ROMAN KUBIAK

OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI IM. JERZEGO SZANIAWSKIEGO

Miejska Biblioteka Publiczna im. Jerzego Szaniawskiego w Zduńskiej Woli, redakcja „Życia Zduńskiej Woli" oraz Towarzystwo Przyjaciół Zduńskiej Woli ogłaszają konkurs literacki na opowiadanie, nowelkę, wspomnienie tematycznie związane z historią miasta, codziennym życiem mieszkańców, kulturą, pracą itp.

Konkurs ma charakter otwarty, zatem udział w nim mogą wziąć zarówno członkowie związków twórczych jak i niestowarzyszeni.

Jury konkursu rozpatrywać będzie prace dotychczas nigdzie nie publikowane, nie przekraczające 10 stron znormalizowanego maszynopisu (30 wierszy, 60 znaków pisarskich). Ilość prac jednego autora dowolna.

Maszynopisy należy nadsyłać w trzech egzemplarzach pod adres: Miejska Biblioteka Publiczna im. Jerzego Szaniawskiego, ul. Łaska 12, 98-220 Zduńska Wola z dopisem — „Konkurs" w nieprzekraczalnym terminie do 31 sierpnia 1985 r.

Prace winny być opatrzone godłem z dołączoną, zamkniętą kopertą zawierającą imię i nazwisko autora oraz jego adres.

Organizatorzy przewidują następujące nagrody:

I — 15 tysięcy złotych
II — 10 tysięcy złotych
III — 7 tysięcy złotych

oraz trzy wyróżnienia po 5 tysięcy złotych. Ogłoszenie wyników konkursu i wręczenie nagród podczas obchodów Dni Zduńskiej Woli 14-16 września 1985 r.

Nagrodzone prace pozostają do dyspozycji organizatorów z prawem pierwszeństwa druku w „Życiu Zduńskiej Woli" oraz ewentualnego wydawnictwa książkowego.

WARSZAWSKA JESIEŃ POETYCKA

Organizatorzy (Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy, Oddział ZLP i Staromiejski Dom Kultury) Warszawskiej Jesieni Poetyckiej, która odbędzie się w dniach 7—12 października 1985 r. ogłaszają dwa konkursy literackie.

Na „konkurs jednego wiersza" dla autorów nieprofesjonalnych należy przesłać pod adresem: Biuro Organizacyjne WJP, 00-272 Warszawa, Rynek Starego Miasta 2, z dopiskiem Konkurs Jednego Wiersza, nigdzie nie publikowany wiersz w pięciu egzemplarzach maszynopisu, opatrzony godłem wraz z dołączoną, zapieczętowaną i oznaczoną tym samym godłem kopertę zawierającą imię, nazwisko i dokładny adres autora. Ostateczny (decyduje data stempla pocztowego) termin nadsyłania prac 31 sierpnia 1985 r. Przewiduje się nagrodę główną (15 tys.), sześć wyróżnień (po 7,5 tys.) oraz nagrodę specjalną (10 tys.) za wiersz o Warszawie. Wiersze nagrodzone zostaną opublikowane w okolicznościowym wydawnictwie bez dodatkowego honorarium.

Na drugi konkurs o charakterze otwartym (zasady sygnowania prac, termin i adres nadsyłania tekstów jak wyżej) należy nadesłać esej (do 20 stron maszynopisu) bądź recenzję poetycką (do 5 stron), także nigdzie dotąd nie publikowane i także w pięciu egzemplarzach. A oto nagrody: w kategorii eseju — główna (25 tys.), dwa wyróżnienia (po 15 tys.) oraz specjalna za pracę o tematyce warszawskiej (20 tys.); w kategorii recenzji — główna (15 tys.), trzy wyróżnienia (po 10 tys.).

W obu przypadkach jury będzie miało prawo inaczej podzielić nagrody oraz przyznać wyróżnienia honorowe Ogłoszenie wyników nastąpi podczas Warszawskiej Jesieni Poezji.

Program tej poetyckiej imprezy jest wyjątkowo bogaty i urozmaicony. Weźmie w niej udział około stu poetów i krytyków z kraju oraz czterdziestu gości z zagranicy. Organizatorzy przewidują oprócz spotkań, seminariów i sesji wystawy literackie, widowiska i koncerty. Zapowiadają także wydanie okolicznościowych almanachów i biuletynów.

(GRZG.)

JAKUB ROMANOWSKI

Przypadki Ryszarda B.

Były brunet Ryszard B., człowiek wielkiego gorącego serca, wysiadł właśnie z podmiejskiego pociągu i uginając się pod ciężarem pękatej torby z cotygodniową porcją krajowej prasy, wolno w zamyśleniu przechodził przez tory. A myślał Ryszard B. o szybko umykającym czasie, który mimo pozornie wielu wydarzeń, okazał się być dlań boleśnie jałowym. Nigdy dotąd w życiu Ryszarda B. nie działo się tak wiele i nigdy dotąd życie nie zakpiło z niego tak okrutnie. Smutek przeto malował się szarością na pogodnym zwykle obliczu cenionego autora, przesłaniał niedawne jeszcze sukcesy. Trzeba bowiem wiedzieć, że Ryszard B. parał się od lat twórczością niezwykle trudną, lecz jakże wdzięczną i potrzebną. Był mianowicie Ryszard B. ogromnie popularnym autorem powieści i nowel kryminalnych, pisanych ze smakiem, przepełnionych niesamowitymi wręcz pomysłami, zaskakujących psychologiczną głębią. Każda nowa książka Ryszarda B. natychmiast znikała z księgarskich półek i zaraz też stawała się tematem publicznych dyskusji, ochów i achów, biurowych opowiadań. Ba, książki Ryszarda B. były znakomitym tworzywem filmowym, przeto utalentowani reżyserzy stali w kolejce do autora, by dostąpić przywileju przeniesienia jego literackich postaci na celuloidową taśmę. Sfilmowane powieści Ryszarda B. przyciągały tłumy kinomanów, zdobywały festiwalowe laury i przysparzały autorowi coraz to nowych wielbicieli.

Sam Ryszard B. nie wiedział nawet jak ogromny jest zasięg jego twórczości, jak mocno potrafi oddziaływać na ludzką psychikę. Bohaterowie jego powieści, mądrzy i kryształowo uczciwi inspektorzy organów ścigania stawali się obiektami westchnień dam i podlotków, postaciami małpio naśladowanymi przez dziatwę w czasie podwórzowych zabaw, tematami szkolnych wypracowań. Doszło do tego, że jeśli Ryszard B. nadał swojemu wspaniałemu literackiemu bohaterowi imię Alfons lub Peter, to niemal natychmiast po ukazaniu się książki, rodzice nadawali swym nowo narodzonym pociechom imiona Alfons, Peter. Jeśli Ryszard B. zupełnie nawet przypadkowo umieszczał przestępcę — typowy szwarc-charakter, we wnętrzu samochodu marki Volvo, natychmiast notowania tych wozów spadały, firma mogła szykować się do ogłoszenia bankructwa, a właściciele pojazdów marki Volvo pozbywali się trefnego towaru.

Gdyby Ryszard B., człowiek nad wyraz skromny, dał wiarę choćby części niesamowitych opinii, które o nim krążyły, kto wie czy podołałby piekielnej odpowiedzialności swego dzieła. A tak, nawet gdy przyjaciele i bardzo mu życzliwi znajomi, z racji wątłej postury autora, nazywali go „Małym Chandlerem", Ryszard B uśmiechał się z właściwą mu nieśmiałością i wmawiał sobie, że ksywa „Mały Chandler" jest dana mu stanowczo na wyrost.

Ryszard B. minął gmach starego dworca, szedł wierzbową aleją rozpamiętując czarną serię, która trwała uparcie i odbierała mu wielką dotąd energię do pracy. Nie miał jakoś ochoty od razu kierować się ku domowi, co czynił zwykle, albowiem mniemał, iż tam dopadnie go zwielokrotniona nostalgia. Wstąpił tedy Ryszard B. do kawiarenki „Eskimos", aby w samotności odtworzyć raz jeszcze tamto niecodzienne zdarzenie, które bez wątpienia musiało być kluczem do sprawy. Bo jakże mogło być inaczej, skoro od tamtego zdarzenia nie potrafił wziąć do ręki pióra; sklecić jednego choćby zdania, a każdy ciekawy z pozoru temat rozmywał się w banalną historyjkę.

Usiadł przy kawiarnianym stoliku, zamówił szklaneczkę chłodnej lemoniady i jął wywoływać z pamięci obrazy sprzed dwóch miesięcy. Wtedy to przed drzwiami prokuratury, w której Ryszard B. wertował akta procesowe wielokrotnego mordercy i gwałciciela niejakiego N. Z. zatrzymał go nieznajomy młodzieniec.

— Pan nazywa się Ryszard B. — zaczął nieznajomy.

— Tak — odparł Ryszard B. i chciał wyminąć nieznajomego, ponieważ obawiał się, że ten zacznie namolnie wypytywać o finał kryminalnego serialu, co wielu już przed nim czyniło. Lecz nieznajomy silną dłonią chwycił go za rękaw koszuli. Tkanina zaszeleściła ostrzegawczo.

— Pan musi mnie wysłuchać — powiedział z taką stanowczością, że Ryszard B. zwątpił w powodzenie ucieczki

Przysiedli na betonowym murku okalającym miejski park.

— Nazywam się... — zresztą to nie jest ważne — zaczął nieznajomy. — Może pan do mnie mówić Znajda, bo to nawet odpowiada prawdzie

Ryszard B. milczał, choć czuł, że nie jest to zwykła towarzyska pogawędka jakich wiele. Czuł, że jakaś tajemnicza siła paraliżuje jego ruchy, jego wolę. Czekał dalszego ciągu.

— Powiem teraz o czymś co może wydać się bzdurą, ale ja daję słowo honoru, że jest to szczera prawda. Musi pan w to uwierzyć. Otóż, jakiś czas temu znalazłem się tutaj, u was, na skutek fatalnego błędu naszego Centrum Przenoszenia. Bo ja, panie Ryszardzie, nie jestem człowiekiem, musiałem tylko czasowo przybrać ludzką postać.

Ryszard B. słuchał go w skupieniu, bo pomyślał sobie, że jeśli nawet Znajda plecie brednie, to może powie też coś na tyle ciekawego, iż on, jako autor będzie mógł wykorzystać to w swoim kolejnym dziele.

— Więc znalazłem się na Ziemi na skutek błędu Centrum Przenoszenia — kontynuował Znajda. — Normalnie my, to znaczy mieszkańcy naszego układu, nie mamy powłoki cielesnej Ale na Ziemi konieczne było wytworzenie czegoś na wzór waszego ciała, żeby przetrwać.

Teraz dopiero Ryszard B. uważniej przyjrzał się Znajdzie. Poprzednio zauważył jedynie, że osobnik ten jest nieprzeciętnie wysoki, o co najmniej trzy głowy wyższy od niego. Zerknął na twarz. Znajda miał twarz jakby skądś znaną... Gęsta czupryna, długie kosmyki włosów, delikatna broda, lekki wąsik, okulary. Skąd ja znam tę twarz... — pomyślał Ryszard B., lecz nie dane mu było przetrząsnąć zakamarków pamięci, albowiem Znajda ciągnął dalej.

— Musiałem tak uczynić, żeby nie unicestwić się. Po waszemu nazywa się to walką o byt. Przybrałem tę postać mając świadomość, że kiedyś zbiorę, zgromadzę dość energii, aby powrócić do swoich. Szybko przystosowałem się do waszych warunków życia, choć muszę przyznać, że ciągle mnie zadziwiacie — ale to nie jest teraz ważne. Tak czy inaczej, jestem prawie człowiekiem — to znaczy nie do końca.

Tu Znajda wypiął z klapy marynarki długą szpilę i szybkim mocnym pchnięciem przebił nią lewą swoją dłoń. Z rany nie wypłynęła nawet kropla krwi.

Ryszard B. patrzył na tę scenę z aktorską obojętnością, bo taką przybrał wobec Znajdy postawę, lecz coraz większe odczuwał zaciekawienie i coraz niecierpliwiej oczekiwał ciągu dalszego.

— Myślę, że w jakiejś mierze przekonałem pana o swojej prawdomówności — kontynuował Znajda. — Jeśli tak, to mogę chyba przystąpić do sedna sprawy — tu przenikliwym wzrokiem obrzucił Ryszarda B., ale nie dostrzegając w jego oczach ani w zachowaniu żadnego sprzeciwu, snuł niecodzienną opowieść.

— Jedynym moim celem jest opuszczenie Ziemi. Chcę jak najszybciej powrócić do swoich — bardzo chcę. Ale do tego potrzebna jest mi ogromna energia. Dokładnie rzecz ujmując, chodzi o psychoenergię — energię milionów waszych istot, które mogą ją wytworzyć podziwiając, a wręcz uwielbiając kogoś, jakąś istotę. Ja muszę być tą uwielbianą istotą!

Popatrzył błagalnym wzrokiem na marsowe oblicze Ryszarda B., lecz nie doczekał się żadnego, najmniejszego znaku zrozumienia.

— Próbowałem zdobyć popularność — mówił Zajda, jak gdyby chciał usprawiedliwić się ze swojej przeciętności. — Zacząłem nawet pisywać do miejscowej gazety, układałem wiersze, chciałem być sportowcem. Parę razy coś tam mi wydrukowali, ale pańskiego talentu nie mam, więc zrozumiałem, że sam w pojedynkę skazany jestem na porażkę.

Tak, teraz Ryszard B. nareszcie przypomniał sobie. Tak, na pewno tak, widział tego dryblasa przy kasie wydawnictwa. Wielu dziwaków tam przychodzi: zakompleksieni poeci, smętni literaci, marni prowincjonalni reporterzy. Nie warto nawet pamiętać ich twarzy.

Ryszard B. milczał. Wiedział, że Znajda nie może w tym miejscu zakończyć opowieści. Będzie chciał, na pewno będzie zmierzał do wyłożenia gotowego planu, zamysłu dopracowanego w szczegółach Tak się stanie bez względu na to, czy on, Ryszard B. chce tego czy też nie chce Znajda wygląda mi na faceta, który zanim przystąpi do sprawy, najpierw starannie przygotowuje pole działania. Jest cholernie konsekwentny i chyba zdesperowany — pomyślał Ryszard B.

— Widzę to tak — mówił Znajda, potwierdzając tym samym rozważania Ryszarda B. — Widzę to tak, że pan wprowadzi mnie na karty swojej powieści jako, no powiedzmy, detektywa — amatora, który nieustannie narażając swoje życie walczy z perfidnymi gangsterami, pomaga słabszym, miłuje sprawiedliwość. Zresztą, pan najlepiej wie jak to się robi.

To jest pierwszy przypadek, kiedy ktoś usiłuje wedrzeć się do mojej powieści — zauważył Ryszard B. Dotąd wielu mściło się za to, że opisywałem ich sprawki. No tak, ale były to postacie negatywne. On zaś chce być wspaniałym, bohaterskim detektywem, idolem. Sprytnie to sobie obmyślił...

— Dla pana to żaden problem. Ot, jeszcze jedna postać, tyle że tym razem opisze pan jak wyglądam: dokładnie, ze szczegółami, da jej pan moje nazwisko. To wystarczy, żeby ludzie mnie uwielbiali, a wtedy...

— Nie! — Ryszard B. poczuł się jakby przed sekundą wymierzono mu policzek. — Kimkolwiek jesteś: kosmitą, pospolitym cwaniakiem czy władcą tego świata, nie zmusisz mnie do takiego czynu. Ja, Ryszard B. nigdy tego nie zrobię!

Znajda drgnął lekko, pochylił głowę i cichym, zupełnie do niego nie pasującym głosem rzekł:

— Od dłuższego czasu pomagałem panu jak tylko mogłem. To ja wymyśliłem numer z piątym asem, to ja namówiłem chłopców, żeby pojechali dźwigiem po szmal, to ja podpaliłem wiatrak, zorganizowałem sztachetówkę, ukrzyżowałem tego gościa.. A pan to wszystko opisał. Myślałem że...

Bezczelny! W Ryszardzie B. zakipiała złość. Gdybym był większy i silniejszy to... — pomyślał. Wstał i odchodził szybkimi krokami, kiedy za plecami usłyszał ostatnie słowa tamtego:

— Skąd teraz weźmiesz tematy do swoich kryminałów? Przecież potrzebne są ci fakty, nie fikcja. Jesteś bankrutem...

Ryszard B. wrócił do domu mocno zdenerwowany. Tego dnia po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie mógł pisać. Biała kartka papieru leżała przed nim i wyraźnie prowokowała — niestety. Na domiar złego Ryszard B. zapodział gdzieś notatki, które rankiem poczynił w miejscowej prokuraturze. Następnego dnia, chcąc raz jeszcze sięgnąć do akt wielokrotnego mordercy i gwałciciela niejakiego N. Z., dowiedział się, że sprawa jest nieaktualna, ponieważ N. Z. ma murowane alibi.

Przypadek — pomyślał Ryszard B. Takie przypadki mogą zdarzyć się każdemu. Jutro trafię na nową, jeszcze lepszą sprawę, opiszę ją i udowodnię, że ten bezczelny typ, ten Znajda, kłamał.

Atoli cały następny tydzień nie przyniósł żadnych interesujących wydarzeń, podobnie następny i następny. Co prawda niemalże pod oknem Ryszarda B. znaleziono denata, lecz szybko wyjaśniono okoliczności, mocno na niekorzyść ekipy zakładu pogrzebowego, która popiwszy nieco pogubiła zwłoki w drodze do kostnicy. Uliczna bójka na noże, której Ryszard B. był świadkiem, okazała się dobrze wyreżyserowaną grą kaskaderów zatrudnionych przy ralizacji filmu „Śmierć na ulicy", a obficie pryskająca krew była zwyczajnym sosem pomidorowym. Do prokuratury nie trafiały żadne nowe sprawy o zacięciu kryminalnym, jakby ludzie zaczęli gustować wyłącznie w drobnych szwindlach, albo w jeździe rowerem po pijanemu. Od dłuższego czasu nie zanotowano nawet jednego przypadku pobicia ani też gwałtu, bimbrownicy zwinęli interes, a prostytutki najęły się do prac porządkowych. Nawet wielki pożar we wsi Gość, gdzie Ryszard B. inwestował w ziemię, aby bez podejrzeń obserwować knowania miejscowej szajki kułaków, okazał się być wywołany od uderzenia pioruna. Nie napisał przeto Ryszard B. ani jednego opowiadania, ani jednej nowelki. A terminy wydawnicze i spragnieni czytelnicy ponaglali. Trwała czarna seria Ryszarda B.

Trzecia już szklanka chłodnej lemoniady stała przed pogrążonym w rozmyślaniach autorem. Jacyś nabuzowani podłym piwem młodzieńcy usiłowali dosiąść się do stolika, przy którym siedział Ryszard B. — widać szukali zaczepki, lecz zaczepiany nie miał wyraźne ochoty pomagać im w tym dziele. Wolno sączył żółtawy płyn, a z każdym jego łykiem dojrzewała w Ryszardzie B. decyzja ostateczna. Młodzieńcy tymczasem poczuli się obrażeni biernością zaczepianego i pewnie po raz pierwszy od dłuższego czasu poszłyby w ruch wielkie jak bochny chleba pięści osiłków, lecz czujna kelnerka szepnęła któremuś z nich dwa słowa, po których agresywni osobnicy zamienili się w potulne owieczki i bijąc ukłony, cichutko na palcach wycofywali się ku wyjściu.

— Bar... bardzo przepraszamy, mistrzu — bąknął nieśmiało intruz z długą blizną na lewym policzku. — Nie poznaliśmy mistrza. Ten skok w ostatnim mistrza kryminale był pierwsza klasa! — dodał jednym tchem, a w oczach błysnęły mu ogniki zachwytu.

Wyrwany nagle z głębokich rozmyślań Ryszard B. dosłyszał te ostatnie do niego kierowane słowa, twarz jego przeszył ledwie dostrzegalny grymas zadowolenia. Właśnie dojrzała w nim decyzja ostateczna.

Wiedział oto Ryszard B., że upływ czasu wcale nie rokujący odmiany czarnej serii, trzeba przerwać jednym zdecydowanym, męskim cięciem. Trzeba mi przejąć inicjatywę we własne ręce — myślał Ryszard B. Trzeba indukować zdarzenia bez względu na to, czy kurczowo czepiający się pech jest zwykłym przypadkiem, czy też konsekwencją odtrącenia propozycji Znajdy. Należy energicznie działać, należy zbierać materiały samemu uczestnicząc w akcji. To jedyne lekarstwo na kontynuowanie pracy pisarskiej, na dotrzymanie wydawniczych terminów. To jest to! — pomyślał Ryszard B. i chwyciwszy torbę z gazetami, jak nigdy dotąd, pobiegł do domu główną ulicą miasteczka.

Przechodnie pozdrawiali go serdecznie, małe dziewczynki podsuwały kartki papieru, żeby mistrz uszczęśliwił je cennym autografem, lecz Ryszard B. był ponad tym wszystkim. Pędził przed siebie w rozwianym na wietrze prochowcu, niczym szalejący reporter. Stało przed nim najważniejsze życiowe zadanie.

Wpadłszy do domu, Ryszard B. uwolnił się spod ciężaru torby i nie reagując na zalotne poszczekiwania ukochanego psa, który tym sposobem chciał namówić swego pana na mały spacerek, zagłębił się w ulubionym fotelu.

Po czterech godzinach intensywnego myślenia Ryszard B. miał już szkic planu. Teraz należało dopracować szczegóły, precyzyjnie i na chłodno, jak w powieści kryminalnej W tę pracę włożył Ryszard B. całe swoje życiowe i autorskie doświadczenie, cały talent, a może nawet coś więcej.

Następny tydzień poświęcił Ryszard B. na przygotowanie akcji. Trzy dni obserwował wytypowane miejsca, zasięgał opinii biegłych, organizował niezbędny sprzęt, dogrywał elementy czasowe.

Kiedy mechanizm akcji przewyższył precyzją mechanizm szwajcarskiego zegarka, Ryszard B postarał się o wiarygodne alibi, żeby z całkowitym już spokojem czekać na sobie dany sygnał.

Była letnia bezksiężycowa noc. Ryszard B. cichutko zamknął drzwi mieszkania i uliczką, na której nigdy nie palą się latarnie zmierzał do celu. Miękkie obuwie bezszelestnie niosło go nierównym chodnikiem, w oknach domów gasły ostatnie żarówki, a utrudzeni mieszkańcy zapadali w głęboki sen. Minął odrapany budynek pralni, pusty autobusowy przystanek. W czarnej otchłani bramy wyjął z torby komplet akcesoriów, wielokrotnie przetrenowanymi ruchami naciągnął na twarz czarną pończochę, dłonie zaś skrył w ciemnych bawełnianych rękawicach. W kilku skokach dopadł gęstych zarośli, sprawnie przesadził niski płot, wyczuł stopą jedenastocentymetrowy próg, przeczołgał się cztery metry i piętnaście centymetrów wzdłuż ażurowej przegrody. Dalej pracował jak w transie, jak precyzyjnie zaprogramowany robot. Wiedział, że ma dokładnie sześć minut i dwadzieścia trzy sekundy, w ciągu których jest bezkarny Torba z narzędziami stała oparta o betonowy filar, a wieko i metalowej skrzyni ustąpiło z lekkim trzaskiem. Przekładał nierówne paczki do plastykowego worka, oczyma wyobraźni prześwietlając ich zawartość.

Bez przeszkód dotarł do domu. Przebrał się i zastukał do sypialni żony. Zaspana niewiasta podniosła się z łoża i ochoczo podreptała do kuchni. Na kuchennym stole spoczywała sterta paczek dopiero co wyjętych z plastykowego worka Ryszard B. nonszalancko opierał dłoń na jej szczycie.

— No — rzekł z niekłamaną dumą. — Teraz nasza córka będzie miała najwięcej makulatury z całej klasy.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

1

Lewym okiem

Odejść bez walki?

Po wieloletnich dyskusjach i po różnych próbach w lewo i w prawo zmodyfikowano wreszcie system przyjmowania na wyższe studia — o tyle, że punkty za pochodzenie społeczne przestały stanowić dominujące kryterium przyjęcia kandydata. Nie wiem, czy takie punkty są przestrzegane w Związku Radzieckim lub jakimkolwiek innym państwie socjalistycznym, to zresztą nie powinno decydować. Znany fakt, że przed wojną, w społeczeństwie klasowym, odsetek młodzieży chłopskiej na wyższych uczelniach był wyższy niż obserwujemy mimo wszystkich sztucznych zabiegów dzisiaj — świadczy, że należy szukać prawdziwych motywacji do studiowania, a nie ciągnąć za uszy młodych, którzy sobie tego mogą nie życzyć.

A więc odsunięto na dalszy plan tamte nieszczęsne punkty, ale oto zaczyna rosnąć inna dysproporcja w składzie naszej inteligencji. Wyczytałem w pewnym reportażu z czterech liceów ogólnokształcących, że we wszystkich czterech do matury przystąpiło około 70 proc. dziewcząt a tylko 30 proc. chłopców. Czyli już na poziomie średnim druzgocąco przeważa płeć żeńska.

Na wyższych uczelniach ta przewaga jest jeszcze większa. W rezultacie mamy potem w szkolnictwie same panie, w farmacji też, w lecznictwie to samo, filologia to same kobiety, ekonomiści przegrywają liczebnie z ekonomistkami w stosunku jeden do trzech, na prawie zaczyna być to samo, historia, geologia, historia sztuki, uczelnie plastyczne, dziennikarstwo, etnografia — jak okiem sięgnąć kobiety i kobiety. Jednocześnie w zawodach nie wymagających wyższego wykształcenia, ale też i nie opartych na wysiłku fizycznym same babki: cały od brzegu do brzegu handel, cała poczta, telefony, przemysł lekki i spożywczy, różne rodzaje kontroli urzędy, biura, banki... Gdzie się podziewają mężczyźni? Gdzie są tamte szanowne feministki, które skwapliwie liczyły kiedyś każdy ułamek procentu przewagi mężczyzn w jakiejkolwiek branży, uważając tę przewagę za wyraz egoizmu i zarozumiałości męskiej? Może teraz w podobny ton powinni uderzyć panowie?

Cóż to — tylko łopata i kilof nam zostają? Niedługo poczujemy się jak gastarbaiterzy zepchnięci do czynności najcięższych, brudnych i przykrych. Oczywiście — zostaną jeszcze stanowiska, najwyższe, gdzie wciąż jeszcze ledwie gdzie niegdzie błyśnie jakaś lokalna pani Thatcher. Ale ileż jest tych stanowisk, żeby nimi poprawić statystykę?

Dobrze pamiętam czas, kiedy w każdym „ciele zbiorowym" obowiązywały rozdzielniki. Procent zatrudnionych kobiet był wskaźnikiem wiążącym i miał świadczyć o wyzwoleniu socjalnym kobiet. Wszędzie Analogiczny procent w każdej Radzie, Związku, komisji, konferencji, a także w grupie nagradzanych i odznaczonych, w składzie wycieczki na grzyby i w delegacji na Ważne Zebranie. Te wskaźniki jeszcze tkwią w arkuszach sprawozdawczych, chyba jednak mają dziś sens odwrotny: chyba chodzi o stwierdzenie, jak dalece żywioł kobiecy zaczyna dominować na każdym znaczącym kroku.

Zjawisko to ma swe nieodzowne aspekty, o których pisałem wiele lat temu, a które nabierają coraz ostrzejszych rysów. Z tej procentowej nadwyżki damskiej w szkołach średnich i — w konsekwencji — na uczelniach wyższych znaczna część z całą pewnością nie znajdzie sobie partnera na życie. Po prostu nie wyjdzie za mąż. Jeden student na pięć studentek — nie da się podzielić. A po skończeniu studiów odpowiedni wiekiem panowie, którzy by wchodzili w rachubę, już mają rodziny. Chyba że panie magistry zaczną masowo brać się za rolników i łopaciarzy, do czego się na razie nie kwapią.

A po drugie, i to chyba ważniejsze, wychowanie (także fizyczne) następnych pokoleń jużeśmy całkowicie oddali w damskie ręce. Od kliniki położniczej, poprzez żłobki, przedszkola, szkoły podstawowe i średnie, poprzez wszystkie przychodnie lekarskie, poradnie i szpitale, dzieciak będzie miał wokół siebie wyłącznie kobiety z ich całą specyfiką psychiczną i intelektualną. Może to i dobrze, może autorytet ojca i w ogóle męski ideał życia lepiej odłożyć do rupieciarni razem z tyloma innymi ideałami i autorytetami. Może. W każdym razie trzeba sobie z tego zdawać sprawę.

A może powołajmy Ligę Mężczyzn? Żeby nie odejść z pola bez walki?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2

Lepiej dać państwu niż cwaniakowi

W rodzinie pewnego mojego znajomego było ich pięcioro: pan i pani — jego żona, dorosły już syn, córka — nastolatka i ukochany maluch. Że najmłodszy i najładniejszy — nic dziwnego, że właśnie on otoczony był największą troską i prawie cała rodzina (prawie — bowiem syn miał na te sprawę zupełnie inny, nieakceptowany przez pozostałych pogląd) robiła, co mogła, aby stworzyć maluchowi jak najlepsze warunki. Miał więc maluch własne, zawsze wysprzątane pomieszczenie, z całą serią kosmetyków na półeczkach, na podłodze leżały kawałki dywaników. Czerwonych — bo i karoserie miał czerwoną. Stał tam sobie przez całutką zimę, a wokół niego gromadziły się kanistry z benzyną. Benzynę, wiadomo, trzeba wykupić w ciągu kwartału, aby kartki nie przepadły, a zimą właściciel nie jeździł, bo po pierwsze posolone nawierzchnie mogłyby zaszkodzić samochodzikowi na podwozie, a po drugie — nie czuł się pewnie na śliskiej nawierzchni.

Za to gdy przyszła wiosna, gdy nastały słoneczne dni, wyruszała rodzina na zieloną trawkę, do lasu, rozkładała obozowisko obok samochodu i irchowymi ściereczkami czyściła szybki, pucowała karoserię, rozrzucała wokół puste butelki po oleju i cieszyła się, że choć staruszek — przecież dzięki dobrej pielęgnacji od niejednego nowego ładniejszy.

W drodze powrotnej w panu budził się as kierownicy, na gaz z całej siły ciężkim butem naciskał, innym kierowcom, a zwłaszcza tzw. kanadyjczykom, zaopatrzonym w zielony listek wygrażał, że drogę mu zajeżdżają, a na dodatek niektórzy taki podły, że wyprzedzić się nie pozwolił.

I tak trwała sielanka przez lat pięć. Nie zmęczył się w tym czasie samochodzik za bardzo, bowiem przejechał zaledwie 14 tys. kilometrów a i to w dużej mierze dzięki wyrodnemu synowi, który głosił wywrotowe hasła, że samochód to nie przedmiot luksusu ani tym bardziej obiekt do kochania, lecz po prostu sprzęt służący do pokonywania przestrzeni w możliwie najkrótszym czasie i od czasu do czasu ku oburzeniu pozostałych, „podkradał" kluczyki zwłaszcza w dni zimne i deszczowe.

Zapewne dalej byłoby tak samo, gdyby nie pewne spotkanie. Na skrzyżowaniu. Znajomy mój pan spotkał się z drugim panem, który także lubił gaz przycisnąć, ale tylko w letnie niedziele i, jak wszyscy sezonowi kierowcy, jeździć porządnie nie umiał.

Kierowcy i pasażerowie, na szczęście, wyszli tylko potłuczeni, samochody ucierpiały znacznie bardziej. Stoi więc teraz ukochany maluch w brudnym warsztacie, usmolonymi rękami dłubią w nim mechanicy, nikt o irchowych ściereczkach nie myśli. Ale nic to. Zreperują, rodzina otrząśnie się z głębokiego strapienia, pan znowu w słoneczną niedzielę wyruszy na szlak, budząc, jak większość jemu podobnych, groźę wśród tych, którzy mniej kochają swoje wehikuły, ale za to jeżdżą codziennie i znacznie lepiej.

Choć na ogół jestem osobą tolerancyjną, zwykle z nastaniem wiosny mam ochotę biegać z ostrym narzędziem i niektórym sąsiadom (a zwłaszcza tym, którzy taszczą po schodach zgromadzone przez zimę zapasy benzyny) przebijać opony. Nie robię tego oczywiście, bowiem, jak u większości ludzi, moje naturalne, zdrowe odruchy zostały już w dzieciństwie stępione przez wychowanie. Gdybym jednak dysponowała odpowiednią władzą, z pewnością odebrałabym prawa jazdy wszystkim, którzy nie jeżdżą codziennie. Przydałoby się takie zarządzenie, zwłaszcza od czasu, gdy wprowadzono kartki na benzynę.

Ludziom, dla których samochód jest tym, czym być powinien, tzn. środkiem transportu, którzy z rozmaitych przyczyn zawodowych bądź prywatnych wykorzystują go bez względu na porę roku i pogodę nie starcza paliwa, nawet jeżeli z racji zawodu mają przydziały dodatkowe. „Niedzielni" mają go za dużo. Wykupują oczywiście wszystko, taka już bowiem jest natura ludzka, że wystarczy wprowadzić kartki na cokolwiek, aby realizowali je do końca nawet ludzie, którzy jakiegoś towaru nie potrzebują.

Korzyść z tego wynika tylko jedna — od czasu do czasu od takich właśnie osób można kupić trochę paliwa. Po cenach komercyjnych, to jest obecnie po 120—150 za litr. Wtedy obie strony są zadowolone — ten co jeździ, bo ma benzynę i ten co nie jeździ, bo zarabia.

Przy systemie reglamentacji czegokolwiek nie jest możliwe wprowadzenie takiego zróżnicowania przydziałów, aby każdy otrzymał tyle, ile faktycznie potrzebuje. Można co prawda wyobrazić sobie system takiej dystrybucji, aby wielkość przydziałów na rok bieżący określać na podstawie liczby kilometrów przejechanych w roku ubiegłym, ale praktycznie jest to nierealne, choćby z uwagi na konieczność zatrudnienia armii ludzi do spisywania liczników kilometrów i wykonywania innych, niezbędnych przy tym czynności administracyjnych. Jest także o wiele prostsze wyjście. Propozycja taka była już co prawda rozważana przy wprowadzaniu kartek, sądzę jednak, że warto do tych rozważań powrócić, zwłaszcza, że zniesienie reglamentacji nie nastąpi w ciągu najbliższych lat. Jest to wprowadzenie komercyjnej ceny paliwa.

Moim zdaniem rozwiązanie powinno być takie: kartki na bardzo niewielką ilość benzyny wystarczającą faktycznie jedynie na niedzielne wyjazdy do najbliższego lasu, plus przydziały dodatkowe dla tych, którzy i obecnie z nich korzystają, a ponadto — sprzedaż paliwa bez ograniczeń po cenach odpowiednio wyższych.

Jeśli ktoś w tym momencie posądza mnie, że proponując tak niepopularne działanie, jak podniesienie cen na cokolwiek chce, z zazdrości, odegrać się na posiadaczach samochodów — jest w błędzie. Jeżdżę samochodem od wielu lat, dobrze (średnio jeden mandat na trzy lata) i sporo (około 12 tys. km rocznie). Oczywiście dokupuję benzynę nielegalnie — jak wielu kierowców.

A więc skoro i tak muszę płacić drogo — wolę już, aby zarabiało na tym państwo niż prywatny cwaniak. Przynajmniej nie będę musiała bardzo dziękować, że był uprzejmy sprzedać. Dodatkową korzyść — to zlikwidowanie mini-stacji CPN w wielu piwnicach. Przypuszczam również, że przy odpowiednio ustawionej cenie komercyjnej ogólne zużycie paliwa przez samochody prywatne okazałoby się niższe. Że niektórzy ludzie nie kupowaliby już komercyjnej benzyny ograniczając się do bardzo niskich przydziałów — to nie szkodzi. Ten kto musi lub bardzo lubi jeździć — będzie jeździł i tak. Przecież jeździ i teraz, pakując pieniądze do cudzych kieszeni i narażając się przy tym na sankcje karne. Gdy natomiast „spekulantem" zostanie CPN, handlując po cenach komercyjnych, odpadnie przynajmniej ryzyko stania przed kolegium.

AGATA

3

Nagle zastępstwo

Shakin' Karol

Pisze Andrzej Grzegorczyk w „Polityce" (nr 26 z 29 czerwca br.): „...powołaniem naszym nie jest ucieczka ze świata biedy do uprzywilejowanej czołówki, ale wypracowanie stylu życia dla biednych."

Podpisuję się pod tym zdaniem wszystkimi rękami i jeszcze lewą nogą. To jest to! Jeśli co najmniej parę milionów dorosłych Polaków też na to pójdzie, to efekty mogą być interesujące. Bo póki co to jest nas dwóch: Grzegorczyk i ja. No, jest jeszcze grupa studentów z Wrocławia. Ci, którzy zdobyli Mount Everest nie wyjeżdżając z miasta — wdrapali się określoną ilość razy na dziesiąte piętro wieżowca. I to jest właśnie wielka alpinistyka dla biednych. Zamierzam, popierając wrocławską inicjatywę polecieć na księżyc windą w wieżowcu naszej redakcji — trzynaste piętro. Może ktoś z łaskawych czytelników zechce obliczyć ile razy mam wjechać? Ja bowiem w przedmiotach ścisłych byłem słaby...

Za darmo odstępuję inne pomysły z tego cyklu — rejs kajakiem dookoła świata na stawie w Arturówku oraz mecz z piłkarzami Liverpoolu — wystarczy wysłać zaproszenia, oni nie przyjadą i mamy zwycięstwo walkowerem. Bez ofiar w ludziach! A koszta wręcz żadne, tyle, co znaczek pocztowy. List może być po polsku i niech sobie płacą za tłumaczenie...

Inicjatywę Andrzeja Grzegorczyka popiera w tym samym tygodniu Stanisław Rams na łamach „Życia Literackiego". Choć nie, Rams właściwie wskazuje drogę, jaką w sposób łatwy, lekki i przyjemny możemy raz na zawsze pozbyć się kłopotów żywnościowych, zlikwidować kartki na mięso oraz wrócić na należne nam miejsce w pierwszej dziesiątce przemysłowych potęg świata doczesnego. Otóż, po prostu należy przestać jeść mięso! Zupełnie, radykalnie i nieodwołalnie! Całe mięso wyeksportujemy, na wyższym szczeblu wegetarianizmu nie jada się nawet mleka i jaj, też można wyeksportować, spłacimy długi zagraniczne i sprowadzimy sobie dodatkowe ilości kalarepki i rzeżuchy, bo zapotrzebowanie na tę paszę wydatnie nam się zwiększy. Jeszcze wyższy etap, jak nam tłumaczy Stanisław Rams, polega na nieprzyjmowaniu żadnych pokarmów ani napojów. Można mianowicie czerpać energię bezpośrednio ze słońca i promieniowania kosmicznego! Czy można w ten sposób żyć dłużej niż cztery dni, tego Rams nie wyjaśnia...

Tak czy inaczej jest to pomysł! A do tego powszechny naturyzm — wiek złoty, proszę Państwa!

Tylko jak na to namówić miliony rodaków? Sama propaganda werbalna może być nieskuteczna. Trzeba się podeprzeć prawodawstwem: na początek zakaz zakładania na siebie czegokolwiek przy temperaturze powyżej 25 st. C. Potem, stopniowo obniżać się będzie granice temperatury. A jednocześnie ograniczenie przydziału kartkowego do pół kilograma mięsa i czterech jajek oraz litra mleka. Limit również będzie stopniowo obniżany. Wysokie kary za prowadzenie melin z kiełbasą szynkową i cielęciną bez kości oraz konfiskata kostiumów kąpielowych i wełnianych szalików.

Grupy ochotników mogą już przystąpić do pokazowego żywienia kartoflami w mundurkach oraz zlewkami z restauracji pod hasłem: „Nie dasz świni — zjesz sam!"

W wyniku tych działań będzie wilk syty i owca cała. Mianowicie spełni się sen Andrzeja Grzegorczyka o ubóstwie doskonałym a jednocześnie będziemy państwem bogatym, głównie dzięki eksportowi żywności i tekstyliów. A mieszkania? — zapyta ktoś — gdyby tak jeszcze nie budować mieszkań! To już mamy właściwie załatwione. Homeopatyczna ilość w jakich „serwowana" jest tzw. substancja mieszkaniowa zbliżają się już do ideału. To, czym dysponujemy zagęścić się i spokój. Przecież, z powodu powszechnego naturyzmu i wegetarianizmu nie będą nam potrzebne ani szafy ani lodówki i pralki, które zajmują tyle miejsca! Wystarczy telewizor i tapczan. Kuchnię przerobi się na dodatkowe pomieszczenie mieszkalne. W miejsce zlikwidowanych restauracji, sklepów spożywczych i odzieżowych powstaną czytelnie, gdzie można będzie bezpłatnie uczyć się na pamięć „Dzieł Zebranych" Stanisława Ramsa.

* * *

Na zakończenie pozwalam sobie wykorzystać służbowe miejsce w gazecie na półprzywatny, półsłużbowy apel do kierownictwa redakcji „Odgłosów". Dowiedziałem się, że na Festiwalu Młodzieży w Moskwie w ramach polskiej prezentacji naszej młodej estrady wystąpi Maryla Rodowicz.

Zwracam się z prośbą o wydelegowanie mnie na Festiwal w charakterze młodego dziennikarza.

Ostatecznie mogę także wystąpić w koncercie rozrywkowym jako Shakin' Karol...

ANDRZEJ KAROL

4

Sport

Wielbłąd

Tomasz Sas, gdy usłyszy o powołaniu jakiejś komisji, pyta zaraz: — Wiecie, co to jest wielbłąd? — I nie czekając na odpowiedź, mówi: — To koń zaprojektowany przez komisję. — Wyraża w ten sposób niechęć do wszelkich sposobów rozwiązywania różnych skomplikowanych spraw przez komisje. Ale bez komisji ani rusz. Opinia każdej komisji, nawet najbardziej niesprawnie działającej, jest bardziej autorytatywna od każdej opinii indywidualnej. Boje o mistrzostwo Polski w piłce nożnej już się dawno skończyły, ale ostatnia kolejka rozgrywek w pierwszej lidze musi zająć się... komisja powołana przez PZPN. Wydano też okolicznościowe oświadczenie.

Był już taki czas w historii polskiej piłki nożnej, kiedy słynne były „niedziele cudów". Zwyciężały drużyny skazane na spadek do drugiej ligi, przegrywali silni, którzy nie mieli szans na zdobycie tytułu, ale i nic im nie groziło, a siedzący na trybunach reżyserzy tych widowisk słuchali radiowego sprawozdania i kalkulowali. Zawsze z korzyścią dla siebie i swojej drużyny. Taka już jest cecha kalkulacji. Połapano się w tych „cudach", choć nikt nikogo za rękę nie złapał i oświadczono, że już więcej „cudów" nie będzie. Ale były.

Na przykład w Szczecinie mecz między Pogonią a Legią rozpoczął się... z 6-minutowym opóźnieniem. Niby nic, ale zostaje jeszcze 6 minut, aby strzelić decydującą bramkę — przy pomocy przeciwnika — i zyskać to, co się zyskać chciało. Nie jest to rozważanie tylko teoretyczne, bowiem PZPN nakazał rozpatrzyć wszystkie okoliczności, w jakich rozegrano mecze ostatniej kolejki, a w tym i powody niepunktualnego rozpoczęcia meczu. Jaki będzie tego wynik zobaczymy. Boję się tylko, że komisja może wypuścić kolejnego... wielbłąda. Ale PZPN zapowiada, że to się już nie stanie, bowiem powołano grupę obserwatorów, którzy będą kompleksowo oceniali wybrane mecze i mecze ostatniej kolejki. W szkole uczono mnie z fizyki, że każda akcja wywołuje reakcję i że jest to niepodważalne prawo. Boję się, że specjaliści od kalkulowania i na to znajdą sposób.

W Bułgarii na przykład, aż Sekretariat KC tamtejszej partii podjął decyzję o rozwiązaniu dwu klubów: CSKA — podległego Ministerstwu Obrony Narodowej i Lewski Spartak — podległego Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i Komunikacji. Trzeba było widać aż decyzji najwyższych władz politycznych, bo władze sportowe były bezsilne. Czasem dobrze jest wziąć przykład od braci Bułgarów, skoro jest to przykład dobrej roboty, a nie tylko jeździć tam po słońce i wypoczynek.

Być może jestem naiwna, ale wydawało mi się, że sport powinien uczyć uczciwości. Przeciwnicy powinni mieć w walce równe szanse, a wygrywać powinien lepszy, sprawniejszy, lepiej przygotowany, operujący lepszą techniką. Okazuje się, że umieć kombinować też trzeba, bo można dzięki temu być gorszym i... wygrywać. W obronie uczciwości między innymi, ustanowiono nagrody Fair Play. Nagrodę taką otrzymał — i słusznie — Dariusz Zawadzki z Zawiszy Bydgoszcz.

Startował on na Mistrzostwach Świata i Europy w podnoszeniu ciężarów i zdobył brązowy medal. Pobiegł jednak do sędziów i powiedział, że ten medal mu się nie należy, a otrzymać powinien go włoski zawodnik Nicoli La Carola. Okazało się bowiem, że komputer źle zarejestrował wagę Polaka: zamiast 59,8 — 58,9 kg. Niby drobiazg, ale przy jednakowej liczbie punktów zdobytych przez obu zawodników właśnie waga (błędna) 58,9 kg zadecydowała o medalu. Za uczciwość otrzymał nagrodę Polskiego Komitetu Olimpijskiego i Międzynarodowego Komitetu do Spraw Fair Play i zdobył sobie szacunek sportowców i kibiców.

Ale już moją wątpliwość wzbudziła nagroda PKOl i „Sztandaru Młodych" dla załogi pełnomorskiego jachtu „Zawisza Czarny", która w czasie „Operacji Żagiel '84", poświęcając swój udział w regatach, zajęła się ratowaniem rozbitków z brytyjskiego żaglowca „Marquez". Uratowano ośmiu rozbitków i chwała za to polskim żeglarzom. Ze sportowego punktu widzenia — czyn godny nagrody. Ale trzeba pamiętać, że rzecz działa się na morzu. A tu obowiązują pewne prawa. Nie wyobrażam sobie żeglarzy, którzy na widok tragedii na morzu spokojnie żeglują dalej bo oni teraz są sportowcami, a nie żeglarzami. Mogę się zgodzić, że załoga „Zawiszy Czarnego", jako sportowcy zachowała się fair, ale jako żeglarze nie mogli pozostawić rozbitków bez pomocy: ich prawem i obowiązkiem było nieść im pomoc. Jak te dwie rzeczy rozdzielić? I czy można? Stąd moje wątpliwości. Nie twierdzę, że komisja zrobiła „wielbłąda" ale trzeba było jakoś wydobyć i ten morski aspekt. Że zrezygnowali z walki sportowej, aby wypełnić swój żeglarski obowiązek.

Jest to dla mnie tym ważniejsze, że niedawno czytałam korespondencję „Kuriera Polskiego" z Gdyni, gdzie bada się okoliczności katastrofy „Buska Zdroju". I okazało się, że dwa polskie statki otrzymawszy sygnał SOS nie od razu pospieszyły na pomoc rozbitkom. Taka obojętność marynarzy przeraża. I powinna przerażać wszystkich!

BOGDA MADEJ

Wielki las

(3)

ZBIGNIEW NIENACKI

Koń był niezbyt ładny, ot, zwykła i trochę krótkonoga klacz o brunatnożółtej sierści, izabellowata, jak mawiano kiedyś. Lecz człowiek w siodle sprawiał silne wrażenie. Ubrany był w zielony mundur leśników, bez żadnych oznak na kołnierzu. Mundur leżał na nim przepięknie dopasowany, bez najmniejszej fałdki, a przecież jeszcze nie spotkał w swoim życiu Horst Sobota człowieka leśnego, na którym mundur nie wisiałby jak worek, jak kupa szmat wysmarowanych i brudnych, powyciąganych w najróżniejsze strony. Na czarnym pasie miał ów mężczyzna pistolet w czarnej kaburze i na skos przez ramię raportówkę na czarnym pasku. Zobaczył Horst Sobota jego niedużą, a nawet nieproporcjonalnie małą głowę z jasnymi gładko przyczesanymi włosami i niebieskimi zimnymi oczami. Klacz szła wolno, a ów mężczyzna, młody jeszcze, najwyżej trzydziestopięcioletni, patrzył to na jezioro, to na las. A kiedy spoglądał na jezioro — jego oczy stawały się jeszcze bardziej niebieskie, a kiedy spoglądał na las — wstępowała w nie ponura czerń. Oczy tego człowieka wydawały się złe, choć na twarzy wciąż gościł mu lekki uśmieszek, usta zaś połyskiwały bielą równych zębów. Niezwykle wysoki zdawał się Horstowi w blasku wschodzącego słońca i choć tak piękną i jasną miał twarz, to przecież stare serce Horsta Soboty i jego stare oczy przeniknęły do głębi jego duszy, wyczuły zło, wypełniające tego człowieka. Nawet czarne lśniące buty jeźdźca z połyskiem czerwieni od wschodzącego słońca — rzucały światu jakieś groźne wyzwanie. Strach ogarnął Horsta Sobotę, bo nigdy nie zdarzyło mu się wyczuwać w innym człowieku tyle zła, ale przecież przemógł się i wyszedł mu naprzeciw na piaszczystą drogę.

— Kim jesteś? — zapytał ze ściśniętym gardłem.

Tamten zatrzymał swoją izabellowatą klacz i spojrzał z wysoka na Horsta swoimi zimnymi oczami, ale ani przez moment nie uleciał mu z ust pogardliwy uśmiech.

— Jestem nowym strażnikiem łowieckim — odparł bez zniecierpliwienia, a nawet jak gdyby z ciekawością i chęcią dalszej rozmowy.

— Podoba ci się las?... — aż zadygotał Horst Sobota tak się bał odpowiedzi.

— Widziałem wiele wstrętnych miejsc, ale to wydaje mi się najwstrętniejsze.

— Więc dlaczego zostałeś strażnikiem łowieckim?

— To tajemnica, dziadku. Niemiła dla mnie. Mógłbym ci ją zdradzić, ale na nic nie przyda ci się ona.

— Gdzie mieszkasz? U kogo? Jak długo tu będziesz?

— Nie wiem, dziadku, Wyznaczono mi mieszkanie u leśniczego Kuleszuy. Nie czuję się z tego zadowolony, nie mam jednak wyboru.

— Czy jesteś dobrym człowiekiem?

— Usłyszał śmiech. Wesoły, serdeczny. I ujrzał Sobota w całej pełni zęby tego mężczyzny. Żaden leśnik w tej okolicy żaden drwal albo chłop nie miał tak pięknych i białych zębów, tylko spróchniałe, nierówne, zgniłe. Nawet młodzi ludzie.

— Zasmucę cię, dziadku. Wiele zrobiłem złego i jeszcze wiele zła dokonam, jeśli mi na to pozwolą. Nie ufaj mi i nigdy więcej nie zatrzymuj mnie, gdy jadę.

Sobota miał uczucie, że wraca mu życie, bo oto wraz ze wschodem słońca napotkał nadzieję. Uczynił szeroki gest ręką i powiedział do obcego człowieka:

— Spójrz na ten dom. Mam w nim osiem pokojów. Zamieszkaj u mnie i weź sobie tyle pokoi, ile zechcesz. Za darmo. Mieszkam tu sam i nikt mnie nie rozumie. Bo nikt nie wie jak bardzo nienawidzę lasu i jego trzech szatanów. Nie bój się, nie jestem wariatem i kiedyś ci opowiem, ile zła wyrządził mi las. Zapraszam cię do siebie, zły człowieku.

— Dziękuję — tamten skinął mu głową. — Pomyślę o twoich słowach.

To mówiąc cmoknął na klacz i wyminął stojącego na drodze Horsta Sobotę.

Stary zawołał za nim niemal z błaganiem:

Odkrzyknął, nie odwracając głowy:

— Jak się nazywasz, obcy człowieku?

— Nazywam się Józef Maryn.

Tego ranka nadleśniczy Masłocha udając się na zrąb w 216 oddziale zauważył na leśnej drodze w błocie wysychającej kałuży — odciśnięte ślady wilczych łap. Z początku sądził, że nie tak dawno przebiegał tędy jakiś duży pies, wilka bowiem nie widziano w tych okolicach już ponad trzydzieści lat. Lecz gdy przyjrzał się bliżej, musiał stwierdzić, że trop był wilczy — węższy i dłuższy od tropu psa, palce zostały mocniej odciśnięte i wydawały się bardziej zwarte. Opuszka palcowa przedniej łapy miała kształt sercowaty, tylna natomiast owalny. Wilk biegł stępa i zostawił trop zygzakowaty. Pojął więc nadleśniczy, że pojawił się nagle wilk samotnik, a to znaczyło, że las był z jakiegoś powodu bardzo niezadowolony i należało oczekiwać wielkich kłopotów.

Rozdział II

W nocy śniło się Marynowi, że został podłączony do wykrywacza kłamstw. Ciało oblepiły mu pijawki elektrod, jego żona Eryka i Ivo Bunder zadawali mu wciąż te same pytania (ich treści nie zapamiętał), a on nie mógł powstrzymać w sobie narastającego łomotu serca, oddech miał przyspieszony i pocił się obficie. Z początku wykrywacz kłamstw tylko ssał z niego krew i czynił bezwolnym, ale potem stało się coś zadziwiającego: aparat zaczął pompować w niego uczucie wstrętu do samego siebie i Józef Maryn niemal fizycznie czuł jak jad owego wstrętu powoli przedostaje się mu do krwi i wraz z nią płynie do mózgu. Z tym wrażeniem obudził się, zlany potem i z łomoczącym gwałtownie sercem.

Była szósta rano i tak widno, że za oknem dostrzegł wyraźnie seledynową zieleń dopiero co rozwijających się liści starych buków, z uchylonego lufcika napływało z lasu chłodne powietrze przesycone zapachem butwiejącego drewna; przenikliwie gwizdały szpaki budujące gniazda pod dachówkami pobliskiej stajni. Mokry od potu pod brodę naciągnął koc z przyklejonymi do niego kępkami brunatnożółtej końskiej sierści (*nakrył nim kiedyś spoconą klacz*) i długą chwilę leżał nieruchomo, uświadamiając sobie gdzie się naprawdę znajduje i w niepamięć usuwając wspomnienie snu. Łomot serca zanikał, oddech stawał się równy, pot wsiąkał w piżamę, lecz wrażenie wstrętu do samego siebie wciąż dojrzewało, aż przerodziło się w coś w rodzaju obrzydzenia. I to w pewien przyjemny sposób nawet zaskoczyło Maryna (o ile uczucie obrzydzenia do samego siebie może być przyjemne), ale nie potrafił inaczej określić odkrycia, że oto stać go jednak na pewien rodzaj wrażliwości, który chyba świadczył o tym, że nie przestał być istotą ludzką. Od dawna powątpiewał, czy — na przykład, — posiada owo coś, nazwane sumieniem. Sądził, że je wyrzucił kiedyś tak, jak się wyrzuca do pojemnika na śmieci plastykowe pudełeczko po lodach. Stało się to przed ośmioma laty na ulicy Dapperstraat, przed sklepem i domem Bernadetty Bullow. Potem kilkakrotnie znalazł się w sytuacjach, które utwierdziły go w przekonaniu, że ów gest pozbycia się sumienia nie nosił żadnych znamion teatralności, lecz okazał się trwałym, skutecznym i nieodzownym zabiegiem dla wykonywania zawodu. „Wczoraj wypiłem za wiele i mam poczucie alkoholowego niesmaku" — pomyślał uspokajająco, choć w ten sposób świadomie oszukiwał samego siebie. Józef Maryn nigdy bowiem nie pił „za wiele". Nie wykluczone jednak, że wraz z krótkotrwałym odejściem z zawodu — zaczęły w nim niespodziewanie kiełkować jakieś pozostawione resztki dawnej wrażliwości. Prawdopodobnie pomylił się, sądząc iż przed wieloma laty wyrzucił z siebie sumienie przed domem Bernadetty Bullow. On je po prostu zdeptał, ono zaś przetrwało w nim w jakiejś utajnionej postaci. Tutaj zaś, gdy nie musiał być tym kim był dawniej, zaczęło kiełkować na nowo. Tak rozmyślając zaraz poczuł się lepiej, uczucie obrzydzenia zniknęło, gdyż nawet sama myśl o kiełkującej w człowieku zdeptanej wrażliwości wydała mu się nad wyraz śmieszną. Już raczej należało przyjąć, że tym razem, (bo kiedyś musi być ten pierwszy raz) wypił jednak za wiele, gdyż mógł sobie na to pozwolić. W wiosce o nazwie Mordęgi, w leśniczówce na skraju lasu mogło się zdarzyć, że wypił za dużo i obudził się z uczuciem niesmaku. Tym bardziej, że i sen miał tej nocy bardzo przykry. Ale wódka i przykry sen — to było wyjaśnienie zbyt proste. Myśl o budzącej się w nim wrażliwości (choć w swej istocie śmieszna) też jednak kusiła, ponieważ w jakiś tam sposób schlebiała jego poglądom o własnej osobie. Przyjemniej przecież sądzić, że jest się wrażliwszym niż się przypuszczało.

CDN

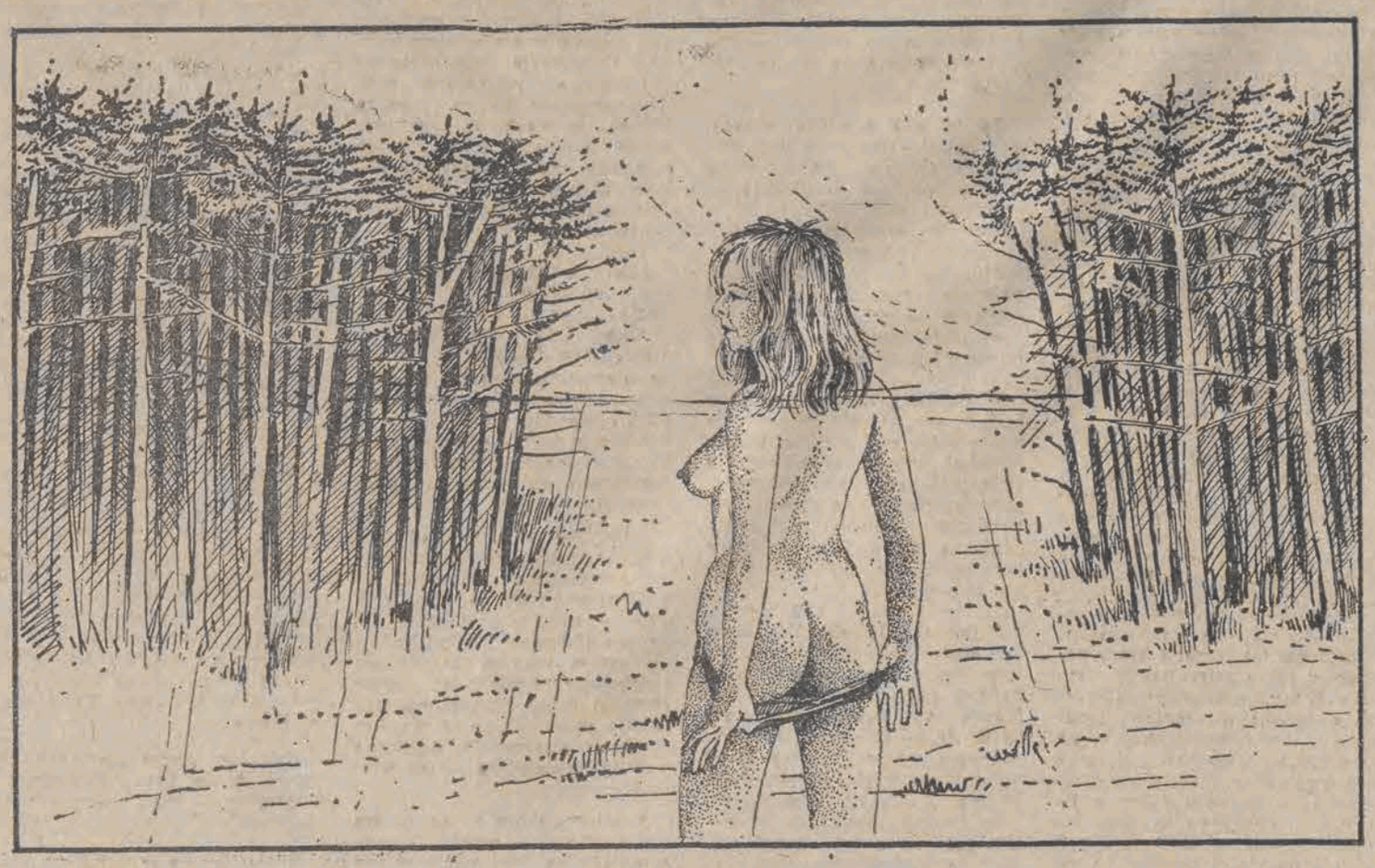

Rys. Janusz Szymański-Glanc